





J. I. KRASZEWSKI

JELITA

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

J E L I T A

. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



J. M. Kraszewski

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXVI

J. I. KRASZEWSKI

JELITA

LEGENDA HERBOWA Z ROKU 1331

CZEŚĆ I



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225



I.

Pora była jesienna, jeszcze letniem ciepłem ogrzana; na polach tam tylko stały nie pozwożone do brogów i stodół kopy, gdzie duchowieństwo dziesięciny z nich swojej nie oddzieliło; mało który zagon był okryty zbożem, pochylonem od wiatru i deszczów. Na skoszonych łąkach pasło się swobodnie bydło, na ścierniach czerniały rozproszone owce. Wśród żółtych pól widać było role czarne, pasami zorane na przyszłą siewbę, nad którymi ulatywało ptactwo, szukające w świeżej ziemi robaczego żeru.

Na niebiesiech jeszcze jesień nie rozwiesiła była szarych opon deszczowych, porozrywane tylko obłoki przesuwwały się po bladym błękiecie, bramowane złotem i pomarańczowymi pasami promieni słonecznych. Wiejska cisza otulała osadę wielką, zdala lasami otoczoną.

Siedziała ona tu zakryta od napaści nieprzyjaciela, który tak często kraj niszczył i pustoszył, bo nigdzie wkoło zgłiszcz widać nie było, a chaty miały czas postarzeć w spokoju.

W pośrodku na wzgórzu, opasany wałem, porośłym zielenią a obwarowanym częstokołem, rozsiadał się dwór duży drewniany z dachem wysokim. Brama, wyższa jeszcze od niego, wskazywała wjazd. Stała ona teraz otworem.

W podwórzu, dosyć pustem, wśród którego studnia z żórawiem i korytami najwidniejszą była, — roz-

łożyły się wozy jakieś, od których konie odpręgano, jezdni zsiadali, gwarno było i czeladzi dużo, wybiegłszy z szop, kręciło się pośpiesznie około dworu.

Włodarz miejscowy w długiej opończy, podpasanej rzemieniem, w czarnych skórzniach, z twarzą ogorzalą, z długimi włosy, spadającymi na ramiona, czapkę wysoką trzymając w ręce, w drugiej kij biały, zdawał się zajęty i zakłopotany ugaszczaniem przyjezdnych. Spadli tu widać niespodziewanie, bo wszystko się koło nich kręciło, potrąciwszy głowy...

Dwór pański, który w podwórzu się rozglądał, wcale był wspaniały i znamionował dostatniego człeka... Kilkudziesięciu zbrojnych w nielada oręż, na koniach dobrych i strojnych, wozów kilka, barwna odzież czeladzi, postawy dworu i żołnierza dumne a rześkie mogły bodaj kazać się domyślać udzielnego książątka w podróży.

Gospodarowało tu owo rycerstwo jakby w domu. Jeden, starszy widać nad orężnymi, do włodarza nakazująco przemawiał, a ten, czapki nie nakładając, zafrasowany czeladź popędział.

Trzeba było pomieścić ludzi i konie, na wypadek słoły zaciągnąć kędyś pod dach wozy, choć one skórami ponakrywane były, w ostatku garść tę znużoną i zgłodniałą karmić i poić.

Włodarza też głos ochrypli a krzykliwy co chwila nawoływał parobków, a ci biegali, to i owo chwytając, przestraszeni. Jeden pochwycił już był żóraw i, stanawszy na zrębie studni, co rychlej wodę w koryta nalewał, bo konie spragnione do suchych się cisnęły; drugi siano z szopy ciągnął. Rycerstwo pokrzykiwało i klęło...

Ten sam ruch widać było przy dworze, którego drzwi wszystkie otworem stały i okna były odsunięte. Lecz tu, oprócz czeladzi, przybyłych gości nie było widać.

W sieniach dwu zbrojnych spoczywało na ławie, żelazne hełmy pozdejmowawszy z głowy; siedzieli znużeni, nic nie mówiąc do siebie.

W izbie sąsiedniej, której drzwi niezamknięte były, tylko przywarte, dawał się słyszeć krok ciężki mężczyzny, który zwolna, dziwnie się jakoś poruszał. Po tym chodzie znać było, że go droga odbyta nie uspokoiła i nie znużyła.

Zbrojni, co słuchali pode drzwiami, spoglądali czasem na siebie, jakby się pytali, co on robi?...

W istocie ktoś tam się poruszał jakby bez myśli, a pod władzą uczucia, co nim miotало. Szedł to żywo bardzo i jakby pędził za czemś, to stawał nieporuszony, to włókł się, nogi ciężkie za sobą pociągając... Ruchom tym towarzyszył to szczęk oręża, który musiał mieć na sobie, to dychanie piersi zmordowanej. Czasami przysiadł ciężko na ławę... słyhać było uginające się pod nim suche drzewo, to wstawał pośpiesznie i biegł po izbicy, zbliżając się ku drzwiom samym i oddalając w drugi koniec, skąd dochodziły głuche stapania.

Orężna straż, ile razy się przysunął ku drzwiom, zdawała się gotować do powstania, a gdy się nie doczekała pana, opadała znużona, swobodniej oddychając...

Tymczasem w podwórzu orszak pański zabierał się na nocny spoczynek, bo wieczór nadchodził.

W chacie, stojącej niedaleko dworu, baby już różnieciły były ognisko wielkie, widne przez drzwi rozwarte, któremi dym wilgotnych, nagle podpalonych polan wychodził kłębami. W drugiej obok, gdzie była łaźnia, także parobcy co rychlej nakładali drzewo, aby dla podróżnych, choć późno, kąpiel była gotowa.

Zwolna słońce blade spuszczało się poza chmurami, przeświecając ku zachodowi. Od wsi dochodził teraz gwar i beczenie a ryk trzód, które z pastwisk powracały. Zdała u stawu kołatał młyn. Stada kaczek sznurami i gromadami przeciągały na błota.

Z izby, po której się przechadzał przybyły pan czy gość, niekiedy przez okno odsunięte, otwarte pokazywała się głowa... Ile razy ona wyszła z tych ram na ciemnem tle głębi izby, ci, co w podwórzu stali, a ujrze-

li ją, jakby po nich mrowie przechodziło, prostowali się, milkli, stawali pokorni i gotowi na skinienie.

Była to głowa, która na lada ramionach siedzieć nie mogła, ni do lada kogo należeć. Pańskie oblicze groźne, straszne, piękne razem i trwogę wzbudzające. Dwoje oczów siwych, ale bladym wejrzeniem zimnem przeszywających, nos orli, czoło wysokie, usta ściśnięte, policzki blade, zorane już brózdami trosk i lat... Dokoła włos bujny, siwiejący.

Z ust dziwnie złożonych, niby do uśmiechu i kłania razem, duma, pycha, siła i żądza panowania dy szeć się zdawały. Gdy wargi te zadrgały, a oczy im szarym blaskiem swym szklanym zawtórowały, najmężniejszy poczuł trwogę, która czeladź na widok tego bladego oblicza przejmowała...

Głowa ta wysuwała się nagle, jak popchnięta czemś ze środka, ale nie spoglądała na ludzi, co się nią czuli zagrożeni — patrzała gdzieś wdał, jakby wyczekiwała i nadśluchiwała. Chwilę tak malowała się na czarnem tle, z dwojgiem rąk silnych, spartych na zrębie okna i ginęła w mroku...

Naówczas straż, siedząca na ławie w sieni, słyszała znowu chód niecierpliwy, chrzęst i stękanie.

Zmierzchać zaczynało, gdy zdała ziemia zadrgała, jakby od kopyt końskich.

Zbrojni ludzie u studni pozwracali oczy ku gościńcowi i głowa w oknie błysnęła... Stała, nie chowając się długo do głębi. Nasłuchujący przyłożył rękę do ucha i czekał...

Słysząc było kłusem nadjeżdżających, których za drzewy i budowlami widać jeszcze nie było. Zbliżali się. Rozeznawano już w podwórzu nie tętent pędzonego stada, co się płosząc, rozbiegło, ale mierzone kroki gromadki ludzi, których konie nawykły iść razem. Szczekało, jakby żelazo. Chód był ciężki.

Głowa w oknie poruszała się żywo, wychyliła więcej jeszcze. Z za opłotków ukazały się żelazne hełmy śpiczaste i dzid kilka... Patrzący znikł, odbiegłszy stanowiska.

Kilkanaście koni zmierzało ku wrotom otwartym. Przodem jechał w pięknej zbroi czarnowłosy, silnie zbudowany mąż, na koniu ciężkim i spoconym. Żelazem był okryty napół, choć w podróży, obyczajem tych, co go nigdy nie zwykli byli zrzucać, aby ramion nie oduczać od rycerskiego brzemienia. Za nim tuż pacholę wiozło tarczę i miecz, a dalej zbrojni, wąsaci, zarosli, chłop w chłopa, ludzie dobrani a rośli, różnie pouzbrajani pędzili na koniach postrojonych, jak kogo stało, w rzemieńne i mosiężne rzędziki.

Na tarczy, którą pacholę wiozło i na hełmie tego, co przodem jechał, widać było znamię zawołania, chustę białą, zwiniętą, ze spuszczonei końcami. Po znaku tym ludzie w podwórzu musieli się domyślać kogoś, bo między sobą żwawo szeptać zaczęli, rozstępując się i czyniąc przejezdnym drogę wolną.

Jadący na przedzie, zobaczywszy orszak u studni, trochę żywiej podjechał pod dwór i, osadziwszy konia, zsiadł z niego, nie troszcząc się oń, bo już pacholę u studni stało.

Sam krokiem pośpiesznym wbiegł, ledwie spojrzawszy na straż w sieni, która, zobaczywszy go, powstała, i drzwi do izby otworzył, gdzie w progu czekał nań przybyły wcześniej.

Ten, którego tylko siwą głowę widzieliśmy w oknie, stał teraz cały, czekając na gościa, jeszcze z podróżnej zbroi nie rozdziawszy się — przy mieczu, głowę tylko mając oswobodzoną od hełmu, który na stole wśród izby rzucony, świecił blaskiem, jaki okno nań ciskało.

Spojrzeli sobie w oczy i przybyły rękę wyciągnął ku gospodarzowi. Nie powiedzieli słowa do siebie, oczyma mierząc się tylko.

— Bóg płąć — głuchym, stłumionym głosem ozwał się wreszcie siwy mąż. — Bóg płąć, żeście przybyli. Sroga była potrzeba rozmowy.

Postąpili kilka kroków ku przodkowi wielkiej a pustej izbicy. Czysta ona była, ale śnać dawno nie zamieszkiwana, bo w niej okrom niezbędnego sprzętu, ław

i stołu, jakby wrosłego w podłogę, nie było nic. Na stole hełm się świecił i dzban stał a kubek. Na ławie leżał płaszcz, ciśnięty odniechcenia.

— Biegłem, jakom mógł i co sił starczyło, do Pomorzan — począł teraz, hełm zdejmując i czoło ocierając z potu, przybyły. Poseł wasz mi napędził strachu, bo mi na łeb śpieszyć kazał do was. Obawiałem się zastać tu co złego.

— I niceś tu dobrego nie zastał — odparł głosem drżącym siwy.

— Cóż? Wojna? Krzyżacy znowu na karku? Nie nowina to! — odezwał się gość. — Jeżeli ich nie mamy, zawsze się ich spodziewamy. Rozejm pono wypowiedziany, więc już niszczą pewnie w Mazowszu albo gdzie na granicy.

— Krzyżacy! Krzyżacy! — z gorzkim uśmiechem żywiej coraz począł siwy. — Toć chleb powszedni — nie byłoby poco wołać was na nich.

Potańcził czoło i urwał, a po chwili, silnie się w piersi bijąc, krzyknął:

— Nie o to dziś idzie, ale o mnie i o wszystkich nas, i o tę ziemię wielkopolską całą, która przypadnie.

— Jakto? — odparł zdziwiony gość.

— Tak, jak mówię — unosząc się, ciągnął dalej siwy. — Nadeszła ta godzina, że jej bronić potrzeba.

— Od kogo? — spytał zdumiony gość.

Siwy, którego kilka słów wyrzeczonych już o jakieś roznamiętnienie przyprawiły, nie mogąc, czy nie śmiejąc powiedzieć, co myślał, rzekł, hamując się:

— Rozgościeno się, pomówimy o tem, bo mówić jest o czem, na Boga miłego! Spocznijcie z drogi, siadajcie... ja też ledwiem z konia zsiadł, ale we mnie wre wszystko... jeszcze nawet tchnąć nie mógł.

— Straszycie mnie! — rzekł, spokojnie miecz odpasując, gość. — Ani mogę odgadnąć, o co idzie i co was tak zaniepokoiło.

— Chybabyś kamiennym był — zakrzyknął siwy — abyś, jak ja, nie zakipiał, gdy ci rozpowiadać zaczę.

Ale gościem mi jesteście, synowcze miły; naprzód trzeba po podróży ciało pokrzepić.

Klasnął w ręce. Wszedł jeden z siedzących u drzwi.

— Jeść i pić niech dadzą, co mają — zawołał — a nie opieszale! Włodarza pędzić, aby nas nie morzył głodem. W dzbanie woda tylko.

Wyszedł zbrojny.

Gość się tymczasem ze zbroi powoli rozziewał i ręce wyciągał a nogi prostował. Ciemne swe włosy rękami poprawił i na tył głowy zarzucił.

Twarz jego wyszła teraz w całym blasku. Gdyby nie różnica wieku i nie to, co on zawsze po sobie zostawia, gdyby nie zapisane ślady życia, twarz siwego do tej młodszej byłaby wielce podobną. Rysy mieli też same, lecz wyraz ich był różny. Ciemnowłosy miał coś rycerskiego, butnego a lekceważącego w sobie, zwiastującego, że życie brał poprostu, szedł jawnie do celu, a mówił, jak myślał. I gdyby zgrzeszył, byłby grzech swój wyznał.

Starszy tę butę miał już przerobioną na dumę niezmierną, drażliwą, chorobliwie bolejącą, niespokojną. W tej chwili była ona, jak rana rozdartą — tknąć jej nie można było. Wrzenie wewnętrzne zdradzało się poruszeniami i wzrokiem obłąkanym, a ostrym.

Nie rozpoczęli jeszcze rozmowy, gdy już czeladź żeńska i męska, tak poprostu odziana, jak ją tu niespodziani goście zastali, wnosząc poczęła jadło niewykwintne, mięsiwa pieczone, polewki, jaja, kaszę, a do nich piwo i miód.

Oba do wojaczki i myślistwa nawykli, niewybredni, rzucili się na ten posiłek chciwie. Lecz starszy, szybko zaspokoiwszy głód, rychło porzucił jedzenie, nóż swój otarł, ręce obmył i począł się po izbie przechadzać zasepiony. Dłużej u stołu pozostał gość, oczyma ścigając gospodarza i przekąsając powoli.

Stróż tymczasem w kominie ogień wieczorny naniecił, a gdy gość dojadł, zebrano misy i zostawiono tylko miód i kubki.

Starszy popijał coraz, lecz w taki sposób, jakby

sam nie wiedział, co czynił. Zaprzątnięty był czem innym.

— Miły stryju — odezwał się, napróżno wyciekawszy, by mówić począł, czarnowłosy — czekam na to, coście mi mieli rzec i poco wezwany byłem tak pilno.

Siwy, namarszczywszy się, stanął i począł patrzeć nań.

— Obaśmy Świdwy — począł — tyś syn brata mojego, a dziś, gdy jego na świecie niema, tyś drugiej gałęzi naszego rodu, zawołania Nałęczów, głową. Nie z Dobkiem chciałem mówić, a z Nałęczem i tymi, co z nim idą.

— Wiecie — odparł Dobek spokojnie — że dotąd po Bożemu ród nasz zawsze w złej i dobrej doli spójny był i jako snop związany. Nie rozwiąże on się zaraz.

— Wszystkich bo nam sił trzeba, aby się nie dać pognebić — zawołał stary Świdwa.

Dobek słuchał, jakby nie rozumiał.

— Ojczaszku — rzekł łagodnie — bom ja od śmierci pana rodzica mojego tak was nawykł zwać — ojczaszku, cóż nam zagrażać może? Dzięki Bogu, stanęliście z łaski pana a króla naszego tak wysoko, że całym krajem władacie! Wielkopolską rządzicie, panem jej jesteście.

Stary zachnął się cały.

— Tak! tak! mówisz o tem, co było — zakrzyknął — a co nie jest. Tak, król mi oddał rzędy w Wielkopolsce, bo ja mu ten kraj dałem, jam mu go ocalił, jam wyrwał z rąk Ślązaków. Należało mi się to i — więcej. Gdyby nie ja, dawnoby stracił Poznań i Gniezno. Dał mi wielkorządy, bo musiał i był powinien.

Zapalał się stary.

— Nietylko mnie — ciągnął dalej — ale dzieciom moim Wielkopolska należała; — gdyby nie ja, nie miałby jej Łoktek dawno. Na tom rachował, żem tu dla siebie pracował, nie dla niego. Byłbym koronie jego hołdował, z nią trzymał, służył mu, ale w kraju tym, który już za swój uważałem, com robił, to była

moja sprawa. Jam tu panem powinien być pozostać... jak inni...

Tu stary połknął znać nazwisko pomorskich panów, które chciał wymówić.

Dobek słuchał, coraz poważniej.

— Teraz, jeżeli ja nie opatrzę się wczas, co czynić — mówił Świdwa, — stracone wszystko. Jaki mi koniec gotuje ten chytry starzec... któż przewidzi? Jestem dla niego kamieniem na drodze, solą w oku. Chciwy, pochłonałby wszystko, gdy to, co ma, utrzymać mu trudno. Czeski król Jan, krzyżacy, Mazury, wszystko przeciwko niemu. Zamiast bronić Krakowa, on sięga po Wielkopolskę!

Zaczął się śmiać szydersko.

— Ojczaszku! — odparł z cicha Dobek — aleć bo to przecie jego dzielnica, przecie on koronowany król nasz.

— Tak! tak! koronowany! — śmiał się Świdwa. — Korony ja mu z głowy nie zdejmuję, ale w Poznaniu — ja pan! Hołdu mu nie odmawiam, a wyrzucić się nie dam. Jużem zaraz podejrzewał złe zamiary, gdy tu młodego Kazimierza z żoną wysłał na mieszkanie do mnie.

Teraz mu już wielkorządy oddaje, a ja wojewodą mam pod nim być, więcej nic? Z zamkum się dla królewicza wynosić musiał precz... Rozumiesz ty to?

Patrzył na Dobka, który wcale nie okazywał wzruszenia.

— Ojczaszku — począł uspokajająco. — Rozumiem ci ja, że tobie, coś tu długie lata jakby udzielnym książęciem był, teraz iść pod rozkazy dwudziestoletniego młodzieniaszka może przykro; ale, miły panie, syn to królewski... ziemia królewska. Cóż począć!

Stary Wincz Świdwa (tak go z Wincentego mianowano) cały się wstrząsnął.

— Tego nie zniosę, nie będzie to! — krzyknął. — Raczej niech wszystko przepada, niżbym ja miał cierpieć upokorzenie.

Byłby może zapędził się dalej w wyznaniach, co

chciał poczynąć, gdyby go wyraz twarzy Dobka, na którą spojrzał, nie powstrzymał. Dobek jego oburzenia nie dzielił, stał zimny.

— Gotujcie się na moje rozkazy, do kupy pod moją chorągiew — odezwał się Wincz po małym namyśle. — Tom wam chciał rzec. Nie opuście mnie przecie samego. Nałęczę i ich powinowaci pójdą za mną. *Powinowactwo* nie co innego znaczy, tylko *powinność* rodowi. Za Nałęczami, oprócz ich nieprzyjaciół plemiennych, muszą wszyscy. Będzie tego więcej, niż pół Wielkopolski.

— Na Boga, ojczaszku — przerwał, podchodząc, Dobek — uspokójcie się ino. Ślijcie albo jedźcie do króla, ale mu tak zaraz nie rzucajcie rękawicy. Możni my tu jesteśmy, ani słowa, mamy przyjaciół, ale i na nieprzyjaciółach nam nie zbywa. Łoktek stary jest... przyciśnięty... prawda, ale król to i pan nasz. Węgry za nim stoją. Papież się nim opiekuje. Pan to nasz namaszczoney.

Wstrząsnął się Wincz stary i huknął:

— Milcz-że! Wiem ja to wszystko! On król, a jam wielkorządca, nie synacek jego. Niech go sobie posadzi gdzie indziej, ma zamków dosyć — ja go w Poznaniu, gdzie pierwszy był, nie ścierpię. Drugim tu nie mogę być! nie będę!

Odwrócił się i począł chodzić żywo. Buchał z niego gniew. Dobek patrzył, stał, milczał.

— Ojczaszku, na Boga! Namyślcie się, podumajcie — rzekł w ostatku, widząc, że stary zżyma się i rzuca ciągle. — Królowi wojnę wypowiedzieć nie mała rzecz. Łatwiej pono się na to rzucić, niż podolać temu. Sroga to sprawa! Boże uchowaj!

— Ani tak straszna, ani taka ona trudna, jak ci się widzi — krzyknął Wincz. — Nie wiesz, jaką siłę mam. Niech ja tylko Łoktka odstąpię, a szala się przeważy. Pójdzie chyba znów na skargę do papieża, ale już nie do Rzymu, a do Awinjonu... a będzie kląć; już ci my do tych piorunów nawykli. Nauczyli nas krzyża-

cy, że można pod klątwą żyć i nic się człowiekowi nie stanie.

Dobek ręce załamał. Stary Wincz mówił coraz goręcej:

— Ma przeciwko sobie króla Jana czeskiego, który się też poiskim królem zowie, a jego krakowskim królem tylko zwa; ma Brandenburgów, ma Ślązaków przeciwko sobie, ma moc krzyżacką, a ta niemała jest, niech ja stanę po ich stronie — wygnamy go!

Oczy mu się zaiskrzyły okrutnie. Dobek milczał namarszczony.

— Cóż ty na to? co? — nalegał zapalony starzec.

— Milczę — rzekł powolnie Dobek. — Wyście, ojczażku, mocno zażaleni, a żal pomiarkowania nie zna. Trzeba ochłonać.

— Nie! trzeba drugich rozpalić! — zawołał Wincz. — Ja nie ochłone! Jam zestarzał na wielkorządach, posiwiiał, a miałbym na starość karku ugiąć przed młokosem? Nigdy!

— Sroga rzecz! sroga! — zamruczał Dobek — rozmysłu trzeba. Jeżeli się wam niesprawiedliwość stała, do królaby iść, wprost a otwarcie mu skarżyć.

Wincz rozśmiał się.

— Tak to znasz Łoktka? — krzyknął. — On gdy co postanowi raz, żelaznym klinem mu tego nie wybić z głowy. Mały jest, stary... lat siedemdziesiąt mu, ale kamienny. Syn ten to jego ukochanie... to jego przyszłość cała... dla niego mnie poświęcił. Targować się z nim, wodę warzyć daremno. Chciał nieprzyjaciela, będzie go miał we mnie. Ja sobie kraju tego wydrzeć nie dam!

To mówiąc, uderzył nogą w podłogę, aż na stole kubki zadrgały.

Dobek przyszedł doń powoli i chciał go w ramię całować, aby uspokoić; odepchnął go stary i rzucił się na ławę.

— Dla was ja i dla całego rodu pracowałem — począł głosem przerywanym. — Z tej ziemi chciałem dziedzictwo zrobić dla plemienia mojego. Także samo

z Pomorzem się stało... z wielkorządców porośli władcy. Ale jabym się był nie odrywał od korony i tak jej hołdował, jak Ślązacy czeskiemu królowi. Byłbym wiernym pozostał. W samo serce mnie ugodził niewdzięczny Łoktek. I zwiódł mnie. Powiedział, że Kazimierza z młodą żoną nie ma kędy posadzić — i tylko mu na zamku mieszkanie dać niby chciał, a łowy w lasach. Co mi to szkodziło? nie sprzeciwiałem się. Aliści najechali, zamek ich pełen... Polaków, Litwy, służby, czeladzi, ciurów, bab... już dla wielkorządcy kąta niema. Dalej Kazimierz sobie rządy przywłaszcza i on tu już rozkazuje, a ja stary pod nim — wojewodą! Narówni mnie z kasztelanem Jędrkiem stawia! mnie! Wincza Świdwę z Pomorzan i Szamotuł! Mnie!

To mówiąc, wstał, rozprostował się, i ścisnąwszy rękę, a wyprężywszy ją, zdał się chcieć niewidzialnego odpierać wroga.

Dobek, czując, że mu się sprzeciwiając, więcej go jeszcze podrażni, milczał. Spoglądał tylko, szukając w twarzy i oczach znaków uspokojenia, które nie przychodziło.

Stary Wincz coraz to z kubka popijał i mówił, jakby sam do siebie, mniej zważając na Dobka.

— Jeszczem ja tu dosyć silny, aby nie dopuścić, czego nie chcę. W Polsce tej mojej lepiej mnie znają i więcej mnie się boją, niż Łoktka i synka jego. Jest nas kupa, wszyscy moi pójda na skinienie ze mną, za mną. Nie odstanie dla niego żaden. Jam zęby na tem zjadł, aby tu się panem uczynić i jestem nim. Królewicz ze swoją śpiewającą Litwinką i wszystkimi dziewczkami poza wrota zamku nie rozkazuje... kraju nie zna... ani jego nikt. W Krakowie się chował, na Węgrzech dokazywał, nauczył się pięknie stroić, mówić gładko, śpiewać może, ale do oręża niezdolny. Młokos jest... z nim ja sobie rady łatwo dam, a Łoktek starzec.

— Samiście przecie mówili, że kamienny to pan! — przerwał Dobek.

— Tak, ale ludzie i kamienie kruszą, a ja też nie przewiało słomiane... — zawołał stary, uparty Wincz.

— Ojczaszku! — począł błagająco synowiec.

— Nie do rady ja cię tu wezwałem — przerwał, nie dając mówić, Wincz — leczbym ci rozkazy dał... rozumiesz!

Zamilkł Dobek. Po chwili przecie Świdwa trochę się zdał spokojniejszy.

— Przywiedli mnie do ostateczności — odezwał się — nie ja winien, że tam się rzucę, gdzie muszę, abym sromu uniknął.

— Już ci pana swojego nie zdradzicie! — szepnął Dobek.

Wyraz ten — zdrada — jak miecz w piersi uderzył starego. Porwał się z wrzaskiem.

— On mnie zdradził! — zawołał. — On mnie! Jam miał obiecane wielkorządy do żywota. Nie umarłem przecie... żyję — zdradą mi królewicza na zamek wwiedli, zdradą mnie z mojego stołka zrzucili. Sami oręż mi w ręce pchają! Biorę go i nie puszczę!

Wśród rozmowy noc nadeszła ciemna, ale chmury się przerzedziły, niebo, zaiskrzzone od zachodu, u góry szcerniało i osypało się gwiazdami.

W izbie zamkniętej od ognia i upału dnia gorąco się zrobiło.

Stary Wincz wstał z ławy, na której siedział, i poszedł do okna.

— Potom cię wezwałem — począł — abyś mi ludzi zbierał. Wszystką siłę, jaką my mamy, powinowaci nasi i przyjaciele, zwoływać trzeba.

— Ojczaszku — przerwał Dobek — poczniemy my, opatrzą się drudzy. A nie wszyscy pójdą z nami, to pewna. Dużo mamy druhów, ale i wrogów dosyć.

Wincz się uśmiechnął.

— Garść ich jest — rzekł. — Nie wołać ich, będą siedzieli po kątach. Naszych więcej. Niedarmom ja tu lat tyle gospodarzył i ludzi sobie jednał.

— Lecz jeśli zmiarkują, że przeciw królowi ich prowadzić masz? — zapytał Dobek.

— Oni króla nie znają, bom ja tu im za niego był—
wyrwał się stary — dosyć mi tego!

Wstał z ławy i chodzić począł.

Na chwilę rozmowa się przerwała, gdy w progu stanął Włostek, prawa ręka wojewody, pułkownik jego, mąż, jak olbrzym, z wąsami miotlastymi, w kaptanie skórzanym i pasie kutym, na którym miecz wisiał ogromny.

Wincz się ku niemu zwrócił.

— Ludzi swych pomieściłeś? — spytał.

— Po szopach śpią, warty stoją — rzekł Włostek—
ale nie z tem przyszedłem. Ziemianin jakiś z Sieradzkiego od króla się do was opowiada. Tylko co przybył.

— Z pismem? — zapytał Wincz.

— Widzi mi się, że z gębą — rzekł Włostek.

— Dawaj go tu — zamruczał wojewoda, powolnym krokiem idąc ku drzwiom.

Pułkownik wyszedł śpiesznie i po chwili małego wprowadził zapowiedzianego posła.

Mężczyzna był lat średnich, prawy ziemianin a wojak, który się w miękkich pieluchach nie chował. Mąż jakby z dębu wyrzeźbiony, słuszny, barczysty, silny, twarz ni piękna, ni brzydka, a rozumna i jakiejś mocy dusznej pełna.

Po chodzie i obrocie znać było, że ani się zatrwoży, ni zdziwi, ani da zbić z drogi. Wszedł tak pewien siebie, jakby nie przed wojewodą stawać miał, a do równego sobie w odwiedzinę przybywał. Skłonił się mało, hełm zdjął i na rękę swym położył.

— Czołem, panie wojewodo!

— Skąd Bóg prowadzi? — hamując głos, zapytał Wincz.

— Od wojska królewskiego mnie wysłano do was—
rzekł poseł.

— Król? — przemówił Wincz.

— Nie, panam nie widział, ino naszego wojewodę Sierakowskiego, bom ja Sieradzianin z nad Pilicy od Hebdy, i Hebda mnie z rozkazu króla do was wyprawił.

Wojewoda nim się zapytał z czem, jakby mu nie-

pilno się było dowiedzieć, lub łatwo się domyślał, o co szło, naprzód kubek miodu nalał i podał go gościowi.

— Po dróдке się pokrępcie — rzekł.

Wolnym krokiem podszedł przybyły ku stołowi, wasy odgarnął, kubek ujął i miodu się napił.

II.

Znał Dobek dobrze stryja swojego i wiedział, że, mimo gwałtowności, umiał w potrzebie i spokojnego udać i co wybuchało z niego w głąb nazad zepchnąć; nie spodziewał się jednak, aby tak nagła zmiana zajść w nim mogła. Twarz nawet, tylko co namiętnością drgająca, wygładziła się, jak jezioro w pogodę, ani zmarszczki na niej nie było; głos brzmiał, jakby w duży pokój panował.

Z gwałtownych ruchów przeszedł naraz do ociążałych jakichś i obojętnych. Przybyły też pewnie odgadnąć nie mógł, iż na chwilę przedtem wojewoda się burzył. Niepilno mu było nawet pytać o to, z czem przyjechał.

— A jakież tam drogi? — rzekł zimno.

— Różne... — rzekł z równym spokojem poseł. — Deszcze już ulewne przechodziły gdzieś niegdzie, to i wody jesienne poprzybierały.

— Rozkisło u was bardzo? — mówił Wincz.

— A no! U mnie nad Pilicą wody dość — rzekł gość — indziej drogi niezgorsze.

— Cóż? zbieracie się już? Wici były? — pytał stary.

— Co żyło, to się pozbiegało pod chorągwie — mówił ziemianin. — Niema bo rady, król chce raz skończyć z Niemcami.

Wojewoda się uśmiechnął.

— Z krzyżakami — poprawił — a no! dobrzeby było raz ich precz zegnać i Pomorze odzyskać, ale bo-dajby nie było trudno.

— Przy Bożej pomocy — zamruczał z wielkim spokojem poseł.

— Z czem was do mnie wyprawiono? — odezwał się nareszcie Wincz.

— Waszej miłości też do tego tańca proszą niezwłocznie — odezwał się wysłany. — Król, pan nasz, nakazuje, aby, co żyje, na granicy postawić, bo krzyżaków tylko co nie widać.

Wojewoda uśmiechnął się obojętnie.

— Będzie ich słyszać wprzód, niż widać — rzekł. — Głośno idą te Niemcy, ho! ho!

Poseł nie zdawał się tem bynajmniej strwożony, gładził się po głowie, usta ściągał, nie ogarniał go strach żaden przed tą głośną potęgą.

— Darmo was do mnie gnano — odparł wojewoda — bom ja moją powinność znał i bez tego. Co ma być, w swoim czasie przyjdzie.

— Spocznijcież u mnie — dodał. — A kto wam wskazał, że mnie w Pomorzanach najdziecie?

— Byłemci w Poznaniu na zamku — odparł ziemianin — stamtąd mnie za wami wyprawiono.

Wojewoda nie rzekł nic. Namyślił się nieco i wskazał na ławę przybyłemu, aby siadł, sam też nieco opodal się usadowił.

— Jak was zowią? — zapytał.

— Florjan Szary jestem, z Surdęgi nad Pilicą — rzekł głosem spokojnym przybyły.

— A zawołanie wasze?

— Różnie nas wołają, a no i Koślarogi — odparł Florjan. — Ziemianieśmy w Sieradczyźnie tak starzy, jak ona.

— Sami też na wojnę idziecie? — szło dalej pytanie.

— Idę — mówił Szary; — syna dorosłego nie mam jeszcze, a ojciec stary już i na konia nie siądzie. Rad nierad ludzi prowadzić muszę.

— Jakto — nierad? Ziemianin a rycerz zawsze wojnie rad być musi — rzekł wojewoda.

— I ja też — mówił z flegmą Szary — ale ojczy-

sko stare rady sobie nie da z sąsiadem, a mam pod bo-
kiem takiego... z piekła rodem!

Westchnął; różśniał się z tej szczerości wojewoda.

— Tenci też musi na wojnę! — dodał.

— Nie, nie pójdzie, pośle kogo za siebie, bo będzie
teraz właśnie z ojcem moim i czeladzią wojował—mó-
wił Szary; — od czasu, jak tam siadł, dnia jednego po-
koju od niego nie mieliśmy.

Westchnął znowu.

— Dlatego człowiek, coby wojnie dla króla był rad,
nie może się nią cieszyć, bo mu swoja własna dolega.

Wincz patrzył uważnie na mówiącego, a że w gło-
sie jego żal i smutek się przebijał, nie wyciągał go już
więcej na słowo.

— Nalejcie sobie miodu — rzekł półgłosem.

Nie wymawiając się, podróżny poszedł do dzbanka,
nachylił go, kubek napełnił i z nim powrócił na ławę.

— Wojna będzie sroga — począł wojewoda, tro-
chę pomyślawszy. — Królewskiemu wojsku nie za-
rzucić nie można, dobre ono jest... ale Niemcy w stal
pookowywani, każdy z nich, gdyby twierdza; choć do
niego się nasi dostaną, nie wiedzieć skąd go począć...
od stóp do głowy żelazo... konie też zbrojne.

— Prawda to — rzekł Szary — ale zato, gdy któ-
ry z konia padnie, albo na ziemię się obali, nie podnie-
sie się łatwo i toporami go można dobić. Nie ruszają
się też w boju tak rączo, jak nasi...

— Ale zato murem stoją — różśniał się wojewo-
da. — Toście pewnie słyszeli, że gdy w rząd się usta-
wią, a chcą nieprzyjacielowi oprzeć się, łańcuchami
jeden do drugiego, od pasa do pasa poczepiają i wszy-
scy jakby z jednej bryły!

— Za to — rzekł Szary obojętnie — byle jeden
padł, muszą z nim też wszyscy leżeć.

— Rzadko to u nich bywa — odezwał się wojewo-
da. — Już co do tych spraw wojennych i oręża dosko-
nałego, nie wiem, czy gdzie na świecie lepszy jest, niż
u krzyżaków. Co roku do nich ciągną pielgrzymi nie-
tylko z Niemiec całych, Francji, ale i z Anglii i — kto

wie, z jakich krajów? Gdzie kto co wynalazł i zrobił, oni to pierwsi mają. Oręż od Saracenów, od Arabów, z Włoch i z Hiszpanji. Powiadają nawet, że jakiś ogień piekielny, co go niedawno mnich w klasztorze gdzieś na Niemcach zrobił, już od lat trzech mają u siebie.

— Jaki ogień? — zapytał Dobek ciekawie.

— Kto go wie, co to takiego jest? — począł wojewoda. — Tajemnicę z tego robią, jak ów ogień przyrządzać; ale straszny bardzo, bo go z rur żelaznych puszczają z wielkim hukiem, i leci daleko, a co napotka, to pali i kamienie ciska...

Szary się przeżegnał pobożnie.

— Szatańska chyba moc, a mnichy ją, duszę zaprzędawszy, kupili! — rzekł. — U nas o tem nie słychać, dzięki Bogu!

— U nas nie słychać — odezwał się ironicznie wojewoda — to prawda, a oni trzy lata temu już ten ogień robić się nauczyli. Przyjdzie im oblegać twierdzę, rzucą tylko ogniste pociski i, żeby najlepiej była obwarowana, to ją zżegą.

— A na ludzi w boju przecie nie będą szatańską mocą ciskali? — przerwał ziemianin.

— Dlaczego? — rzekł wojewoda — albo oni nas za ludzi mają i pożąłują? U nich co nie Niemiec, to nie człowiek... Srogie bestje!

Szary westchnął, lecz miód popił i dodał tylko:

— Jak skoro moc szatańską mają, a nią się posługują, Pan Bóg ich sam pobije, jak lucypera i zastępy jego.

Wojewoda uśmiechnął się nieco z prostoduszności ziemianina.

— Mnie się widzi — dorzucił — że nie z szatana oni to mają, kiedy krzyże na płaszczach noszą.

— Na płaszczach — rozśmiał się Dobek — ale nie w sercach.

Florjan Szary spojrzał ku niemu i uśmiechnął mu się. Wojewoda tymczasem prawił dalej:

— Nie będzie nam z nimi łatwo wojować, bo choć

nasz lud mężny, ale tej chytrłości i rozumu, co oni, nie ma. Oni w sto włóchni na naszych tysiąc idą.

Milczeli słuchający.

— Dlategoż serce mamy tracić? — odezwał się Szary. — Mądrzy oni, ale i król, pan nasz, rozumny jest, i wie, jako z nimi poczynać, a Bóg łaskaw. Sprawa nasza dobra: swojej ziemi bronimy, oni cudzą rozdrapują.

Popił miodem Szary, obejrzał się, powoli z ławy wstał, kubek postawił i skłonił się, ku drzwiom zmierzając.

— Jaką mam odpowiedź zanieść panu Hebdzie? — spytał od progu.

— Śpieszno wam? — wtrącił Wincz.

— Jutro muszę być w drodze — rzekł Szary. — Spoczywać nie czas.

Wojewoda powstał trochę, dumając.

— Jedźcie z Bogiem — odezwał się — a wojewodzie powiedzcie, że ja, co mi powinność moja każe, uczynię. Znajdą mnie, gdzie potrzeba.

Tak dwuznacznie odprawiwszy poselstwo, kiwnął głową wojewoda, ręką dał znak. Szary się trochę pokłonił i wysunął z izby.

Czas był do snu już dawno. Dobek też przeciągnął się, ziewnął i obejrzał za posłaniem.

— Mnie jeszcze sen nie bierze — rzekł, rozstając się z nim, wojewoda — a jutro pomówimy z sobą, bo mi ludzi przyprowadzić musisz i godziny do stracenia niema.

Dobek już na wychodnem się strzymał. Spojrzał stryjowi w oczy, mówiąc wejrzeniem to, czego już nie śmiał powtórzyć słowy.

Zrozumiał wzrok, Wincz i odwrócił się z uporem.

— Śpij spokojnie! — rzekł, ściskając go za rękę. — Żadna siła w świecie nie może mnie od tego odwieść, com raz postanowił.

Dobek wyszedł. Za ledwie się oddalił do izby, w której mu posłanie ludzie jego przygotowali, gdy wojewoda kazał zawołać do siebie Włostka.

Zbliżył się do niego znowu rozgorączkowany i niecierpliwy.

— Ślij mi po ludzi — rzekł — śpieszyć! Już mnie posłami gnają aż tu. Niech pułki wszystkie i co naszego rycerstwa jest, do mnie przybywa. Im więcej nas będzie, tem lepiej. Zbierać, a wici słać nagłące, pod gardłem, pod sromotą, do ostatniego człeka... potrzebuje ludzi wielu.

Mówił tak przerywanym głosem, a Włostek, proste niby człeczysko, tak mu w oczy patrzył, jakby jego myśl odgadywał. Było to spojrzenie starego sługi, albo zwierzęcia wiernego, co z człowiekiem się zżywszy, czyta mu w oczach i niewypowiedziane wyrывa z głębi duszy.

Pocichu rzekł Włostek:

— Nie już tak pilno królowi służyć, kiedy on nas...

Nie dokończył; wojewoda tylko nań spojrział i po ramieniu go uderzył.

— Ludzi trzeba — rzekł porywczo — a co potem — mnie wiedzieć... Idź, a spraw się.

W drugiej izbie zgotowane było posłanie dla Wincza, nie na łożu, bo go tam brakło, ani na tapczanie, bo i tego nie było we dworze, ale obozowe na ziemi, skórami pokryte. Podszedł Wincz ku niemu, popatrzał, lecz układać się do snu nie miał ochoty.

Pachole go rozebrało do siwego kaftana, siadł w nim dumać na ławie...

We dworze ucichło — spali wszyscy. Wojewoda na komin polan dorzucić kazał, sen go nie brał. W duszy jego całe życie przechodziło płomieniami i czernią, wspomnieniami jasnymi i smutnymi. Stał jakby w progu nowego, a na stare się oglądał... Żal serce ścisnął chwilami, to gniew brał górę, duma nim rzuciła, wszystko zasłaniając sobą. Zemsty pragnął.

Tak długa noc posępna cicho upłynęła, cała wpół śnie, pół burzy tej dusznej, która czasu obliczyć nie dała. Zaczęło już szarzeć na dzień i ogień wygasał, gdy wojewoda, jak siedział u stołu wsparty na rękę, usnął.

Otworzył oczy, za ledwie mógł im uwierzyć. W półmroku stała przed nim postać niewieścia w długich szatach podróżnych, w białej zawitce dokoła twarzy i pod brodą, w czapce na głowie, z chustą białą w ręku. Stała i ręce złożywszy zwisłe, patrzyła nań z politowaniem i przestachem razem.

Twarz, którą biały rąbek otulał, piękna niegdyś, była jeszcze urodziwą, szlachetną, a pełną razem słodyczy i męstwa nie niewieściego. Wielkie czarne oczy, w oprawie powiek zarysowanych wdzięcznie, patrzyły łzawo, ale śmiało, a brwi nad niemi ciemne jakiś ból ścisnęły. Wyraz jego piętnował i usta małe a zbladłe.

Panią i matronę poznać w niej było łatwo, która choć niewiastą, więc ledwie napół wolną się czuła, zachowywała powagę i wiarę w moc swoją.

Patrzyła tak na śpiącego, jakby stała nad kolebką dziecka chorego, zrozpaczona i mężna, ufająca w Boga.

Wojewoda podniósł głowę, oczy przetarł, obejrzał się dokoła, jakby nie wierzył im i potrzebował przypomnieć sobie, kędy się znajduje. Ona, wciąż milcząc, wpatrywała się jeszcze, a potem rzuciwszy się nagle z wybuchem płaczu i jęku, zawiesiła mu się na szyi.

— Halka? co ty tu? — zamruczał, poruszając się Wincz — Halka?! tutaj?...

— Tak, tutaj aż biegłam za tobą — odezwała się niewiasta głosem dźwięcznym a pewnym — tak, musiałam dogonić ciebie, bo wiem, czuję, co się w duszy twojej dzieje... Winczu mój!

Głos jej zmiażdżył i w płacz się znowu przemienił.

Wojewoda zlekka odtrącił ją od siebie.

— Babskie trwogi dziecinne — rzekł pomieszany — cóż się ma dziać? Nic się nie stało, a nic!

— Winczu mój!, panie mój! w twojej duszy stała się okropna sprawa... — poczęła Halka. — Nie mówiłeś mi nic, alem nie nadaremnie żyła z tobą lat tyle, i umiem odgadywać nawet to, co jutro myśleć będziesz.

Odstąpiła na krok i załamała ręce.

— Panie mój, nie! to się nie stanie. Lepiej być męczennikiem, niż katem i zdrajcą!

Ostatni ten wyraz posłyszawszy, wojewoda, jak piorunem ciśnięty, rzucił się z ławy, wyprostował, głowę odrzucił na ramiona.

— Mnie zdradzili! — krzyknął — ząb za ząb! Nie zdrada to będzie, ale spłata długu... Nie byłbym mężem, gdybym ścierpiał sromotę, nie zmazawszy jej krwią...

Usta Halki otwarły się, jakby mówić coś chciała.

— Milcz! milcz! — zawołał wojewoda, którego twarz straszliwym wyrazem się zmieniła. — Tyś niewiasta, ty nie rozumiesz tego, nie twoja rzecz. Strzeż swej czci, ale straż mojej zostaw mnie ..

Ruszył się, jakby iść chciał, niewiasta mu drogę zastępowała.

— Zgadłam więc! — zawołała, podnosząc ręce — panie mój! jeszcze czas...

Z gwałtownego oburzenia i gniewu Wincz przeszedł nagle w jakieś urąganie i szyderstwo, z którego mu łatwiej może było żonie dostać placu.

— Dość! dość! Wiesz, że się nikomu mieszać w moje sprawy nie daję. Długie włosy macie, czesście je, aby pięknie świeciły, to wasza rzecz. Dać mi pokój! dać mi pokój!

— Żoną jestem twoją — odparła mężnie Halka. — Nie mieszam się do niczego, lecz gdy o cześć i sumienie chodzi, ubij mnie!...

Wojewoda ruszył ramionami.

— Ubić nie ubiję — rzekł szydersko — lecz na koń lub na wóz wsadzić każę i odprawię, abyś mi nie rozbijała głowy. Świdwowie się nigdy babom wodzić nie dawali, ani ja pozwolę...

Namarszczył się groźnie, lecz żona stała nieustraszona. Łzy biegły po jej twarzy, nie wiedziała, co miała mówić, słów jej nie stało, padła na kolana. Wojewoda się rozgniewał i krzyknął; lecz widząc ją omdlewającą napoły, schylił się, podniósł w milczeniu i na łożu swem, które stało nietknięte, położył.

Dwie towarzysзки, które za drzwiami czekały, wsunęły się natychmiast niespokojne o panią, a wojewoda,

korzystając z tego, wyślizgnął się z sypialni, przeszedł wielką izbę pierwszą i nie zatrzymał się aż w podsieni u słupów.

Tu już był Dobek, który wstał raniej. Nie powitali się nawet. Wojewoda był gniewny i wzruszony. Zwrócił się do niego.

— Nie masz tu już co dłużej gościć — rzekł — wiesz, czego żadam. Jedź!

Dobek popatrzył mu w oczy.

— Jam głową domu, jam wojewodą waszym, nie zrzucili mnie jeszcze... posłuchu żadam, posłuch mieć muszę. Nie proszę o radę nikogo. Jedź, a śpiesz!

Dobek widział go tak poruszonym, iż długo przemówić nie mógł.

— Do dziś dnia — odezwał się wkońcu — byłem gałęzi mej Nałęczowego zawołania głową, ale od dziś nie chcę być więcej. Stawcie na miejsce moje innego; ja tam, gdzie wy, nie pójdę.

Wincz natarł nań groźnie.

— Wiesz-że ty, dokąd ja idę? — zawołał.

— Wiem — rzekł Dobek stanowczo — i dlatego z wami iść nie chcę.

Zwrócił się, wołając na swych ludzi. Wczoraj łagodny i miękki, Dobek dziś występował męsko i śmiało; wojewoda zamruczał tylko i podniósłszy głos, zawołał, śmiejąc się złośliwie:

— Bez jednego człeka obejść się łatwo. Z Panem Bogiem! Pamiętajcie tylko, że ja, choćby mi wielkie rzędy odjąć chcieli, rychlej tu rozkazywać będę, niż kto inny.

Dobek ze spuszczoną głową, nie chcąc sporu przedłużać, z bólem wypowiedziawszy, co miał na sercu, stał milczący. Rękami tylko dawał swym ludziom w dziedzińcu znaki, aby mu konia co rychlej prowadzono.

Czeladź biegła, siodłając i wędzidła nakładając, bo konie dopiero u wodopoju były. Przeciągnął się więc wyjazd, na który Dobek, zżymając się i niecierpliwiąc, czekał.

Wincz, który stał długo w nadziei, że z synowcem na nowo rozmowę zawiąże, wkońcu widząc go odwróconym w stronę i umyślnie milczącym, odszedł gniewny.

Miał już siadać na podprowadzonego mu konia młodszy Nałęcz, gdy za płotem ukazali się jezdni i w podwórze wpadł klusem zbrojny mąż, od Dobka młodszy, z oczyma bystremi, żywy, wesół, lecz coś obce pochodzenie i obyczaj zdradzającego mający w sobie.

Strój jego i uzbrojenie było mniej więcej takie, jak naówczas nosili wszyscy ci, co do zamożniejszego liczyli się rycerstwa. Polska nie odróżniała się wielce od narodów Zachodu powierzchownością w wyższych klasach społeczeństwa. Wojsko było mniej dobrze uzbrojone, ubożsi ziemianie nosili się ze staroświecka i podług dawnego obyczaju; ale na dworach królów i książąt, mających stosunki częstsze z Europą, strój i zbroja pochodzenia francuskiego, włoskiego, niemieckiego przeważały. Duchowieństwo, które dawniej często jeździło do Rzymu, teraz do Awinjonu, rycerstwo, które także chętnie się zaciągało zagranicą dla poznania świata, kupcy dla zysku przywozili sprzęt, oręż, sukna flamandzkie, holenderskie tkaniny, klejnoty, broń i t. p.

Na wojnie ziemianie bogatsi zbroje nosili takie, w jakie Niemcy i Francuzi opatrzeni byli.

Przybywający wyglądał jeżeli nie z cudzoziemska, to na wzór obcych w stał okuty, i suknie miał wykwintnie szyte, o które dbać się zdawał. Koń też jego miał drucianą siatkę na sobie i rozmaite świecące blaski na rzedzie.

Mężczyzna około lat trzydziestu, pięknej twarzy, ciemnowłosa, zręczny, zatoczył koniem przed dworzec, jakby dla popisu, i choć dużo miał blach na sobie, lekko skoczył z siodła, konia pacholikowi tarczowemu oddając.

W chwili, gdy Dobek spozierał ku niemu, oczy ich się spotkały. Znajomi musieli być, bo przyjezdny chciał go witać i posunął się już ku niemu, gdy Dobek,

głową mu skinawszy tylko, szybko podanego wierzchowca dosiadł i od podsieni ruszył.

Przybyły stanął, nieco tem zdziwiony, gdy Wincz, który musiał go zobaczyć, wyszedł na spotkanie. Ujrawszy gospodarza, rycerz zwrócił się zaraz ku niemu i powitał go z poszanowaniem wielkiem.

Zamienili wejrzenie, jakby się porozumiewali; wojewoda wprowadził go do dworu, lecz nie do izby, blisko której żonę zostawił, ale do głębszej komnaty na tyłach, tak pustej, jak całe domostwo.

Przybyły ów gość osiadłym był od dziada w Wielkiej Polsce i liczył się już do tutejszych ziemian, chociaż krwią do nich nie należał. Ojciec jego, na dwór króla Przemka sprowadzony z Niemiec dla biegłości w sztuce turniejów i różnych rycerskich ćwiczeniach, zasłużywszy się panu, otrzymał od niego posiadłości znaczne, ziemię i lasy, tu się z córką ubogiego ziemianina ożenił i nazwisko nawet swe niemieckie von Kopfen zmienił na Kope... Syn jego Petrek napół był Niemcem dla ojca, pół Polakiem dla matki; więcej go jednak pono ciągnęło serce nad Ren, skąd pochodził, niż nad Wartę i Wisłę.

Zamłodu stary oddawał go na służbę rycerską, do wojsk cesarskich, Petrek włączył się z niemi po Włoszech, napatrzył świata i nabrał smaku do obczyzny. Gdy powrócił, nic mu w domu nie smakowało, tęsknił za Niemcami i za życiem zachodniem. Wszystko mu w domu barbarzyńskiem się wydawało, wyśmiewał się z ludzi i obyczaju...

Lecz ziemię, jakie po ojcu wziął, trzymały go tu; a że z ziemiany prostakami żyć nie lubił, najwięcej po dworach różnych przesiadywał. Nim królewicz Kazimierz przybył do Poznania, wieszał się u dworu wojewody poznańskiego, Wincza Świdwy z Pomorzan i Szamotuł. Lubiał go on, bo wesołemi rozmowy i śpiewkami wedle obyczaju niemieckiego i opowiadaniem o podróżach swych go zabawiał.

Petrek, choć go pan wojewoda stale do siebie chciał przywiązać, nie dał się skusić żadną dostojnością. Sia-

dywał u niego po dobrej woli, a podczas znikał i mówiono różnie o nim: jedni utrzymywali, że zagranicę jeździł i po dworach niemieckich się zabawiał, drudzy, że z krzyżakami wyprawy przeciwko Litwie, jako gość odbywał; on sam powiadał, że doma siedział.

Do stosunków z zakonem niemieckim z powodu, że się on srodze z królem Łoktkiem zadzierał, niebezpiecznie było się przyznawać.

Jak wszyscy tacy ludzie, co raz błędnego życia zakosztowali i miejsca zagrzać nie lubią, Petrek płochy był, bawić się i śmiać lubił, szukał wesołego towarzystwa, wypraw awanturniczych, towarzyszków coraz nowych. Na męstwie mu nie zbywało, lecz więcej miał jeszcze wprawy i zręczności, niż siły, a sprytu i wymowy, niż rozumu i powagi.

Gdy z wojewodą razem weszli do pustej izby, a wojewoda się obejrzał wkoło, jakby upewnić chciał, że ich nikt nie podsłucha, Petrek hełm już zdjął i pasa począł sobie zwalniać. Zbliżyli się do siebie tak, aby pocichu rozmawiać mogli.

— Dotarłeś aż do gniazda? — zapytał Wincz.

Z uśmiechem zwycięskim Petrek głową naprzód dał znak potakujący.

— Panie wojewodo! — rzekł wesołym głosem z przechwałą butną, — znacie sługę waszego, że co zamierza, zawsze dopiąć musi, choćby karku nastawić przyszło! I tym razem, prawdę mówiąc, w chwili, gdy już wojna wypowiedziana, gdy oni idą na nas, dostać się do wielkiego mistrza nie było łatwo.

— Sam-li on dowodzić będzie? — zapytał ciekawie wojewoda.

— Myślę, że nie — odparł Petrek. — Poprowadzi może swoich do Torunia, a wyprawą dowodzić będzie marszałek.

— Widzieliście jego samego? — począł badać wojewoda.

— Tak, jako was widzę w tej chwili! — śmiejąc się, odparł Petrek. — Widziałem go i mówiłem z nim, bo takiej sprawy ani nawet wielkiemu komturowi, ani

marszałkowi poruczać nie mogłem. Musiałem z samym Luderem mówić i to na cztery oczy. Do Bromberga aż musiałem, aby go pochwyć.

Wojewoda słuchał widocznie z zajęciem wielkiem, dech wstrzymywał, oczy mu się zaiskrzyły.

Petrek, jakby tej niecierpliwości dowiedzenia się skutku nie rozumiał, mówił, przechwalając się, obojętnie:

— Przyjęli mnie bardzo dobrze, jak starego znajomego i towarzysza broni. W Toruniu musiałem z nimi pić całą noc... Ochota okrutna, bo się na tę wyprawę z wielkiem sercem gotują, a dali sobie hasło w pień ciąć, co napadną i palić, żeby jedna chata ni budynek po nich nie pozostał. Mówią, że korzystać chcą z tego, iż króla Jana nie będą mieć z sobą w początku wyprawy, bo Czech im ludzi wyrzynać nie dawał, a chrzcić kazał, czego mu darować nie mogą.

— Ale cóż mistrz? co mistrz? — przerwał wojewoda.

— Mistrz też przyjął mnie dobrze i zaraz do rozmowy dopuścił — mówił Petrek, — choć miał gości dostojnych z Anglii i Niemiec, których przyjmować musiał.

— Cóż rzekł? co? — wtrącił Wincz. — Mów, a nie trzymaj mnie na wolnym ogniu.

— Zdawał się radować postanowieniu waszemu — odezwał się Petrek, — ale cóż? ogólnemi słowy tylko się ze mną o tem rozgadał, wciąż powtarzając jedno: — Sam z wojewodą o tem muszę się układać. — Chce, abyście do niego przybyli.

— Mówiliście mu warunki moje? — pytał Wincz.

— Juściż to było najpierwszem — rzekł Petrek, — iż chcecie i domagacie się, aby waszego kraju nie napastowali i nie niszczyli, a uważali go jako sprzymierzony. Na to mi rzekł kwaśno mistrz, iż do arcybiskupa gnieźnieńskiego żał ma i na nim się mścić musi i ani mu może darować, choć na tej ziemi siedzi.

Nachmurzył się wojewoda.

— Ciągną już? Gdzie są? — zawołał.

— Myślę, że koło Torunia zbiorą się **wszyscy**, i mistrza tam też zastaniecie, ale prędko potrzeba iść, aby was wyprzedzając, nie rozlali się na Wielkopolskę.

Wojewoda na ławę przysiadłszy, zadumał się.

— Pojedziecie ze mną — rzekł po namyśle.

— Rozumie się, że nie odstąpię was — prędko dorzucił Petrek. — Nie pochlebiając sobie, trudnoby też było beze mnie, który wszystkie drogi i przesmyki znam i rozmówić się z nimi umiem, dostać się z całą głową do krzyżaków.

Wojewoda wstał, popatrzył na podłogę, podumał.

— Cicho! — rzekł — cicho! Zapowiedzą się łowy na jutro, pojedziemy w lasy, wy ze mną i do Torunia! Nie może już inaczej być. Chcieli tego... zmusili mnie. Nie mogę inaczej... sromu nie zniosę, lepiej śmierć! Chciał król... chciał... stanie się!

Tłumaczył się jakby z potrzeby przed samym sobą i powtórzył kilka razy jeszcze półgłosem:

— Chciał król! zmusił mnie... Nie może już inaczej być, nie może!...

III.

Twierdza i osada krzyżacka w Toruniu, przed stu laty naprędce naówczas sklecona, pod strachem takim, że budujący ją czołna gotowe do ucieczki trzymać musieli, obawiając się napaści Prusaków — miała czas rozrosnąć się, wybujać i umocnić w rękach zakonu.

Teraz było to zamczysko okazałe i silne, gród broniony murami, basztami i samą rzeką a wałami i przekopy. Zdała już ściany jego wspaniale się okazywały, świadcząc, jak ci, co tu niegdyś z małą garścią przyciągnęli na cudzą ziemię, silnie w nią już wrosli i w potęgę się wzbili.

Minęły dawno te czasy, gdy za lichym wałem i naprędce wbitemi ostrokołami pierwsza gromadka rycerzy niemieckich przyszła tu, na prawym brzegu rzeki stawiając kroki nieśmiałe, co ją tak daleko zaprowadzić miała.

W przeciągu wieku Toruń, ciągle się rozpościerając, krzepiąc ciągle, nowymi osadnikami zaludniając, walczył teraz niemal z Malborgiem o lepsze.

W murach było się gdzie i większej sile rycerzy pomieścić, a znaczne zapasy oręża i żywności w wielkich gmachach były nagromadzone. Żaden rok nie minął, by się tu z czerwonej cegły misternie budowane domostwo jakie nie podniosło ku górze.

Krzyżacy w częstych wycieczkach swoich tu mieli miejsce zborne i stąd wyciągali w różne strony. Z pewnością czcili dla tego jednego z najpierwszych gniazd swoich, pełnego pamiątek.

Tu teraz mistrz Luder, książę brunświcki, z tego domu, który trzech swoich członków oddał na posługi zakonu, doprowadził wojsko, które na Polskę, grabież i pożogę Łoktkowych włości przeznaczonem było.

Sama głowa rycerskiego tego stowarzyszenia wiodła starszyznę i gości na brzeg Wisły, zdać tu mając dowództwo marszałkowi i komturowi wielkiemu. Dziwiono się trochę temu, iż wielki mistrz, który zawczasu oświadczył, że sam wyprawą dowodzić nie może, chciał ją aż do Torunia wieść, choć ważne sprawy powoływały go do Malborga.

Mistrz Luder, który nastąpił po Orselenie, zabitym zdradziecko, — miał wielkie zadanie na barkach swoich. Krzyżacy, którym od przesiedlenia się na tę ziemię podarowaną im dla dalszych na poganach zdobyczy, wiodło się ze szczęściem szczególnem, choć je zawdzięczali słabości i nieopatrności tych, co ich na pomoc wezwali.

Krzyżacy, od przybycia tu z surową regułą zakonną — samym trybem życia wojennego z niej się wyłamywać poczęli. Dawne owe prawa, które ich półmnicami czyniły, zapomniane zostały i lekceważone. Napiływ rycerskich awanturników z całej Europy przynosił tu z sobą wcale nie mnisze obyczaje. Wyprawy na pogan dzikimi, jak oni, czyniły ludzi. Nie szanowano w nich nic, ani też siebie. Zakonnik, codzień na

śmierć się narażając, gdy tylko mógł, z każdej chwili życia korzystał.

Zamiast modlitw brzmiały śpiewy wesołe i piosnki miłosne u stołów, nie mierzono wina, nie wzbraniano kosztownych łańcuchów; mnich, co nie powinien był mieć żadnej własności, bo nawet suknia, którą nosił mogła mu być odjęta — łupił czasu wojny i nie oddawał łupu do ogólnej skarbnicy. Rozpusta, samowola i zbytki się rozgościły. Przyszło do tego, że jeden obrażony rycerz, którego przeszły mistrz na wyprawę wziąć nie chciał, mściwą ręką go ubił.

Po zabitym Orselenie wybrano mistrzem Ludera, który swym tytułem książęcym i związkami wrażał powagę, a był mężem energicznym i rozumnym, ażeby dawną karność przywrócił w zakonie. Zadanie to było ciężkie, nad którym musiał on, nie odstępując na krok stolicy, czuwać, aby je w najmniejszych spełniać szczegółach.

Był Luder już od lat kilkudziesięciu krzyżackim płaszczem przyodziany, bo go bardzo młodo oddano zakonowi; pół wieku niemal dzieląc losy jego, wtajemniczonym był najlepiej w to życie wewnętrzne, którego znał wszystkie sprężyny. Mężny żołnierz, ale zarazem pobożny pan, człowiek wykształcony, poeta potrosze, Luder szanowanym był przez współbraci i gdy do wyboru przyszło, postawiono go na czele, bo on najlepiej wyrrywających się z posłuszeństwa i z pod prawa utrzymać umiał.

Siwiejący już, czynnego ciągle życia, wojak, myśliwy, Luder, mimo wieku, był jeszcze mężem wielkiej siły, powagi i rzeźwości do pracy. Choć starszyźnie krzyżackiej, która się teraz białemi płaszczami odznaczała, uboższych braci strojąc szaro, nie zbywało na mężach rycerskiej postawy, i warunkiem niemal przyjęcia do zakonu była siła fizyczna, — mistrz Luder, stanąwszy wśród swoich, pół głową ich przerastał, a zbroi jego bez kilku kaftanów, pod spód podłożonych, żadenby z braci nie wdział na siebie.

Twarz też miał jakby do rozkazywania stworzoną,

oczyma, brwiami, wyrazem samym rozkazującą. Mówił mało, lecz gdy co rzekł, spierać się z nim nie było można. Wydawał wyroki i nie odwoływał ich nigdy.

Od śmierci Orselena, którego w chwili napaści na progu własnego mieszkania bronić nie było komu, postanowiono, by dwu rycerzy nieodstępnie wszędzie mistrzowi towarzyszyło. Wybrał sobie Luder na kompanów tych Konrada von Gartau i Ottona Dobnera.

Właśnie z nimi razem zajmował izby, które dlań na zamku toruńskim przeznaczone były, gdy Dobner, który się był u drzwi nieco zatrzymał, szepnął mu, iż tu już nań oczekiwano.

Mistrz ledwie był z konia zsiadł i należał mu spoczynek, bo część nocy spędził w drodze; lecz posłyszawszy imię, które Dobner mu szepnął, wnet dał rozkaz, aby przybyłych do sąsiedniej izby wprowadzono.

W Toruniu, jak w Malborgu na zamku, mieszkania składały się z dwojakiego rodzaju komnat. Wielkie i bardzo przestronne sale służyły dla zgromadzeń zakonnych i gościnnych stołów, do których często po sto i więcej osób zasiadało. Izby, w których pojedynczy zakonnicy, nie wyjmując mistrza, komtura i dostojników, przemieszkiwali — były ciasne, małe, a dla samego ogrzewania łatwiejszego kominami — niebardzo przestronne. Były to niemal cele klasztorne.

I ta, w której Luder się przyodziewał, nie większą była od innych, lecz obok mała jadalnia kilkanaście osób mogła pomieścić. Widok z niej przez okno duże na Wisłę i przeciwne jej brzegi wychodził.

Tu w przeciwnym kącie, na ławie ze spuszczoną głową siedział stary mężczyzna w stroju, po którym stan jego rozpoznać było trudno. Można było sądzić, iż się umyślnie przebrał tak, aby go nie poznano. Szare suknie, ale z sukna przedniego, nie miały nic, coby je odznaczać i oko mogło na nie zwrócić. Miecz krótki a szeroki, w pochwach czarnych, także się nie świecił ozdobami. Mimo to coś w tym człowieku znamionowało nawykłego do rozkazywania raczej, niż posłuszeństwa.

Siedział i czekał, a samo oczekiwanie już krew burzyło: patrzył na drzwi, poruszał się niespokojnie, jak-gdyby obrażało go to, że nie pośpieszono prędzej przeciwko niemu.

Był to wojewoda i wielkorządca poznański, Wincz z Pomorzan... On! u krzyżaków. On, oczekujący na mistrza, u drzwi jego... w ręku wrogów i ich mocy!

W duszy powtarzał to sobie szydersko, z goryczą, jakby sam nie wierząc temu, co z nim uczyniły losy.

Na towarzyszu jego, Petрку Kopie, pobyt na zamku toruńskim tak wielkiego nie czynił wrażenia. Cho-dził on z wesołą twarzą po izbie, oknem wyglądając i wspaniałością gmachów, w których się znajdował, z przyjemnością napawać się zdawał. Na twarzy igrał uśmiech, jakby rad był, że wielką sprawę szczęśliwie doprowadził do końca.

Wincz milczał i wzdychał. Potrzebował ciągle przypominać sobie, co go spotkało, aby wytłumaczyć, co czynił i zagłuszyć sumienie.

Po chwili wyczekiwania, która mu się nad miarę długą wydawała, otwarły się wreszcie drzwi i mistrz Luder w białej sukni, bez miecza, odziany po domo-wemu, wszedł sam, zamykając drzwi natychmiast za sobą.

Wojewoda wstał, nie śpiesząc, powoli i mierzonemi krokami począł zbliżać się ku niemu.

Oba oni, nie znając się wcale, naprzód oczyma cieka-wemi mierzyli, siły swe oceniając.

Wincz Świdwa tak miał pańską postawę, jak Luder, oba niemal się czuli równymi dumą. Mistrz czuł, że człowieka tego musi oszczędzać i łagodzić. — Wincz zrozumiał, iż pod płaszczem zakonnika stał przed nim ksiązę niemiecki.

Skłonili się sobie głowami, lecz Luder ręki nie wy-ciągnął.

Usłużny Petrek żwawo po niemiecku zaczął woje-wodę polecać, ułatwiając rozmowę, która łamanym ję-zykiem dla obu niełatwą być miała.

Od pół wieku tu już siedząc, ksiązę się języków

różnych uczył potrochu, lecz żadnym nie mówił dobrze, mając je, jako barbarzyńskie, w pogardzie. Pruskim z musu i dla stosunku z ludem mówił najlepiej; Świdwa zaś, oprócz polskiego, mało co niemieckiego tylko rozumiał.

Petrek Kopa stał się jako tłumacz i pomocnik niezbędnym, i tak ta rozmowa, która powinna była być tajemną i poufną, bez świadka się nie obeszła.

To ją czyniło nad wyraz trudną i przykrą dla wojewody.

W pierwszej chwili ledwie srom swój mógł prze-móc, zabełkotał coś niewyraźnie i lży mu z oczów try-snęły. Skarżył się na upokorzenie, jakiego doznał od króla, a tu on sam z dobrej woli na stokroć się boleś-niejsze narazić musiał. Przybrał tem dumniejszą po-stawę, im boleśniej czuł się dotkniętym.

Luder zdawał się rozumieć, co się w duszy tego człowieka działo i chciał litościwym i łagodnym się okazać.

Po krótkiej walce z sobą wybuchnął wojewoda, nie zważając ani na to, czy zrozumianym będzie i czy usłużny tłumacz za słowami jego wydaży.

— Widzicie mnie przychodzącego do was — mówił gorączkowo, — bo panu temu, któremu do siwego słu-żyłem włos, dłużej nie chcę i nie mogę. Stała mi się krzywda... chcę pomsty... kraj, którym rządziłem lat tyle, który mu dałem i utrzymałem, jest mój do dziś dnia, pójdzie za mną. Przyprowadzę wam wojsko w posiłek i nielada ludzi, ale takich, co najlepiej znają tę ziemię... a ja, ja znam najlepiej nieprzyjaciela, z któ-rym walczyć macie.

Mistrz słuchał, zaledwie lekkim głowy porusze-niem dając poznać, że rozumie. Wojewoda wybuchął wciąż z gorączką wielką; mistrz, jakby od niej ostygł, stawał się zimniejszym coraz. Nie odpowiedział ni słowa.

To jątrzyło wojewodę, który powtarzać się począł z narzekaniami i gniewy, z wysławianiem siebie.

Wzamian krzyżacki pan nie śpieszył z żadną ze

swej strony ofiarą — wojewoda zmuszonym był przez tłumacza zażądać warunków dla siebie.

— Spodziewam się — rzekł, — iż ocenicie usługę, jaką wam oddaję osobą moją i ludźmi. Pragnę, abym się przy tej ziemi, którą wam jako sprzymierzeniec oddaję pod opiekę, utrzymał panem zwierzchnim. Nie tylko ją pozyskacie, ale pozbędziecie się króla i jego do Pomorza pretensyj. Mam więc prawo domagać się.

Mistrz niedokończoną mowę przerwał zwolna cedzonemi wyrazy, po niemiecku mówiąc dla Petrka, a patrząc chłodno i zgóry na wojewodę.

— Zakon niewdzięcznym nie jest. Skoro usługa się okaże wielką, nagrodę da słuszną. Ale potrzebuje na-przód mieć to, co mu obiecujecie, a potem oceni i za-wdzięczy.

— Chcecie więc, bym się dał na łaskę lub niełaskę? — zawołał wojewoda. — Ja tu czuję się równym wam i jako z równymi mówić przychodzę. Przymierze przynoszę, mówmy o warunkach.

Mistrz spokojnie się uśmiechnął.

— Mylicie się, panie palatynie — rzekł do Petrka. — Jak skoro tu jesteście i krok ten uczyniliście, na łaskę i niełaskę zakonu zdaliście się dobrowolnie. Lecz wspaniałomyślny zakon rycerzy Grobu Pańskiego i sług Marji nie zechce korzystać z tej mocy, jaką mu daje nad wami nieszczęście wasze. Spokojni bądźcie.

Wojewoda postrzegł dopiero teraz może, jak daleko zaszedł i jak zwrot był niepodobnym.

W istocie był na łasce lub niełasce zakonu, w rękach jego, nie wolnym sprzymierzeńcem, ale przymusowym sługą. Zemsta czyniła go niewolnikiem — westchnął boleśnie. Mistrz uznał właściwem ranę złagodzić i wyrzekł kilka słów pochlebnych.

— Nie trwóźcie się — począł, — byśmy posługi waszej nie umieli ocenić. Jest ona dla nas przydatną i nie zaprzemy jej.

Poczem natychmiast spytał jeszcze Petrka, ilu mu ludzi przyprowadzić może wojewoda, jak zbrojnych i kiedy się z nimi stawić może.

Rozmowa z namiętnej stawała się chłodniejszą i rachunkową. Lecz niepodobieństwem było wojewodzie ściśle siły zbierające się oznaczyć. Obiecywał do tysiąca rycerstwa dobrze zbrojnego, a kilkakroć tyle ludu pospolitego, który ono prowadzić miało.

Mistrz chłodno uczynił uwagę, że najlepiej zbrojny Polak z niemieckim rycerzem narówni stanąć nie mógł i dodał, że ludu też niewiele ceni, chyba dla straży przy łupach i zdobyczy.

Zniżał tym sposobem szacunek ofiary, jakgdyby chciał razem i nagrody niemieckie uszczuplić. Dotknęło to wojewodę, zżymnął się srodze.

— Prawda jest — rzekł, — że nasze rycerstwo tyle żelaza na sobie nie nosi, lecz łącniej zato obraca, a czasu boju, gdy się na stronę, w której posiłków potrzeba, przerzucić może, wielkie usługi oddać potrafi.

Luder nie chciał temu zaprzeczać, głową tylko potwierdził, co słyszał. Rzekł potem zaraz, że mu pilno było i że posiłków tych oczekiwać długo nie może, wszystko już mając do wyprawy wpogotowiu.

Wojewoda odparł opryskliwie i niechętnie, że gońców rozesłał i że w dni kilka przyciągnąć może.

Mistrz na dni kilka wyraził zgodę. Tak na mały czas, wyczerpana pozornie, przerwała się rozmowa. Spozierali na siebie, lecz nietrudno było zrozumieć, iż wojewoda miał wiele na sercu, z czego się nie wyśpowiadał, co chciał obwarować i wypowiedzieć.

Luder też cierpliwie czekał.

Szepnął Wincz Petrкови, już prędko mówiąc, aby zawarował u mistrza, że ziemi tej, z której on żołnierza przyprowadzi, niszczyć i najeżdzać nie będzie.

Nastąpiło długie milczenie, stał mistrz zadumany, niepewny, obrachowując, co miał powiedzieć, nie śpiesząc z obietnicą żadną.

— Znacie, co to wojna — rzekł wkońcu. — Gdy się wyciąga w pole, wie wódz, dokąd prowadzi, a jak daleko zajdzie i gdzie mu zboczyć przyjdzie, pewnym nie jest nigdy. Próżną tu więc byłaby obietnica, której dotrzymać nie jest w ludzkiej mocy. Zechcemy ziemię

waszą i posiadłości szanować, jak posiłkującemu należy, lecz za los wojny któż zaręczy?

Poruszył ramionami.

Wincz wlepił w niego oczy i nie wyczytać nie mógł w wejrzeniu oprócz chłodu i pewności siebie, a tej wyższości, z jaką mistrz to mu dawał, co chciał, do niczego się nie widząc zmuszonym.

Wojewoda drgnął, zbladł, ale uczucie upadku swojego, który poczuł, ukrył, bo się go sromał. Gorycz tę połknąć musiał i strawić w sobie.

Siwa głowa opadła na piersi. Tak więc oddawał całego siebie, życie, cześć, wierność swą, niepodległość, do jakiej nawykł, a wzamian zyskiwał tylko jedno — nasycenie zemsty upragnionej.

Krew, której się miał napić, winna mu była starczyć za wszystko.

Uśmiechnął się do siebie sam.

— Zemstę, zemstę będę miał — pomyślał, — choć ją okupię drogo.

Mistrz Luder, który już rozmowę za skończoną uważał, a był z niej i z siebie rad, z rozjaśnionem czołem przystąpił bliżej do wojewody i tonem łagodnym, poufalszym przez Petrka rozpytywać go zaczął, troskliwie niby — czy rodzinę swą uprowadził, czy bezpiecznym był od króla i królewicza, że zawczasu myśli jego nie odgadną.

Na to wojewoda mrukliwie, krótko, niebardzo chętnie, pół słowa tylko dał odpowiedź zbywającą. Oświadczył zarazem, iż długo tu zabawić nie może i widzianymby być nie chciał, zatem upewniwszy się o miejsce, na które się ma stawić, natychmiast mistrza pożegnać musi.

Chciał potem wznowić mowę o tem, co uparcie przymierzem nazywał, lecz Luder powtórnie zbył go słowy ogólnemi, a co przykrzejsza, okazał cię pewien nieufności, jakgdyby do zrozumienia dać chciał, iż ten, co jednego zdradza, i drugiemu może słowa nie strzymać.

Musiał i to przełknąć wojewoda, udając, jakoby nie rozumiał; westchnienie z piersi mu się wyrwało.

Jeszcze rozmawiali, gdy Luder, wychyliwszy się ku kompanowi, za drzwiami nań oczekującemu, rozkazał podać wino i jedzenie, nie mogąc gościa, który widziącym nie chciał być, prowadzić do wspólnego stołu.

Wszystko było obrachowane tak, aby do uczt królewskich nawykłemu Winczowi, który sam zamożnym był panem, okazać bogactwo i wspaniałość zakonu. W trzeciej izbie stał już nakryty obrusem szytym, zastawiony srebrnymi naczyniami pozłocistymi, szkłem weneckiem, misternymi puhary i misami stół, od którego zapach silny korzennych przypraw zdala czuć było.

Tu Luder wprowadził gościa, zapraszając do posiłku przed podróżą. Sam on, do kubka nalawszy tylko nieco pigmentu, do ust go przyłożył za zdrowie wojewody.

Petrek się chciwie, nóż dobywszy z za pasa, rzucił na jadło; Wincz nie, oprócz wina, nie tknął, chleba kawałek skruszył i zadumany pił tylko.

Posepność gościa, który miał odjechać z bólem w duszy, musiała nie być miłą mistrzowi, gdyż zmuszając się do wesołości, usiłował go w lepszy humor wprowadzić. Trudne to było zadanie. Dopiero, gdy o królu Łoktku, o synu jego, o głośnej historii na dworze Karola Roberta mówić począł, zapowiadając, iż wobec Jana, króla czeskiego, który razem polskim się zwał i był, Władysław utrzymać się nie potrafi — usta się rozwiązały wojewodzie.

Namiętnie przeciwko królowi występować zaczął, wyśmiewając się i odgrażając nań.

Całe tam Łokietkowe życie przeszło przez gryzące zęby człowieka, który temu królowi wszystko, czem był, zawdzięczał: owe boje początkowe młodzieńcze zuchwałe, szczęśliwe i niefortunne, ubóstwo, prześladowanie, wojskowe hasanie po kraju, pokuta, wygnanie, powrót, walki... a wszystko to, co się na najpiękniejszy obraz niezmordowanej pracy składało, w ustach

Wincza było przedmiotem szyderstwa i najczarniejszych potwarzy.

Mistrz Luder, który nie siadał do stołu, ani jadł z nimi, słuchał, rozumiejąc potrosze, ale nie potakiwał. Jako krzyżak, nienawidził on upartego Łoktka, który zakonowi dokuczał i przed papieżem go oskarżył, a Pomorza broniąc, opanować nie dawał, ale oddawna słysząc o nim i patrząc nań, miał dlań poszanowanie, jakie każda wytrwałość i męstwo obudza nawet w nieprzyjacielu.

Petrek tylko, jedząc i pijąc, czuł się w obowiązku uśmiechać i podnosić, co mówił wojewoda, aby mu się przypodchlebić, niekiedy naprędce tłumacząc mistrzowi co dosadniejsze ustępy z wykrzykiwań Wincza.

Przeszła tak chwila dość długa. Wojewoda spojrzał w okno i ruszył się z pożegnaniem, widząc, że dłuższym pobytem nic już tu nie zyszcze, czując, że był jak w zasadzkę wprowadzony i schwytyany z małą lub żadną korzyścią dla siebie.

Przy pożegnaniu też, gdy mistrz wielce był uprzejmym, wojewoda rozstawał się z nim z dumą i wyraźną jakby obrazą. Sam sobie był winien, nie było już na to ratunku.

Gdy sami znaleźli się w korytarzu, zwrócił się nagle do Petrka, który nie zdawał się uczuć jego rozumieć ani podzielać.

— Bodaj cię pioruny biły, ciebie, coś mnie tu wprowadził — zawołał. — Z temi lisami w mniszach sukniach i zbrojach razem, w kapturach, a przy mieczach, djabeł nie dojdzie sprawy!

Petrek osłupiał.

— Samiście chcieli z nim rozmowy! — wykrzyknął zdziwiony.

Wojewoda ramionami ruszył i począł kłąć.

— Głupim był — mówił, idąc, — trzeba ich było do mnie sprowadzić, a inaczejby się gadało.

— Z nich żadenby do was nie pojechał.

— A! bo rozumniejsi są ode mnie — zawołał Wincz, — a nadewszystko zimniejsi, gdy tu we mnie

kipi wszystko! kipi! wre! Ha! stało się! Jeszcze mnie całego w rękę nie mają.

To mówiąc, korytarzami zwrócili się ku podwórcom, w których konie ich i ludzie stali ukryci.

Widok tych wielkich przestronnych placów wśród twierdzy wielce teraz był ożywiony. Zwykle dosyć puste, napelniły się przybywającymi coraz z innych burgów zakonnych rycerzami, sergentami, pachołkami, czeladzią i wozami.

Wyprawa przeciwko Polsce po rozejmie gotowała się całemi siły zakonu, popartego przez przybyłych z Zachodu gości; szeroko miano rozpuścić zagony i po drodze warowne grody zdobywać, aby się w nich sadować samym, lub nie dać chronić nieszczęśliwemu ludowi.

Przybory więc widać było niezmierne, mogące dać pojęcie, z jaką straszliwą wojną na polskie posiadłości runąć mieli krzyżacy, spodziewając się Łoktka przestraszyć, osłabić i uczynić sobie powolnym, a pomścić się za jego skargi, do papieża wnoszone.

Wojewoda stanął zdumiony tym ogromem przyrządów wojennych, które zepchnięte stały w podwórcach jedne przy drugich, dziwne jakieś przedstawiając rusztowania, windy, drabiny, belkowania, w których lesie trudno się było rozpoznać.

Wszystko, co dawniej znanem było i używanem przy obleganiu zamków, i co teraz wynaleziono na Zachodzie, a zaledwie używać zaczynano, krzyżakom służyło.

Od 1328 roku mieli oni już moździerze długie, ze sztab żelaznych, spajanych obręczami, i śmigownice, znali użycie prochu i kul ognistych. Gotowali się właśnie przerażać niemi polskich kasztelanów i palić zamki, których oni bronili. Wszystkie one prawie naówczas drewniane jeszcze były, rzadko gdzie jaki kawał muru się znajdował, a od podkładanego ognia broniła ich nalepa gliniana. Łatwo więc było zapalać dachy i odarłszy ściany, ogień pod nie podłożyć.

Oprócz moździerzy i żelaznych działek, z którymi,

jak z tajemniczemi narzędziami kryli się krzyżacy, wi-
dać było w podwórcach ogromne blejdeny, wippy do
ciskania kamieni, baljoty na kołach, liburny, drabiny
i haki.

Większe z nich, których za wojskiem ciągnąć było
niepodobna, rozbierali cieśle na wozy, inne na czółna
składano do przewozu.

Około nich kręcił się mnogi lud, szwargoczący po
niemiecku, i nadzorcy stali, rozprawiając, co brać, co
porzucić i jak zbierać.

Ciekawy Petrek, który już tu sznurkował wprzód
i podglądał, prowadząc wojewodę wśród tego lasu, kę-
dy drogę sobie utorować nie było łatwo — zawiódł go
umyślnie do miejsca, gdzie nowe przybory do wyrzu-
cania ognia i kul kamiennych stały osobno pod strażą.
Tu najwięcej też się ludzi skupiało, opowiadając o cu-
dowej sile jakiegoś czarnego proszku, którego parę
garści starczyło, by ogromną kulę, którą ludzi kilku
zaledwie podnieść mogło, cisnąć na nieprzyjaciela.

Opowiadano sobie, że pobożny jakiś mnich, zaba-
wiający się robieniem lekarstw i różnych eliksirów, za
przyczyną patronów świętych ten straszny ogień wy-
nalazł, aby on służył przeciwko poganom na chwałę
Bożą.

Uczeńsi utrzymywali, iż robiono go z siarki, soli
jakiejś i węgla, i że pobożny też Albertus Wielki, mnich
w Kolonji, znał już tego ognia siłę i jej używał.

Wincz mógł zdala przypatrzyć się niepozornemu
żelaznemu działu i na wozie złożonemu moździerzowi.
Postali, poruszyli głowami, a że tu na nich krzyżacka
służba z nieufnością patrzała, wprędce musieli odsta-
pić i szukać ludzi swoich i koni.

Te przygotowania do strasznej wojny, której skut-
ki znał dobrze wojewoda, choć ona do pomszczenia go
przyłożyć się miała, zachmurzyły mu czoło bardziej
jeszcze.

Któż kiedy w pochodzie strzymał zwycięskich krzy-
żaków, jeśli się im poszczęściło, a z bezbronnymi mieli
mieszkańcami do czynienia? Wincz wiedział, że i jego

ziemie, dwory, poddani, jeżeli się na drodze znajdą, poszanowanemi nie będą.

Wszędzie, kędy przeszedł zastęp krzyżacki, zostawała po nim pustynia, zgliszcza i nawet Bogu poświęcony kościół, ni klasztor się nie ostał. Nie brali niewolnika, wycinali w pień.

Z tatarskiej niewoli okupić się było można; z pod miecza, krzyżem naznaczonego, nikt żyw nie uszedł.

IV.

Gdy sprawiwszy poselstwo swe, Florjan Szary z Surdegi nad Pilicą, wyszedł ze dworu wojewody Wincza, szukając sobie noclegu krótkiego, bo się wnet nazad ze sprawą do swojego wodza Hebdy do Sieradza chciał pośpieszyć, Włostok, prawa ręka wojewody, zastąpił mu drogę i ofiarował się izbę ukazać, zapraszając na kubek miodu, do pościeli zwykle wychylany dla snu lepszego.

Czynił to w myśl pana swojego, a może z rozkazu.

Szary, który do rozmów wesołych, do pogadanek żartobliwych wcale nie miał ochoty, w kubku też pociechy nie zwykł był szukać, choć troski miał dosyć na głowie, grzeczną ofiarę pułkownódey przyjąć musiał, lecz milcząco, na swój sposób, spokojnie i chłodno.

Zaszli do osobnej izbiny, gdzie już i ogień znaleźli naniecony, dzbanek gotowy i łoże posłane, a przez pacholka Florjanowego opończą jego i skórą narzucone.

Przysiadł się Włostek, żołnierz od dzieciństwa, wychowanek wojewody, służka powolny, zręcznie usiłując Florjana wybadać, z ciekawości niby, jakie tam i gdzie siły król zbierał i kędy miał iść z niemi.

Florjan, choć podejrzenia najmniejszego o knującą się zdradzie mieć nie mógł, instynktowi, a potrosze i naturze swej posłuszny, niebardzo się wygadywał. Składał się z nieświadomością swą, że go dopiero teraz Hebda z domu wyrwał, że niewiele co było mu wiadomo.

— Tyle wiem — rzekł, — że król bardzo pilno zbiera ludzi, a i Węgrów zaciężnych będzie miał, i Litwa mu się też posiłkować przyobiegała.

— No, to siły, dzięki Bogu, znaczne zbierze — mruknął Włostek, — ale takich też na krzyżaków potrzeba, bo ludzie bardzo mocni są i także nie sami. Za plecami ich i król Jan, i Niemców siła.

Nie znalazłszy w Szarym żadnego popędu do rozgadania się przy kubku, bo mu tylko pół słowami odpowiadał i zdał się jakby znużonym i sennym, co po podróży dziwnem nie było, Włostek, nie bawiąc tu nadaremnie, dobrego snu życzył gościowi i wyszedł z izby.

Szary, sam pozostawszy, ciężko westchnął, począł odzież na sobie zwalniać, pas zdjął i przybierał się do łoża, naprzód pokłakłszy na modlitwę. Ród to bowiem był pobożny bardzo i w bojaźni Bożej chowany.

Miał pokłęknać, gdy od drzwi coś zaszelpotało. Myślał pan Florjan z początku, że w kominie ogień się ruszył i odwrócił się ku niemu, patrząc, by głównia na podłogę się nie stoczyła, gdy w ciemnym kącie dojrzał kogoś stojącego i jakby skradającego się ku niemu.

Ktoby to mógł być, zrozumieć było trudno... Wślizgnął się dopiero, ostrożnie drzwi uchyliwszy, człek ten, cały otulony opończą, której kołnierz wysoko mu stał napięty dokoła głowy i zakrywał ją całkiem prawie.

Stapał noga za nogą tak, aby chodu jego słyszać nie było.

Nie mógł wszakże złodziejem ani napastnikiem być, bo oko w oko patrzył na Szarego i znaki mu ręką dawał, aby milczał.

Ziemianin nasz wielce był zdumiony.

Doszedłszy do granicy tej, gdzie się ciemność kończyła, a blask od komina poczynał, stanął ów tajemniczy przybysz i palcami dawał znaki Florjanowi, by się ku niemu przybliżył.

Coraz więcej zdumiewał się Szary, co to oznaczać miało.

W mroku człka rozpoznać nie było można, i on też nie chciał pono się bardzo ukazywać. Był wzrostu

niewielkiego, krępy, czapkę miał nasadzoną na czoło i kołnierz prawie do niej dochodzący, tak, że ledwie ślepia widać było, gdy migały.

Nie zawahałwszy się i nie pomyślawszy nawet o wzięciu miecza, który już odpasał i na pościeli położył, Szary podstąpił do dającego mu znaki.

Zbliżywszy się tuż, twarzy nie rozeznał, lecz głos posłyszał stłumiony a szparki:

— Kiedy ci król miły i wiernyś sługa jego — chodź...

I naglić począł, chwyciwszy go za pętlę u sukni.

— Chodź!

— Dokąd?

— Mało stąd, mało, gdziebyśmy się bezpiecznie rozmówić mogli.

To mówiąc, zawrócił się nieznajomy człek, wysunął przez drzwi, oglądając za siebie — i jakby go co tknęło jeszcze, rzekł Florjanowi:

— Okno wprzódzy zasuńcie, aby nie podpatrzono, że was w izbie niema.

Szary, zaciekawiony, posłuchał rady, choć nie rozumiał całej tej tajemnicy, ani poco go z izby wyciągano.

Zakłęcie — jako ci król miły — wiele poskutkowało, bo całym plemieniem owi z Surdegi, jak znaczniejsza część Sieradzan, do Łoktka byli przywiązani.

Z izby wyszedłszy, omackiem musieli po sieniach iść, aż w bezpieczniejszym kącie jakimś prowadzący stanął, za suknię ujął Szarego i, do ucha mu się chyląc, szeptać począł:

— Pan Bóg cię tu miłosierny przyprowadził! Wszak Hebda królowi wierny, a i wy?

— A komużbyśmy sprzyjać mieli? — odmrugnał urażony niemal Szary — o to i pytać się nie godzi.

— Słuchajże i bądź posłuszny — ciągnął dalej głos drżący, w którym Szary męski, silny, ale i stłumiony poznawał. — Pan Bóg cię tu przywiódł! Pan Bóg! Sam On! miłosierdzie jego! Nad królem wisi straszna zdrada; ten, którego on zrobił wielkim i potężnym, ten pan

wojewoda Wincz, zły, że mu dla młodego pana odebrano rządy, zemstą się pali, idzie do krzyżaków z całą swą siłą i poprowadzi ich na królewskie grody.

Spokojny dotąd i chłodny Florjan rzucił się oburzony.

— Na imię Chrystusowe! to nie może być! kto? wojewoda?

— Pst, milcz — począł drugi, ciągnąc go za suknię. — Ja ci to pod przysięgą zeznaję, jak Boga oglądać pragnę. Prawda jest. Ja należę do wojewody, jam w jego rękę; gdyby się domyślał, że go wydaje, jutroby mnie obwiesić kazał, *na stan nie zważając* — ale sumienie mam, ale pobożnego króla starego bronić muszę. Czas jeszcze, aby nieszczęściu zapobiec można. Jedź... jedź naprzód nie do Hebdy, ale do Poznania do młodego pana, do Kazimierza; ten o niczem nie wie... a pod nim ogień podkładają — potem wskok do Hebdy, aby staremu panu dawał znać. A niech się wam nie roi, że wam lada kto pociemku baśń do ucha włożył. Bogiem się klnę — prawda to jest.

Zdyszany szybkim mówieniem, nieznajomy mąż tchnął nieco — a Szary stał coraz więcej zdumiony, aż mu się w głowie zawracało.

Nie wiedział, czy miał wierzyć słowom i przysięgom — obawiał się jakiegoś podejsścia, aby go na złe nie użyto. Pomimo zaklęć nie chciał wierzyć, aby ten wojewoda, z którym niedawno mówił, a o którym wiedział, że zdawna mu król ufał i całą tę Wielkopolskę zdawał na niego — miał pana swego haniebnie zdradzić.

Słyszał o tem, że Kazimierza do Poznania z żoną wysłano, ale nie rozumiał, jakby urzędnik miał zazdrośnym być o władzę, należną królewiczowi.

Milczał więc w niepewności wielkiej i rozdarty na poły między obawą łatwowierności lub niedowiarstwa.

Mówiący odpoczął chwilę i nie doczekawszy żadnej odpowiedzi, odezwał się do Szarego:

— Rozumiecie mnie? — posłuchacie?

— Rozumiem cię — odparł Florjan, — ale żebym

spełna już wiarę dawał — nie powiem. Widzi mi się to niepodobnem do prawdy, a może mściwem.

— Człecz! — przerwał głos groźny, — nie mogę ci powiedzieć, kto jestem, bo życie ważę, ale klnę ci się przenajświętszą krwią Chrystusową. Słuchaj! Kapłan jestem, ksiądz jestem. Nie ważyłbym takiego słowa, co na szali, jak kamień, zawisnie, gdybym nie wiedział, iż prawdę w sobie zawiera.

Florjan milczał. Większe miał teraz poszanowanie dla tego, z kim mówił; poczuwał się do należnego posłuszeństwa.

— Cóż mi czynić każecie? — spytał.

— Powtórzę ci: do Poznania mi stąd jedźcie do samego młodego pana. On o niczem nie wie, do ostatniej chwili się niczego nie domyśli. Zdrada go otacza, wojewoda ma u jego boku swoich ludzi. Żadnemu wierzyć nie można, okrom Trepki. Powiedz mu to i niech się ma na ostrożności. Niech lepiej do ojca i do wojska jedzie z Nekandą, a nie siedzi w Poznaniu. Długo się na tę zdradę zbierało, długo Wincz z sobą się rozpie-rał — ale już paskudny wrzód w nim dojrzał, już. Rozkazy wydane, on sam pewnie z Petrkiem Kopą do krzyżaków pojedzie. Z Poznania albo do króla starego z tem słowem jedź, lub do Hebdy... dokąd bliżej, gdzie staniesz prędzej, znać dawaj, a śpiesz — a leć! Żywa dusza jeszcze nie wie o tem, co się knuje, oprócz zauszników wojewody. Król bezpieczny rachuje na posiłki z Wielkopolski, a one przeciw niemu pójdą, przeciw niemu... I ziemię naszą wezmą krzyżacy nie-poczcwi, i wy, i Łoktek zginie!

Choć w ciemnościach twarzy mówiącego dojrzeć nie mógł Florjan, z głosu drżącego odgadywał poruszenie wielkie i niepokój.

Jeszcze raz bojaźliwie, pocichu spytał:

— Więc do Poznania?

— Nie mówiąc nikomu — dodał nieznajomy — nikomu. Nie nocuj tu długo, każda godzina droga.

To rzekłszy, począł go nazad do izby prowadzić

nieznany człek, do drzwi jej dowiódł i rękę mu położywszy na głowie, szepnął po łacinie:

— *Benedicat te Deus!*

Szary chciał go w rękę pocałować, ale obróciwszy się, już tylko szmer odchodzącego posłyszał.

Pocichu więc wsunął się do izby, w której ogień był przygasł i, jak stał, na pościel się rzucił, nie żeby spać, lecz by spocząć i rozmyślić się.

Do jego własnych ciężkich trosk przybyła mu teraz nowa, a nad nie straszniejsza.

Nie o jednego tu człeka szło, ale o tysiące, a najbardziej o tego starca króla, który, całe przewalczywszy życie, nie zaznawszy spokoju, nie wziąwszy za trud swój zapłaty, z siwym włosem, ze starganemi siły, stał teraz znów u brzegu przepaści, nie wiedząc o niej.

Litość wielka zdjęła mu serce dla pana tego, który tyłu miał już nieprzyjaciół, a tu mu własny sługa miał się stać wrogiem.

Twardej natury, nigdy do łez nieskłonny, Florjan o mało nie zapłakał.

Nie było tu co już do snu się kłaść, bo znużony mógł ranek zaspać; zatrwożył się, pierwsze kury już słyhać było.

Położył parę polan na ognisko — zadumał się.

Pilno mu było przed wyprawą zajrzeć do domu, ależ stokroć teraz pilniej do Poznania, do królewicza z językiem. Wiedział, jak stary król jedynaka swojego miłował, bo na nim złożył całą nadzieję i przyszłość rodu swego, a tam temu kochanemu zdrada, już uknuta, zagrażała. Śpieszyć więc musiał, a baczny być.

Wszystko to w sobie ważąc, Szary ucha nadstawił, rychło-li drugie kury zapieją. Dzień jesienny wprawdzie nierychło miał nadejść, lecz przypomniawszy sobie, iż reszta księżyca ostatek nocy mogła oświecić. Szło tylko o to, aby w tym dworze i nieznanych szopach, wśród natłoku ludzi, konie swe i czeladź znaleźć po nocy, nikogo nie budząc i na siebie oczów nie zwracając.

Piały drugie kury, gdy Szary podniósł się z pościeli, czapkę wdział, miecz na wypadek wszelki przypasał,

bo bez niego nocką w obcym miejscu wyjść nie było bezpiecznie, i wysunął się z izby, szukając drzwi — na podsienie.

Starym obyczajem wszystko tu stało otworem; w podwórcach się spodziewał, wychodząc, znaleźć sen i ciszę; lecz zdumiał się bardzo mocno, gdy stanąwszy u wielkich drzwi i wyglądając ku wodopojowi i szopom, postrzegł między ludźmi wojewody ruch wielki... Poza studnią rozpalone było ognisko i ludzie się okolo niego, jak ćmy, kręcili.

Noc w istocie, jak się spodziewał, niebardzo była ciemna, dostrzegł więc, że niektórzy na koń wsiadali i ruszali się już w drogę, drudzy w podwórku konie wiedli; inni, nie śpiąc, przy ogniu czuwali. Z postawy człeka, który przeciw płomieni stojąc, jak czarny cień się wydawał, zdało się Florjanowi, iż Włostka poznawał.

I jemu więc tem bardziej czas było w drogę. Nie myśląc długo, posunął się ku szopom, aby się dobudzić czeladzi, o której wiedział z doświadczenia, że sen miała twardy.

Szcześnie dlań pacholę jego, zaniepokojone tym nocnym ruchem, który we dworze panował, nie spało, i poznawszy krocącego pana, podbiegło ku niemu z pod szopy. Konie nakazawszy siodłać natychmiast. Szary spokojniejszy do dworu powrócił, przyodział się, jak należało i wprędce zabrawszy, co miał, do przedsienu wyszedł czekać.

Bardzo mu o to szło, aby jego wyjazdu tak pośpiesznego nie dostrzeżono, lecz było to prawie niepodobieństwem. Musiał więc, wreszcie konia dosiadłszy, powoli ciągnąć i nadchodzącego Włostka pozdrowić, rad, że mu się bez przeszkody za wrota wydobyć udało...

Drogi do Poznania nie pamiętał wprawdzie, ani o nią mógł pytać, aby podejrzenia nie obudzić — instynktem więc ruszył ode dworu w prawo, choćby miał pobłądzić, postanowiwszy rychło u ludzi nie badać o gościniec. Musiał się na łaskę Bożą spuścić i naoslep

ciągnąć po nocy. Księżyc, przekrojony już napół, kawałkiem mu przyświecał, potrosze aż do dnia.

Ku lasom się zbliżał, gdy i pierwsze brzaski na niebie się ukazały. Z niemi też i ludzie w polu musieli się zjawiać: pastuchy z bydłem, a później rolnicy z radłami i bronami.

Pustą jednak wydawała mu się okolica i żywego ducha w niej nie znalazł, oprócz stad wron i kruków, które zobaczywszy, jak od złych proroków się przeżegnał.

Był już na skraju lasu, gdy nareszcie zobaczył człowieka, zdala o kiju kroczącego. Spostrzegł go daleko, wprzód, nim on się widzianym być spodziewał. Mężczyzna wydał mu się silnym i rośłym, chociaż o kiju szedł i podobnym był ze stroju łachmanów i torby do żebraka.

Lecz gdy Szary właśnie mu się przyglądał, stał się cud: — ów żebrak wnet się zgiął, zgarbił, zmałał, na kiju począł ciężko opierać i wlec tak noga za nogą, jak gdyby ledwie mu na to sił stawało.

Bystre miał oko Szary i ta nagła odmiana nie uszła mu, lecz że siła jeszcze się włóczyło takich ubogich: wróżbitów, śpiewaków, nędzarzy, a ci się często schożzałymi czynili, aby litość obudzić — tak to sobie Flo-rjan wytłumaczył.

Bacznie jednak wpatrywał się w żebraka, który tym samym przeciwko niemu szedł gościńcem.

Widać teraz było, że głowę miał z karkiem przekrzywioną, a krzyże jakby złamane, choć niedawno przysięgłby był Szary, że go prostym zdala ujrzał.

Zwolnik koniowi kroku, bo się u żebraka o drogę chciał popytać, i narówni z nim stanąwszy — widział.

Żebrak się pokłonił, rękę wyciągając, podniósł też nieco głowy, o ile mu kark pozwalał. Oboje, twarz i ręka, jakoś się dziwnemi zdały Szaremu. Twarz miał białą i rysów nie dziadowskich, oczy wielkie i mądre, rękę niezapracowaną; tylko usta wykrzywione, z wargą dolną, jakby naumyślnie odwaloną, nadawały mu

wyraz znękanego i cierpiącego... A oczy, jakby u kogo innego pożyczone, patrzyły.

— Dobrzeć jadę do...?

Tu Szary się pomiarkował i zmienił pytanie:

— Dokąd prowadzi ta droga, bom obcy?

Dziad począł mu się przypatrywać, nie śpiesząc z odpowiedzią, a gdy się na nią zebrał, zabrzmiał głos jego dziwnie. Polską miał mowę, ale prostych ludzi i dźwięczącą jakby z obca.

— Droga? — powtórzył, — droga? toć do Poznania. A wam, miłościwy panie, dokąd trzeba?

Florjan się zamyślił.

— Do kata! — zawołał — nie do Poznania mi... Ano, co robić? Nawrócę dalej, gdym zbłądził.

Sparłszy się na kiju, dziad stał i oka nie spuszczał z jeźdźca.

— Wyście tuteczni? — pytał Florjan.

— E, z całego świata! — mruknął dziad. — Kto z torbami chadza, domu nie ma, i wszędzie mu dom, byle łom!

Westchnął.

Florjan z kalety dobył pieniążka i rzucił mu go na dłoń białą. Nie ruszał się żebrak, nie jechał Szary.

— Rozpowiedzieć-no mi, dokąd ja zajadę tym gościńcem? — począł.

— A toć droga wojewodzińska, co ją wyjeździł pan Wincz, ludzie prawią — zamruczał dziad. — Jam tam nie świadom. Panisko też nie tuteczny — mówił — pewnie od wojewody po sprawie posłany, bo on, słyszę, w Pomorzanach?

Szary milczał, rozmyślając i nie odpowiadając, wołał sam rzucić pytanie:

— Po świecie co tam słyhać?...

— Co? Jak nie mór, to głód, jak nie głód, to wojna — prawił żebrak, — a teraz coś ludzie bardzo na wojnę prawią. Nie daj Boże... Jak się pierwsze sioła zapala, pójdą wszyscy w lasy... Krakają już krucy, aż wykrakają...

Wkońcu znienacka rzucił znowu dziad ciekawy:

— Panko nie do Poznania?

Florjan gniewnie ręką zamachnął.

— Gdzie zaś!

— To nawrócić trzeba, nawrócić! — rzekł dziad.

— Wprzód gospody muszę szukać i popaść — mruknął Szary. — Z Bogiem!

I wyminął żebraka.

Ten stał skurczony, a gdy Szary go za sobą zostawił, zwrócił się, powoli prostować zaczął i gdy już go nie widział, kark mu się odgiął i krzyże — zrobił się chłop silny, z szyderskim uśmiechem na twarzy. Żywym krokiem ciągnął wprost do Pomorzan.

Florjan wjeżdżał w las, gdy pacholę szepnęło:

— Toć dziad złodziej, czy co; z za pazuchy mu świeciło coś schowanego, jakby ze złota...

— Tobie aby mosiądza kawał za złoto świeci, krzyżyk na sznurku musiał mieć od uroku...

Chłopak nie rzekł nic, lecz głową potrząsał.

W las wjechawszy, a drogi swej pewien będąc, poprawił się na siodle Szary, konia ścisnął i obróciwszy się do czeladzi, aby nie zostawała wtyle, z kopyta ruszył.

Słońce weszło na szczęście podróżnemu wesołe i jasne, mgły jesienne rychło w dół pospadały, co było dobrym na pogodę znakiem; pajęczyny świeciły po polach, jak srebrem zasnute, dzień się zrobił taki, jakby chciał wiosnę przypominać — tylko ciepły do zbytku.

Jechali też krajem, którego dawno wojna nie tknęła, choć lesistym, lecz tu i owdzie osiedlonym i znacznie przekarczowanym; na ścierniach się pasły trzody i ludzie, na widok podróżnego niebardzo odeń uciekali.

Około południa trafiła im się i gospoda z szopą, gdzie koniom można było dać spocząć i napoić je. Do Poznania już nad wieczór się spodziewał dociągnąć Szary, myśląc teraz, jak ma się na zamek dostać, aby wśród tych zdrajców, o których go przestrzegano, po-

znanym i odkrytym nie był, a do królewicza mógł trafić.

Przystęp pewnie trudnym ziemianinowi żadnemu nie był, lecz z czem się miał opowiadać, aby się nie odkryć — sam nie wiedział.

Człek był pobożny, gdy mu własnego nie stawało wątku, obyczaj miał, iż do Boga o pomoc wzdychał, a ta mu nigdy potem nie chybiła. I na ten raz też myślał sobie, że byle do miasta się dostał, i na zamek potrafi...

W tych myślach, ku wieczorowi, gdy już wedle rachuby swej, o jaką milę albo i mniej był od miasta, a wieczór tak śliczny mu sprzyjał, że i droga się nie dłużyła, wjechał do lasku i zwolnił kroku.

Gościniec się nim wił sobie pomiędzy drzewy, jakby z ludzi żartował, coraz to łączkę zieloną, to rozpierschłte drzewa stare, co się porozbiegały od siebie, szeroko gałęzie rozpościerając.

Lubo jechać mu było, więc nie śpieszył.

Wtem, gdy tak jedzie, ucha nastawił; zdala go śpiewy doleciały, pomieszane ze śmiechami wesołemi. Poznawał głosy kobiece.

Słyszał nieraz Szary ludowe pieśni i słuchać ich lubił, a że młodszym będąc, nietylko sieradzkie, łączyckie, kaliskie, ale krakowskie i sandomierskie zwiedzał okolice i znał zawodzenia różnego wieśniaka polskiego, choć potrosze od siebie różne, a jednak do siebie podobne, zdziwiło go to, że pieśni, które go dochodziły, i nutą i językiem były odmiennym nucone... Ślicznie one brzmiały, tęskno, marząco, słodko, ale obco...

Dotąd jednak podróżny śpiewających nie mógł dostrzec. Dopiero, gdy się droga zakreśliła nagle, musiał aż konia strzymać, bo tuż, tuż nadciągał orszak osobliwy, jakiego w życiu nie widział i nawet wyśnić było trudno, a zrozumieć, kto tak jechał śpiewając, i poco, trudniej jeszcze.

Przodem na siwym, małym, ładnym koniku jechała piękna pani. Konik napół był okryty szkarłatną oponą ze złotymi brzegami i chwastami, rząd na nim świecący,

złożony, miał wielki guz, złocisty także, na piersiach, na głowie czub, a pod szyją wiszące sznury ponsowe ze złotem.

Jadąca na nim z podniesioną do góry główką kobieta włosy miała, jak len, jasne, w kędziorach spadające na szyję, a po niej spływające dokoła twarzyczki na ramiona; zasłonę białą, po brzegach szytą złotem.

Suknia na niej jasna, poprzepasywana i bramowana, szyta wzorzysto, obcisła, okryta była płaszczykiem lekkim fioletowej barwy, który więcej ją stroił, niż osłaniał. Wesoła to była i szczęśliwa jakaś istota; śmiały się oczy jej, usta, rumiane lice, gładkie czoło. Śpiewała z takim zapalem, tak sama swą pieśnią szczęśliwa, jakby dla niej największą było rozkoszą nucić i słuchać piosenki.

Za nią na koniach, na wozach i pieszo jechały i szły dziewczęta w zielonych wiankach rucianych, poubierane biało, poprzepasywane i postrojone kwieciem, tak rozśpiewane, jak pani, towarzyszące jej głosami i uśmiechy.

Kilku starszych mężczyzn, jakby na straży jechało konno, a młodsze pacholeta szły przy koniu pani, uzdy jego pilnując.

Ona bowiem sama, cugle szkarłatne zarzuciwszy na rękę, na żwawego konika zważała mało, a siwy, wypasiony wierzchowczyk miał fantazji wiele: głową rzucał, pobrykiwał, zżymał się, chciał swawolić. Naówczas jeden z chłopaków, idących przy nim, chwycił żwawo za uzdeczkę, zmuszając go do posłuszeństwa i spokoju.

Orszak to był wesóły i jakby weselny, a po twarzach kobiet, które pięknej jasnowłosej towarzyszyły, widać było, że troski żadnej nie знаły, świata się radowały i pani swej nie miały się przyczyny obawiać.

Coraz to która wyrwała się z orszaku za kwiatkiem, za zieleńszą gałęzią, popychały jedna drugą, a wśród śpiewania gziły się i zaczepiały, rozbiegały, goniły i przypadały aż do koni i wozu.

Wśród tego różnobarwnego zastępu, bliżej samej pani i siwego konika postępowało, a raczej szło, ska-

cząc, wyprawiając jakieś sztuki, rękami wywijając i prawiać coś głośno, z czego się drudzy śmiali, dwóch ludzi osobliwie przybranych.

Jeden z nich bardzo małego wzrostu, w obcisłym odzieniu, trzewikach z bardzo długimi nosami, z brzękadłami u pasa, z pałką w ręku, do której, jak cep, przyczepiony był ogon lisi, w czapce śpiczastej, pstrej, miał twarz długą, żółtą, z bródką, chudą i czarną...

Drugi więcej przysadzistszy, gruby, jak kula się toczył. Niepomieranie otyły, z twarzą okrągłą, bez zarostu na niej, suknie miał naszywane w różne figury fantastyczne i kawałki materij jaskrawych.

Ci dwaj, których obowiązkiem zdawało się być zabawiać swą panią, odwracali się ku niej, patrzyli jej w oczy, dopominali się o uśmiech, popisywali przed nią. Gdy im brakło conceptów, wzajem się drażnili, stawali do boju niby, rzucali pocieszenie, a dziewczęta, przypatrujące się im, pękały ze śmiechu.

Mężczyźni jezdni, którzy stanowili straż, bardzo wytwornie byli postrojeni na sposób cudzoziemski, ale mało zbrojni. Widocznem było, że się niedaleko wybrali i zbroi wkładać nie potrzebowali. Chociaż otaczało ich wesele i śpiewy brzmiały dokoła, jechali poważni i niemal nasepieni, jakby z przymusu i obowiązku.

Duszą całego orszaku była młoda i żywa pani, która i sama śpiewała i wesołością swą, wejrzeniami drugich pobudzała, zmuszała, aby jej radość dzielili.

Jadący naprzeciw Szary, zobaczywszy tę dziwną gromadkę rozśpiewaną, wziął ją zrazu za jakieś wesele, dopiero, przypatrzwszy się jej baczniej i nie widząc ani marszałka, ni drużbów, ni ręczników, — przekonał się, iż się omylił. Tem więcej jeszcze dziwił się temu zjawisku i oczy wlepił w śliczną panią, której różowe usteczka otwarte białemi ząbkami się śmiały, a oczy niebieskie zdawały się we łzach rozkosznych roztopiać.

Zsunął się z drogi Florjan, na bok ustępując orszakowi i domyśliwszy się, że pani dostojną być musiała, głowę przed nią skłonił.

Wszyscy, towarzyszący jej, baczenie zwrócili oczy na Szarego, obcego w nim poznawszy. Szczególniej straż konna przyglądała mu się, a on, który też między nią twarzy znajomej szukał, znaleźć jej nie mógł.

Oprócz tego, że na wojenne wyprawy chodził, gdy zawołano, pan Florjan po dworach i stolicach rzadko bywał, ludzi znaczniejszych znał mało. Niewielką też miał nadzieję napytać tu kogo dla języka, gdy jeden z jadących za orszakiem zbliżył się doń i pozdrowił po nazwisku.

— Wszak Szary z Surdęgi — zawołał, — jeśli mnie oczy nie mylą?

Ucieszył się wielce pan Florjan, bo mu się to zdało opieką Bożą, iż znajomego znalazł, choć poznać go nie mógł.

— Nie poznaliście Beńka Gozdawy, he? — ozwał się, śmiejąc, jezdny. — Tożeśmy przecie rany sobie zawiązywali na ostatniej wojnie!

Florjan aż krzyknął z radości, nie że człowieka znalazł, ale że mu się Beńko trafił, z którym pobratymcami byli od krwi, razem przelanej.

V.

Usunął się Beńko nieco, gdy orszak przeciągał i stanął przy Szarym z boku.

— Z kimże to jedziecie i co to za zabawa jest? — szepnął Szary. — Patrzę ja, ale nie wiem i nie rozumiem nic. Cóż to swadźba, czy wesele? Gdzież druhowie i pan młody?

Beńko ramionami ruszył.

— Toście nie słyszeli i nie wiecie? — zapytał.

— A skądże i co wiedzieć mam? — rzekł Szary — jam zakuty doma.

— I nie domyślacie się, kto ta pani? — śmiał się Beńko.

— Nie wiem, ani się domyślam — rzekł Szary.

— Ale słyszeć przecie musieliście, że młody nasz syn królewski, Kazimierz, ożenił się z księżniczką Li-

twinką.. Toć to ona jest, nasza przyszła, dalibóg królowa, po swojemu zowiąca się Aldoną, a po chrzcie świętym Hanna.

I nie czekając odpowiedzi Szarego, ciągnął dalej:

— Widzicie, jaka wesola pani jest. Bo to młode i życia chce używać. Nasi księża do rozpacz z nią doprowadzeni, boby z niej jaką Salomeę lub Jadwigę uczynić chcieli, a tu na nią sposobu niema. Pomodli się z rana w kościele, a potem skoczy do dziewcząt swych i już się pieśni litewskie rozlegają po całym zamku. Bez śpiewania i śmiechu ta ptaszyna żyć nie może. Ot, co widzicie, my na to codzień patrzymy. A że jej na zamku strach księży, w pole wyciąga z dziewczętami, aby śpiewać swe pieśni litewskie. Nieby to nie było, tylko że nasi duchowni ani w ząb tego śpiewu nie rozumieją i bardzo się trwożą, iż nieochybnie tam rzeczy pogańskie ich litewskie tkwić muszą. Chcieli królewiczową innych pieśni uczyć, pobożnych; nie sprzeciwiała się im, ziewała tylko srodze, ramionami ruszała i do swoich powraca, bo powiada, że niema jak te jej litewskie pieśni.

Szary milczał; i dla niego te śpiewy w języku pogan, dla Polaków niezrozumiałym, wielce podejrzone były.

— To jeszcze młode bardzo — mówił dalej Gozdawa — napół dziecko... ale czasem obyczaju naszego się nauczy.

— Hm! — rzekł Szary — a do czegoż jej służą ci dwaj błaznowie, co przodem przed koniem krocą.

— Rzekłeś sam — rozśmiał się Beńko — błaznowie są. Jeden, co po prawej ręce z lisim ogonem, to nasz prawy, po polsku błaznujący, z Krakowa rodem; zowią go Lisicą. Że jej ten niebardzo do smaku, więc drugiego, tego opasłego baryłę z Wilna sobie ściągnęła, a zowią go, jakoś tam z litewska: *Keleweże*.

Szary głową pokręcił.

— To i dziewczęta pewno Litwinki być muszą; — zapytał — bom pieśni słuchając, nic zrozumieć nie mógł.

— Są między niemi i Krakowianki i tuteczne z Poznania — odparł Beńko, — ale najwięcej Litwinek, bo te tylko jej pieśni śpiewać umieją, a ona bez nichby nie wyżyła.

— Królewicz w Poznaniu? — spytał, rzucając na Beńka wejrzenie bystre, Szary.

— Jest — rzekł Gozdawa, — ale się do ojca ciągnąć wybiera, bo wiecie, że do wojny się sposobia. Trzebaż mu u boku króla być.

Po krótkiem milczeniu chętny bardzo do rozmowy Beńko dodał:

— Może się naszemu Kazimierzowi na wojnę i niebardzo chce, choć mu pewnie na męstwie nie zbywa; ale on jakoś w tych krwawych bojach, w których myśmy wzrosli, nie smakuje. Powiada zawsze, że dużo w domu jest do roboty, a czasby pokój mieć, aby lepiej u siebie gospodarować.

— Dziwna to rzecz — odezwał się Szary, — że po ojcu nie wziął ochoty do wojny, bo król od dziecka nie robi nic, ino wojuje.

— Tak, aleć bywa nieraz, że właśnie po skąpych następuje rozrzutny, a po marnotrawnym oszczędny... Może i my pana, miłośnika pokoju, dostaniemy po Łokciu.

Tu dopiero Beńko, jakby sobie przypomniał, o co mu najpilniej pytać było, zwrócił się do Florjana i rzekł:

— A wyż tu do nas z czem i poco? Boć to wyczasu nie zwykliście marnować i pewnie was Hebda zabierze na wyprawę?

Szary się trochę z odpowiedzią strzymał, nie wiedząc zrazu, czy całą prawdę rzec, czy przez pół, czy skłamać. Sprawa była ważna i lada komu się jej zwierzać nie godziło. Nie wiedział, czy Beńko, choć do Kazimierzowych sług się liczył, do wojewodzińskich przyjaciół nie należał. Wolał więc wybadać go nieco i rzekł:

— Jam do pana wojewody był posłany.

— Ale go w Poznaniu nie masz — odpowiedział

Gozdawa — podobno ze złości i gniewu do swoich Pomorzan uciekł.

— Za cóż gniew? — patrząc nań, zapytał Szary.

— Długobý opowiadać — ramionami ruszając, powiedział Beńko. — Król tu posadził mu pod boki syna a w ostatku, jak słuszną, żeby się młody do rządzenia zaprawiał, dał mu wielkorządy, które Wincz długo piastował. Łatwo to zrozumieć, iż wojewoda, spadłszy z tronu, rozsierdził się. Żli ludzie nawet prawią, czemu ja nie wierzę — dodał Gozdawa — że wojewoda gotów... przeciw królowi pójść. Straszaby to była rzecz pod ten czas... uchowaj Panie... bo Wincz ma z sobą niemal wszystkich wielkopolskich.

Szary teraz już był pewien, iż z Beńkiem otwarcie mówić może.

Orszak śpiewający królewiczowej oddalił się był nieco i podniesione głosy dziewcząt dochodziły ich słabo; zostali sami.

— A nie trzeba wam z panią waszą ciągnąć — spytał Szary, — żebym was nie zatrzymywał?

— Musu w tem niema — odparł Gozdawa. — Dla bezpieczeństwa zawsze kilku nas towarzyszy jej, gdy wyjeżdża, ale jednym mniej lub więcej, nikt nie zważa.

— A nie moglibyścież ze mną do Poznania? — szepnął Szary, — bo prawdą a Bogiem, mam sprawę ważną i bez was mi się ciężko obejść będzie.

Spojrzał nań Gozdawa.

— Czekajże — zawołał — skoczę ja do starszego, do pana Włodka i opowiem mu się... a potem cię poprowadzę.

— Ale ani Włodkowi, ani nikomu o mnie, ani o żadnej sprawie ni słowa — wtrącił Szary żywo. — Powiedziecie, że... przyjacielaście napytali.

Głową skinąwszy tylko, Beńko skoczył, konia naparłszy ku orszakowi, i w mgnieniu oka już nazad był.

Nie było już co się z prawdą drożyć — począł Flo-rjan opowiadać, co mu się w Pomorzanach trafiło i z czem go posłano.

Zasepił się Gozdawa wielce.

— W samą porę przybywacie — rzekł, — abyście poparli to, czego się już wielu domyślało i lękało. Ale o sprostą zdradę, choćby kto się dowąchał, strach obwiniać takiego człeka znacznego, jak wojewoda. Pan Bóg was tu zesłał. Że się coś kłuło koło nas i kluje, i że tych tutecznych Wielkich Polan dużo na nas krzywo patrzy, a za wojewodą ciągną, myśmy to czuli. Musimy z tem nie wprost do królewicza, ale naprzód do Nekandy Trepki, którego mu król dodał... poważnego męża i rozumnego, który będzie wiedział, co począć. I żeby zdrajcy, których pełno u nas jest, nie domyślali się czego, niebardzo was będziemy pokazywali. Staniecie gospodą na mieście u mojego znajomego, Wilczka, — który śliczną córkę ma.

Szary się poruszył.

— A dajcież mi pokój z najpiękniejszą dziewczuchą; przecież wiecie, żem żonaty i moją Domnę miłuję nad życie... a nawet dla jej miłości cierpię...

Gozdawa się śmiać począł.

— Albo to co przeszkadza pięknej dziewczce w oczy zajrzeć?... — zawołał. — Tyle człowiek w życiu ma, co tych kwiatków choć powącha.

— Z was bo bałamut zawsze był, a jam człek stateczny — odparł Szary.

— No i żonie waszej krzywdy czynić nie chcę — rzekł Beńko, — ale bezpieczniejszej i lepszej gospody, jak u Wilczka, dla was nie znajduję. Jak będzie koło was przechodziła Marychna, to se oczy przysłonicie. Wilczek dom ma na samem podzamczu, a że do niego dużo przyjaciół zajeżdża, więc i na was nikt tam zważać nie będzie.

Rozmawiając tak, zbliżali się do miasta, którego kościoły i przedmieścia już widać było. Szary trochę twarz przysłonił, a Beńko, uliczkami pomniejszych go prowadząc między ogrodami i opłotkami, gdzie się mniej ludzi kręciło, prawie nie narażając na spotkanie, dowiódł do owego Wilczka zapowiedzianego.

Zamożny to był mieszczanin, który byłem han-

dlował, choć sam już rzeźnikiem nie był. Mówiono o nim, że pieniądze znaczne miał, lecz tego po sobie nie dawał poznać, i ludzie miarkowali tylko z domu, który sobie wystawił, a którego mu zazdrościli.

Ten to dom bardzo obszerny był powodem częstych odwiedzin różnych ludzi u Wilczka.

Gospód naówczas porządnym po miastach tak jak nie było, zwyczajem zaś powszechnym, że panów i ziemian mieszczanie u siebie ugaszczali. Czasem się to podarkiem lub groszem odwdzięczało, czasem gościnność daremną była. Każde lepsze domostwo w mieście czasu wielkich zjazdów gości miało.

Wilczek gospody właściwie nie trzymał otwartej, lecz w dużym domu gość mu nie ciążył, a mówiono, iż na dole wynajmował izbę na szynk komuś i z tego zyski ciągnął.

Na biedę zastali koło Wilczka i ludu różnego dosyć, i wozów, i koni jezdnych, tak, że Beńko uląkł się, czy Szarego potrafi umieścić, lecz w progu zaraz zobaczył ową piękną Marychnę, u której łaski miał i do niej przyskoczywszy, a cicho z nią poszeptawszy, Szarego z ludźmi do sieni wprowadził.

Marychna w istocie piękną była wedle wymagań ówczesnych i wyobrażeń o piękności. Mało co wzrostem nie była równą z Beńkiem, a zbudowana, jakby zbroję nosić miała. Silna, czerstwa, rumiana, ciemnooka, zręczna, gibka, nie potrzebowała się lękać nikogo, bo nie lada mężczyzna sprostał jej mocy. Wesolą też była i rozmowną. Milczącego Florjana wwiodła sama do izby, rada się rozpytać, skąd był i co wiozł, ale Szary, mało czem ją zbywszy, opowiedział się znużonym i na ławę legł, czekając, co mu przyniesie Beńko.

Przeciągnęło się prawie do nocy, nim Gozdawa powrócił, oznajmiając mu, że Trepka nań czeka. Szli więc na zamek.

Tu już się wszędzie świeciło, bo i królewiczowa powróciła ze swej wycieczki z dziewczętami, i królewicz był na zamku.

O ile mrok dojrzeć dawał, dwór młodego pana wy-

dał się Szaremu wcale różnym od tego, który starego Łoktka otaczał.

W Krakowie, gdy stary pan gości miał przyjmować, naówczas, prawda, nie szczędził niczego, i ludzie u dworu wspaniale wyglądali, ale powszedniego czasu skromnie było i ubogo. Królowa i on nie zapominali, że tułaczami byli i jedli podczas chleb czarny, często łożami polany. Teraz im też prostota była najmilszą. Na starość też Łoktek i żona jego, pobożnymi się stając, umyślnie się odzieżą i życiem umartwiali.

Tu zaś nie po staremu wyglądało przy młodym panu. Służba była z cudzoziemska strojna, obcisła, pstro, włosy trefione, łańcuchów, kaletek, nożyków, pasków, chwastów na niej poddostatkiem.

Starsi dworacy w jedwabiach, a czeladź kręciła się z jakąś swobodą i rażnością, która niewielkiej surowości i karności dowodziła. W podsieniach i na gankach niewieścich sukienek kręciło się dużo i śmieszki było słyszeć wieczorne.

Wesołym był zamek, jakby za najlepszych czasów, — i jakby mu nic nie zagrażało.

Nekanda Trepka mieszkał niedaleko od komnat królewicza, więc do niego iść musieli aż pod same gmachy pańskie, pełne wesołej młodzieży, światła i woni korzennego jadła i napoju.

Starał się Szary, aby mało go kto widział, a zabawiający się dwór niebardzo nań uwagę zwracał.

Czekał na nich poważny ów Trepka w komnacie niewielkiej, po rycersku przybranej w wojenne rynsztunki.

Mąż to był lat średnich, na którym wojenne rzemiosło poznać było łatwo, trzymał się prosto, twarz miał marsową, zarosłą, oblicze poważne i myślące. Mruczkiem go zwali ludzie, bo mówił mało, lecz do rady i do sprawy był tak pewnym, iż się nań i stary król i każdy, co go znał, mógł spuścić, a spać spokojnie. Dlatego zawsze o syna jedynaka trwożący się Łoktek Nekandę mu dawał za towarzysza i doradcę.

Trepka już uprzedzony we drzwiach przyjął Sza-

rego, wyzywając, by mówił, z czem przybywał. Mimo męstwa widać było po nim trochę niepokoju.

Szary rozpoczął obszerną relację o swem poselstwie, o pobycie w Pomorzanach i o tem, co mu się tam przytrafiło, mocny na to nacisk kładąc, że ów nieznanym człowiek, który mu o zamierzonej oznajmywał zdradzie, mienił się duchownym, więc mogła mu być daną wiara większa. Żeby zaś kto pod owe czasy kapłanem się miał czynić, nie będąc nim, tego nie przypuszczano nawet.

Trepka raz i drugi kazał sobie powtórzyć przestrożę ową i wysłuchawszy opowiadania, rzekł:

— Dawnom to wróżył. Już tu wojewodzie z oczów źle patrzało. Z królewiczem, łagodnym i uprzejmym, szorstko się obchodził, poza oczami i uszy naszymi wygadywał wiele, pono się i odgrażał. Znać było, że się nie pogodzi z tem, co mu przeznaczono. Ale król nasz stary omylił się w tem, że odbierając mu wielkorządy i województwo, nad wojskiem władzy nie wziął.

— A coby to pomogło? — odparł Beńko, przytomny rozmowie. — Jego władza nie w tem, że on się wodzem mianuje, lecz, że lat tyle rządząc, ludzi sobie zjednał i Nałęczów, a ich powinowatych, których tu jak piasku jest, będzie zawsze miał po sobie. Z trwogi od nich i drudzy pójdą.

Jeszcze chwilkę na badanie Szarego obróciwszy, Nekanda wyszedł zobaczyć, czy do królewicza przystęp był wolny, chciał bowiem zaprowadzić Florjana, aby jemu opowiedział, co przyniósł.

Zaczem sieniami ciemnymi do pańskiej komnaty wwiódł Trepka posła.

Tu było na co patrzeć, bo choć gmach zamkowy stary się wydawał i więcej ku obronie, jak dla wymyślnych wygod zbudowany, królewicz tak go umiał sobie przybrać i przyozdobić, iż komnaty, które zajmował, prawdziwie królewsko wyglądały. Na podziw tylko, jak na owe czasy, mało widać było oręża, a ten, który po ścianach gdzie niegdzie był rozwieszony, więcej się odznaczał wytwornością i pięknnością, niż mocą

i był więcej na występ, niż do boju przeznaczony. Tarcze i szyszaki wschodnie, które królewicz z sobą z Węgier poprzywoził, złotem były sadzone i czarnymi listewkami, jakby kamiennemi dziane.

Na stołach widać było księgi i pergaminy, naczynia osobliwszych kształtów, w smoki, gryfy i różne stworzenia powykuwane. Obrazy też na złotych dnach wisiały na ścianach.

Na kobiercach i obiciach nie zbywało, bo całe ściany niektóre poodziewane były szytymi szpalery, na których łowy i zabawy różne w rozkosznych gajach, i pánów, a panie, jakby żywe, z ptakami łowczemi na rękach, konie i psy widać było.

Od sklepienia zwieszały się pozłociste świeczniki, gdyby w gałęzie i liście porożrastałe.

Młody pan stał już, czekając na zapowiedzianego ziemianina, w stroju, jaki za dnia nosił, bo go jeszcze rzucić nie miał czasu. Obcisłe ubranie, spodnie, pasem ujęte, na wierzch okrywała jakby opończa dostatnia, aksamitna, jedwabiem podbita, z rękawy rozkrojone, które długo się zwieszały. Piękna twarz, włosem w pukle się zwijającym otoczona, z oczyma śmiałemi, rysów szlachetnych i wyrazistych, więcej tym, co ją znali zamlodu, królowę matkę, niż starego Łoktka przypominała. Lecz było coś i ojcowskiego w czole i wejrzeniu rozumnem a nieuleknionem.

Co mówiła ta młodociana jeszcze i wszystkiemi młodości pożądaniami ziejąca twarz, tego sobie Szary wytłumaczyć nie umiał. Poczuł tylko dla niej poszanowanie, znalazł w niej dobroć i łagodność, której się nie spodziewał, a wielką ochotę do życia i wiare w siebie.

Chodź królewicz wiedział już, że mu niedobrá niesiono wiadomość, wcale się nie zdawał nią zatrwożony. Oczy tylko błyskały ciekawością rozbudzoną.

Szary mu się do kolan skłonił, gdy królewicz, przedko go podnosząc, zagadnął:

— Coście w Pomorzanach widzieli?

— Więcejem, miłościwy panie, słyszał, niż widzia-

łem — odezwał się Florjan — i to mnie trwoży, że mi twarzy ukazać nie chciano.

Począł więc rozpowiadać o tajemniczej przestrodze.

— Że wojewoda na króla i na mnie gniewny — rzekł Kazimierz, wysłuchawszy — to i myśmy wiedzieli; lecz żeby się miał przeciwko nam z krzyżakami wiązać, ledwie do wiary!

— Miłościwy panie — przerwał Nekanda — lepszy zbytek ostrożności, niż ufność zbyteczna. Trzeba się mieć na pieczy.

— Jedźcież z tem wprost do króla JMci — rzekł królewicz, — jedźcie a pośpieszajcie. Powiedzcie mu, że ja też wpędce ku niemu ciągnę, bo na zamku siedzieć nie mogę, gdy wiem, że on siwą głowę swą nastawia na nieprzyjacielskie ciosy.

— Król JMość — odezwał się Trepka — nie życzył tego. Niewiele my tam pomożemy, a uchowaj Boże klęski, — niechby nam pana nie zabrakło, bo nas rozszarpią.

— Ja tu nie usiedzę! — zawołał żywo Kazimierz — musimy iść, musimy! Widzicie też, że bezpieczeństwa większego na zamku nie będzie, niż w polu. Wojewoda tu za długo siedział, by sobie ludzi nie zjednał. Nas tu, jak ryby w saku, mogą pobrać.

— Nie dalibyśmy się! — odparł Nekanda. — A idąc, miłościwy panie, z kimże pójdziemy? Musimy z sobą ciągnąć właśnie tych tutejszych Wielkopolan, którzy nas w polu dla wojewody zdradzić mogą.

Królewicz potrząsł głową.

— Z dwojga złego, wolę w polu być z ojcem, niż siedzieć i czekać, a nękać się próżnowaniem.

Zwrócił się do Szarego.

— Wy — rzekł — do króla z tem pośpieszajcie, bo my bez niego sobie rady nie damy, ani byśmy śmieli na co się ważyć. Powiedzcie mu od nas, że i my po wojewodzie złego się spodziewaliśmy, że i Trepka dawno go podejrzewał.

Rozmawiali jeszcze, gdy boczne drzwi rozwarły się nagle, opona w nich podniosła, śmiech się dał sły-

szeć wesoly i na tle ciemnem ukazała się postać, jakby cudem zjawiona — młoda pani w sukni białej, z włosami na ramiona spuszczone, z piosenką i śmiechem na ustach.

Nie miała już na sobie stroju, jaki ją zdobił w wycieczce za miasto, ale cienkie i lekkie rąbki, które kibić jej rysowały wiernie. Nad czołem tylko za całą ozdobę we włosy wpleciony sznur, albo raczej przepaska złocista, je utrzymywała.

Weszła, śpiewając; zobaczyła obcych, ręką ponad głową pottrzymała chwilę ciężką oponę, rozśmiała się wybuchem dziecinny śmiechu, zasłonę opuściła i znikła...

Kazimierz, który zwrócił głowę w tę stronę, rozśmiał się także i krok uczynił ku niej, lecz już jej nie było.

Szary się żegnał. Wyszli natychmiast z komnat pańskich, a Beńko wprost powiodł towarzysza swego do gospody Wilczka.

Pan Florjan chciał tylko się przespać nieco i ze dniem puścić znowu w drogę. Nadto ważne wioził wieści, by mu pilno nie było. Na spoczynek wszakże rachował przedwcześnie, bo Beńko mu nie chciał go dać, zapraszając jeszcze do siebie na wino. Nie można było odmówić.

Sieradzanin, Grzmot Hincza, dopytawszy współziomka, przyplątał się do nich trzeci.

Było to zawsze w polskiej krwi, iż od kupy nierada się oddzielała, a gwarzyć lubiła, musiał więc Szary, choć nie pijał wiele, zasiąść za stół, i słuchać gadek wesolych, sam potrosze do nich pomagając.

Beńko był niewyczerpanym i usta mu się nie zamykały. Więc na Wielkopolan za grzechy Nałęczów wymyślano, co wlaźło, w czym Grzmot, który ich nie lubił, bo mu dziewczka jednego Nałęcza odkosza dała, też dopisywał dobrze.

Część nocy tak przesiedzieli, ani się obejrzawszy i gdy Florjan nareszcie zrywać się począł do gospody,

aby zawczasu ruszyć, już na zamku wrota były zawarte i klucze odniesione.

Posłano mu więc słomy w izbie Beńka i gdy Grzmot, podpiwszy, wyszedł, rozpowiadali jeszcze długo różne stare dzieje.

Nie było już co spać; Florjan tylko czekał, aby wrota ze dniem otwarto. Zbierało się na dzień, gdy w podwórku ruch jakiś robić się począł i Beńko, narzuciwszy kożuch, poszedł się dowiedzieć o jego przyczynę, bo w tej porze był niezwykle.

Jak poszedł, tak przepadł. Szary się już przydział i do gospody mu pilno było, a tu Gozdawy doczekać się nie mógł. Byłby go już kłął, gdyby nareszcie nie wpadł Beńko poruszony wielce i zdyszany.

— A co? — krzyknął od progu — a co? — Sprawdza się, coście przywieźli. Posłaniec, którego Nekanda jeszcze pozawczoraj, nie dowierzając wojewodzie, wyprawił na zwiady, w tej chwili z językiem powrócił. Sprawny człek! Zbudzili Trepkę — i powiada, że wojewoda z tym łotrem Petrkiem Kopą do krzyżaków już pojechali w swaty. Wojewodzina, słysząc, pobiegła za mężem, u nóg mu leżała i zaklinała, aby zdrady nie poczynił: nic nie pomogło! Dobka sobie Nałęczą sprowadził, ale ten, jak nasz człek ręczy, wypowiedział mu posłuszeństwo. Wszystko to królowi ma zawieźć, bo teraz już wątpliwości niema, że Wincz z zakonem się sprzęże. Niech król radzi.

Tu Beńko przerwał sobie nagle:

— Radzić! co tu radzić! Jabym ludzi posłał, póki czas, wojewodę ujął i ściąć dał — byłaby rada!

— I wszyscy Nałęczę, mszcząc się za niego, dopieroby się zawzięli! — odparł Szary.

— I to prawda — rzekł Beńko, — ale gdybyśmy ich miodem posmarowali, lepsi nie będą.

Szary już dłużej czekać i wytrzymać nie mógł, ruszył co najspieszniej do gospody, od sieni wołając na czeladź, aby mu konie dawano.

Z brzaskiem też był już za miastem i po kościołach na jutrznię dzwoniono, gdy się na gościniec wybił.

Ranek był mglisty i wilgotny, choć niebardzo zimny. Pacierze zacząwszy odmawiać i kaptur zaciągnawszy na głowę, zadumany włókł się pan Florjan, gdy o małą może milę będąc od miasta, posłyszał tętent za sobą.

Tknęło go to. Pomyślał sobie, iż na zamku Nałęczu mieli swoich, podsłuchać mogli, a na nocnej biesiadzie Grzmot i Beńko całę ostrożnymi nie byli. Nuż zważano, z czem jedzie i co do króla wiezie, nuż pogoń za nim puszczono?

Sromał się tego podejrzenia, ale mu dolegało tak, iż się oprzeć nie mógł; dał więc pocichu ludziom znać i z drogi zjechawszy w gąszcz, stanęli.

Ledwie się w niej umieścili, tuż ponad gościńcem, gdzie ich dla krzaków i gęstej mgły widać nie było, gdy zbliżył się tętent i dały słyszeć głosy.

Nastawił ucha. Po stąpieniu konia i mieniących się głosach poznać mógł, iż ludzi co najmniej pięciu lub sześciu być musiało.

Rozmawiali, głośno pokrzykując.

— Patrzaj śladów!

— Kto tam w błocie świeże ślady dopatrzy o mroku?

— Ale przecieżbyśmy go już nagnać byli powinni?

— Konia ma dziarskiego ten Sieradzanin jucha, a że mu pilno z językiem, nie żałuje go.

— Stary Łokieć zapłaci.

— Wiele ma czeladzi?

— A kto ich liczył!

Mijali go tak. Florjan się przeżegnał, Panu Bogu dziękując. Co miał robić, sam teraz nie wiedział. Był już pewien, że Nałęczu za nim gnali, na zamku wieczorem podsłuchawszy.

Stać i czekać, ażby ta pogoń się zawróciła, czasu była strata znaczna, za nimi jechać niebezpiecznie. Musiał więc, na drzewa i korę popatrzywszy, aby się bardzo nie obłąkać, puścić lasem bez drogi, w imię Boże.

Miał ci tę wiarę pocziwą, starodawną, że w spra-

wie tej, której służył, Bóg musiał mu pomagać i nie da mu się w lesie zgubić.

Nakazał czeladzi milczenie, przeżegnał się krzyżem świętym, konia ściągnął, kaptur nacisnął — i w las.

VI.

Dzień był smętny, jesienny, dżdżysty, gdy po przyspieszonej podróży dnem i nocą, niepewnymi drogami, zbliżył się Florjan Szary pod Kraków i zdala murów miejskie a kościelne wieże i kopuły ujrzawszy, przeżegnał się pobożnie, Bogu dziękując, że go tu całego doprowadził. Nie tyle mu szło o własne życie i zdrowie, bo rycersko służąc, wiedział, że je co godzina niemal narażać musiał, jak raczej o wiadomości, które królowi wiózł, bo te pilno dlań i dla Polski całej były potrzebne.

Rozradowało mu się oblicze, zwykle dosyć posępne, gdy się ujrzał już pod samym grodem, pewien będąc, że poselstwo swe sprawi.

Gdy się rozglądał około miasta, którego dawno nie widział, a po okolicy, piękności się jej dziwując, prawie u samych murów na równinie dostrzegł wielkie zbiegowisko ludzi, albo coś nakształt obozu.

Ruch tu panował wielki, jakby targowicę za bramy wyrzucono. Stały porozbijane namioty płócienne, wozów siła, gdzie niegdzie na drągach jakby chorągwie powywieszane i wiechy. Kręciło się ludzi jezdnych i zaprzęgów różnych i pieszego ludu dosyć.

Sądził zrazu Szary, iż musiał nadjechać w dzień targu albo świąteczny, o którym nie wiedział, choć kalendarz, jak każdy ziemianin, napamięć umiał, gdy na drożynie zetknął się z jadącymi zbrojnymi, którzy siano wieźli i sami na wierzchowych koniach, objuczeni niem, jak kopice siana wyglądali.

Pozdrowiwszy jednego z nich, spytał Florjan, co tu tak tłumno i gwarno dnia tego koło miasta.

— A skądżeście wy? — odparł chłop, który sianem

tak był obłożony, że mu nad niem tylko głowa i hełm sterczały — skądżeście wy, że o niczem nie wiecie?

— Jam trochę zdaleka — rzekł Florjan.

Ów z sianem przypatrywał się mu bacznie.

— Jakby Florjan z Surdęgi! — zawołał:

— Jamci jest! — rzekł żywo Szary. — A wy?

— A mnie toście dla tego siana nie poznali chyba, lub i zapomnieli. Nieraześmy się w Sieradzu spotykali na zjazdach. Jamci Janik Trzaska.

— A prawda! — zawołał wesoło Szary — przebaczą, że...

Trzaska był ziemianinem z nad Pilicy, też nie mającym, ale bardzo zabieglwym. Starego rodu rycerskiego człek, z konia prawie nie zsiadał, w domu niedługo miejsca zagrzewał i tak się na siodle losu dobijał, a dobić nie mógł. Znali go wszyscy z tej ruchawości i pracowitości, przez które dotąd nic, oprócz guzów; nie mógł napytać.

Nie zrażało to Janika; śmiał się sam z tego, że szczęścia nie miał. Ubogi był, ale wesół i ludzie go miłowali.

— Widzę — począł Janik, wystawując nieco głowę z tego siana, które miał do obu boków uczezione — widzę, że wy Surdęgi nie pilnujecie, a gdzieś się włóczycie po świecie.

— Nie po dobrej woli! — westchnął Szary.

— Jać to i sam miarkuję; takbyście żonki nie odjechały — śmiał się Janik.

— A wyż tu co robicie? — zapytał Szary.

— Jam tu, jak widzisz, nie sam jeden... — mówił Trzaska — ze wszech stron król ściągają ludzi. Kto żyw, śpieszy tu! Zamek pełen, miasto pełne, ażeśmy się za bramy wylać musieli i obozujemy tu. Na wojnę się znowu zbiera i pewnie na srogą. Powiadają, że Czech na nas ciągnie z jednej, a krzyżaki i kawalek Brandenburga z drugiej strony i pewnie Ślązacy. I Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Bo jak się na wojnę zbierze, nigdy jednej nie dosyć. Krzyżakom pono posiłki z całego świata idą. Naszemu staremu Łokćowi nie dadzą

spocząć, ni się zdrzemnąć. Taka już dola jego, żeby nigdy pokoju nie zaznał!

— Król na zamku? — zapytał Szary.

— Gdzie? — rozśmiał się Trzaska. — Jego na zamku, w mieście i wszędzie pełno! Stary, zdawało się, że już ocieżał, ale! trzeba go teraz widzieć! Taż to ma bodaj lat siedemdziesiąt, a taki krzepki i na siodle cały dzień dla niego, jak drugiemu na posłaniu.

— Na toć go Bóg, widzicie, stworzył — odezwał się Szary, — żeby on z tych skorup Polskę zlepił. Ubożuchny, mały człek, sam jeden, jak palec, a korony się dorobił. Wypędzali go tyle razy... przecież się ostał! Nie jestże to znak, że mu sam Pan Bóg pomaga i tego chce, co i on?

Trzaska się uśmiechnął.

— Dobrze mówicie! Prawda to jest! Dlatego ja se myślę, że i teraz, choć na nas Czechy idą, Brandenburgi, krzyżaki te i nie wiem, jakie djabły, on im z Panem Bogiem rady da.

Trzaska dla owego siana, które wioził, że mu niezgrabnie jechać było, bał się go gubić, choć powrozami było obmotane, jechał dosyć powoli; Florjanowi pilno było, musiał więc go pożegnać.

— Pilno wam? — spytał Janik.

— Bardzo, bom posłany do króla — rzekł Szary.

— Niedaleko go wam szukać — odparł Trzaska; — oto tu pod bramą w obozie go pewno znajdziecie, bo sam ludzi opatruje. — Mało nie cały dzień od jednej kupki jeździ do drugiej, tak się jakoś troszczy... biedaczysko!

Byli już u wrót i niedaleko murów, gdzie się obozowisko poczynało.

Tu, jak w samem mieście, gwarno wyglądało, bo też co było przekupniów, a lekkiego ludu w Krakowie, do obozu się cisnęło dla zarobku i rozpusty. Baby powystawiały pod kramami ławki, poosłaniawszy je płachtami, chłopcy nosili w koszykach różną drobną kupię, wołając a krzycząc. Jaskrawo poprzyrodziewane niewiastki jakieś kręciły się między namiotami.

Kuźnię nawet na uboczu przemysłny kowal pod szatrą postawił i żołnierskie szkapę podkuwał.

W niektórych szałasach słyhać było pijatykę i śpiewy, a próżne beczki, wyrzucone precz, świadczyły, że nie próżnowano. Z wrót lał się lud miejski, a w drugą stronę do grodu cisnęli się żołnierze, tak, że w tłumie tym o przejazd było trudno.

Szary musiał się nieco wstrzymać, rozpatrując, którą najłatwiej wjedzie i czeladzi przykazawszy, aby się nie dała odbić od niego, gdy zdała Trzaska nań krzyknął i palcem mu coś ukazywać począł wśród obozu.

W miejscu tem, na które Szary obrócił oczy, rozpoznać było można orszak jezdnych, dosyć pokaźny... ale więcej nic. Domyślił się jednak Florjan, że chyba i król tam być musiał, a zawróciwszy konia i torując sobie drogę między szałasami, wprost już skierował się w tę stronę. Po drodze mu wskazano w istocie, iż król tam był.

Lecz nierychło go mógł dojrzeć, bo orszak dokoła otaczający go ukrywał. Widząc mozolnie się tak przebijającego, Trzaska, który siano zrzucił swej czeladzi, podbiegł ku niemu pieszo.

— Jeżeli króla wam pilno się dobić — począł — oto go macie. Podle niego ten brodaty, czarny, to Prandota kasztelan, oto ten siwy, duży — wojewoda Mikula Piławita.. a ten dzielny szeroko-pleczysty — Żegota z Morawicy, chorąży krakowski, innych nie znam. A otóż i król!

Gdy to mówił, rozstąpili się jakoś towarzyszący królowi i na koniu grubym, a dużym pokazał się mały pan, opończą szeroką od słoty okryty, ponad którą wyłaczany hełm górą sterczał. Można stąd było dojrzeć żółtą, pomarszczoną twarz jego posępną i siwe kosmyki włosów, co ją otaczały.

Szary, który dawno króla nie widział, a mało i zdała tylko dawniej widywał, ciekawie wlepił oczy w to oblicze, które przy tylu innych, piękniejszych i oka-

zalszych, czemś nieopisanem nad wszystkimi górę brało.

Wśród tysiąca ludzi okoby się na nim, nie znając, zatrzymać musiało. Wypisanem miał na czole, że mąż był wielkiego trudu, wielkich boleści i czynów wielkich. Nad czołem, jak chmura, wisiał mu smutek jakiś i siła potężna. Rozrosłe brwi krzaczaste, ściągnięte do kupy, kryły oczy jakby dlatego, aby z pomroki błyszczały mocniej. Usta i policzki miał zapadłe.

Przy tej twarzy starca ciało było młode i obracało się żywo. Nie zmogły go wojny, ale je ukrzepiły. Nieznużony obracał się, patrzył, wskazywał, pytał, a mówiąc, dumał ciągle. Usta były czynne; czoło, chmurą okryte, co innego rozpamiętywało.

Nie śmiał się Szary zbliżyć tak sam do pana, nie opowiedziawszy, i zobaczywszy na koniu opodał nieco Hebde, sieradzkiego wojewodę, od którego wysłany był, pokłusował do niego.

Pomian Hebda, niemłody pan, zaschły, zawiedły, opryskliwy i gorączka, kręcił się pomiędzy Sieradzany, których z radością ujrzał Szary. Poznaawszy Florjana, sam ku niemu konia skierował, i jak był zawsze impetyczny, wnet krzyczeć zaczął:

— A ty już tu? a co? z czem? a mówże! poselstwo sprawił? Cóż przynosisz?

Szary tymczasem z konia zsiadał i szedł do niego. Skinął, aby się pochylił; na co Hebda się zżymnął zrazu, i począł mu do ucha naprędce rozpowiadać, z czem go odesłano.

Pierwszych słów zaledwie dosłyszawszy, wojewoda już się z konia zsunął, zbłądły i strwożony.

Nie dając się szeroko rozwodzić Florjanowi, pociągnął go z sobą przed króla. Tu kilka słów szepnąwszy, już Florjana popchnął naprzód i wołał nań:

— A mówże! mów!

Wyraźnego więc rozkazania słuchając, Szary, choć mu się zdało, że nadto uszów słuchało, począc miał już, ulegając wojewodzie, lecz obejrzawszy się, że ludzie się cisną dokoła, i zmiarkowawszy, że złe wieści

w obóz rzucić, to jak popłoch naniecić, odezwał się do wojewody, iż mu zlecono królowi samemu to zwierzyć. I ręką wskazał gromadzące się dokoła rycerstwo.

Zmiarkowali wszyscy, że miał słuszność, a że nieopodal stał namiocik lichy, zgrzebny jakiegoś pułkownika, król, podjechawszy doń, z konia zsiadł i z Hebdą razem wszedł, prowadząc doń Florjana.

— Miłościwy panie — odezwał się, pokłon mu uczynwszy, Szary, — wysłany byłem przez pana wojewodę do Wincza z Pomorzan, aby mu co rychlej się stawić z ludźmi przykazał. Pośpieszyłem z tem do Poznania i nie dociągnawszy do miasta, w gospodzie mi ludzie rycerscy oznajmili, że wojewoda, czegoś niechętny, do Pomorzan odjechał i że tam go mi szukać. Więc ja do Pomorzan. Tum przybył pod noc. Zastałem wojewodę z małą garstką ludzi i zarazem poselstwo sprawił. Przyjął mnie, jak należało, i oświadczył, że powinność swą spełni. Szedłem tedy na spoczynek, gdzie już nocą nieznajomy człek, mianujący się kapłanem i służą bożym, pod wielką klątwą zwierzył mi, zlecając, abym o tem królewiczowi i wam dawał znać, że wojewoda z Krzyżakami się znosi, że do nich ma z Petrkiem Kopą jechać i że w Wielkiej Polsce dla zdrajców Należców ani królewiczowi nie jest bezpiecznie.

Zerwał się, słysząc to, Łoktek i ręce zacisnąwszy, z taką gorącością, której w nim nie widywano, chyba w bitwach, krzyknął, przypadając do Szarego:

— Zdrajca niepoczciwy! Dałżeś memu Kazimierzowi znać?

— Stamtąd jadę — odparł Florjan.

Król odetchnął i na swe miejsce, które był na pieńku obrał, powrócił. Brwi mu się jeszcze mocniej ściągnęły.

— Mów, mów — dodał — wszystko mi mów!

I w tejże chwili wyrwało mu się:

— Samem tego węża na mej piersi ogrzał i wyhodował! Wszystko mi winien być...

Spuścił głowę siwą i powtórzył:

— Mów — wszystko!

Począł tedy Florjan znowu o tym księdzu, potem o podróży swej do Poznania i jak do królewicza był dopuszczony.

— Zdrów jest i niefrasobliwy? — zapytał Łoktek.

— Dzięki Bogu — mówił Szary. — Znalazłem go już uprzedzonym i niedowierzającym, a pana Nekan-dę przygotowanym do wyciągnięcia w pole z królewiczem, bo tam już o coś Nałęczów posadzano. Tej zaś nocy, gdym w Poznaniu leżał, przyszła pewna wieść, iż wojewoda do Torunia jechał.

— Niepocziwy! — mruknął król.

Zwrócił się do wojewody.

— Słyszę i wierzę — rzekł, — a radbym wątpił, bo mi srom za niego i za was wszystkich, którym hańbę uczynił. Wincz z krzyżakami! Łotry te go namówiły, przekupiły, obalamuciły!

Wstał król, dla wielkiego bólu prawie już Florjana stojącego nie widząc i nie zważając na niego. Przeszedł się po namiocie, pogrążony w myślach gorzkich. Heb-da milczał, Szary się cofnął aż ku wejściu i czas jakiś dali królowi samemu z sobą się naradzić. Jak przybity w początku ciężar swój dźwigał Łoktek, lecz właśnie tak jak człowiek, na którego ramiona wielkie brzemie rzuca, a on się pod niem ugnie na chwilę i wnet roz-prostuje, niosąc je lekko — król wprędce przyszedł do siebie.

— Ha! — zawołał. — Nie całaż Wielkopolska z nim chyba pójdzie! Nie sami tam Nałęczowie. Ze strachu przed nimi powloką się trwożliwi, ale nie wszyscy.

Obrócił się ku wojewodzie.

— Nie przetoż mamy ręce opuścić? — rzekł. — Kosztowaliśmy już zdrady — Pan Bóg ją karze!

Dopiero Florjana zoczywszy, postąpił ku niemu.

— Kazimierzaś widział, powiadasz? — począł, zapominać się zdając trwogi. — Jakimże był? smutnym? wesołym? co mówił?

— Chciał do was, miłościwy panie, aby przy was

stać i walczyć. Mówił, że mu się gdzie indziej być pod ten czas nie godziło.

Łoktek się zatrząsł.

— Kazałem go poprowadzić Nekandzie w miejsce bezpieczne.

— To też i pan Trepka mówił, bo rozkazanie pamiętał — dodał Szary.

Łoktkowi twarz się rozjaśniła.

— Jeden z nas powinien bezpiecznym być — rzekł, — bo gdyby nas obu nie stało, Polska przepadnie, czeski Jan ją zagarnie, jak już Śląsko wziął.

Westchnął stary.

— Młodego potrzeba szczerdzić, bo on więcej ma życia przed sobą — ciągnął dalej; — ja stary, choćbym padł, szkoda niewielka. Dosyciem się natłukł i napracowałem. Spocząć czas, a juściż mi nie w łóżku kończyć.

Uśmiech przesunął mu się po bladych ustach.

— Byle mi się młodzieniaszek nie wyrwał! Byle go tam Trepka uprowadził w miejsce dobre!

Wojewoda Hebda rzekł zcicha, że Nekandzie zaufać było można, człek był stateczny i rozumny.

— Dlatego ja go postawił przy tym skarbie, który mi najdroższym jest — rzekł król cichszym głosem.

Florjan, który już poselstwo swe sprawiwszy, czuł się tu zbyt czynnym, chciał się pokłonić panu i odejść. Wstrzymał go stary pan.

— Słuchajno, jak cię zowią? — odezwał, zbliżając się doń. — Tego, coś mi doniósł, innym nie powiadaj. Dowiedzą się i tak zawczasu, a dziś trwogi się nie trzeba. Język za zębami trzymaj, chceszli cały być. Spytają cię, skąd, z czem, powiadaj, żeś do wojewody jeździł, i sprawił, co kazano.

Wtem Hebda, śmiejąc się i po ramieniu bijąc Szarego, zawołał:

— Miłościwy panie, za tego ziemianina, jak za siebie samego rękę, bo lepszego żołnierza u mnie w Sieradzkim nad niego niema. Perła to jest.

Szary się nieco pokłonił, a stary król z za frasunku

swego uśmiechnął mu się tak, jakby słońko z za chmury błysnęło.

Wyszedł wreszcie z namiotu Florjan, przejęty całym, że króla widział zbliżać się i mówił z nim, obiecując sobie, że mu to na cały żywot jego pozostanie w pamięci.

Chciał iść do koni swych i czeladzi, aby do miasta ciągnąć i tam jakiegokolwiek gospody sobie szukać, aby spocząć trochę, choć wiedział, że o to łatwo nie było. Lecz ledwie kilka kroków od namiotu odstąpił, gdy się znalazł wśród znajomych Sieradzan, którym już Trzaska o nim powiedział, a i ten też był między nimi.

Szary i ojciec jego mieli oba wielką u ludzi miłość, otoczyli go dalsi i bliżsi, nawołując:

— Florek — a tyś tu z nami?

— Bywaj do swych!

— Chodź do nas!

Trzaska go pod rękę ujął.

— Na miłego Boga — odezwał się trochę zafrasowany Szary, lękając się, aby go nie badano — jam z długiej drogi! Na siodle się stłukłem haniebnie, ledwie żyw stoję. Nocy nie dosypiałem, więc choć wam rad jestem z duszy, ale mi do siana pilniej, niż do ludzi.

A Trzaska na to:

— Gdzież ty myślisz się mieścić! Do Krakowa? do miasta? A no tam mysz się już nie wciśnie, tak pełno. Niektórzy na poddaszach legają, inni bodaj w rynku. Gdyby tam przytułek był, już mybyśmy też pod tę słotę cieplejszego kąta szukali.

Wziął go tedy Jarosz Grusza pod drugą rękę i rzekł:

— Ja tu mam namiocik, a i siana wiązka się znajdzie i przy moich konie postawicie. Chodź. W kociołku się coś skwarzy, a tyś pewnie głodny.

— Chodź! chodź! — odezwało się ze wszystkich stron.

Więc z jednej strony Trzaska, z drugiej Grusza wzięli go, jak swojego, i do namiotu wprowadzili.

— Rozdziewaj się ze zbroi i bywaj, jak w domu — rozśmiał się Jarosz. — Wprawdzie dom płócienny tylko, żal się Panie Boże, ale w naszym rzemiośle, gdy i taki nad głową jest, Bogu dziękować.

Rozgościł się Szary może i rad temu, iż swoich znalazł.

Dobry czas upłynął od tego dnia, gdy z Surdęgi wyjechał i o domu nie wiedział nic. Korciło go strasznie spytać którego z tych, co bliżej mieszkali, czy co nie słyszał o rodzinie. A troskał się nie bez przyczyny, bo tam miał móła srogiego, który go gryzł. Lecz jak z jednej strony pilno mu było dostać języka, tak również się obawiał złej wieści, której przeczucie ściagało go ciągle.

W tej niepewności będąc, postanowił czekać już lepiej, aż się jednemu z nich coś wyrwie, nie wywołując wilka z lasu.

Miał zamiar przed wyprawą, na którą musiał iść, wyprosić się jeszcze, choćby na dzień jaki, do Surdęgi.

Trzaska i Jarosz gościnnie przyjmowali, a Grusza, widząc go zmarzłym od ранnego deszczu, krzyknął zaraz, aby mu piwa zagrzano. Im też pilno było rozpytywać Szarego, co słyszał i widział w Wielkopolsce. Trzaska zwłaszcza nalegał.

— A przywiodą nam stamtąd ludzi? A ilu?

— Nic nie wiem — rzekł Szary. — Jeździłem do wojewody, sprawiłem, co mi zlecono i tyle mi rzekł, że powinność swą robi, a ludzi zbierze.

— Cóżżeś widział w Poznaniu?

Nie było innego sposobu na to naleganie odpowiedzieć, tylko się żartem wykręcając.

— Com widział? — odparł, uśmiechając się, Szary, choć do wesołości żadnej ochoty nie miał. — A no! królewiczową, która pieśń śpiewała... No, i u Wilczka w gospodzie dziewczkę jego Marychnę, taką, że gdyby na nią zbroję wdziać, byłby z niej żołnierz.

— Patrzajcie go! — wykrzyknął Trzaska. — Cóż się właści w drodze stało? Człęk, co nigdy na niewiasty nie patrzył, teraz ino je widział! Ani go poznać!

Szary się zafrasował drobinę.

— Dalibyście mi pokój, bom, no, ledwo żywy jestem, tak znużony, że języka w gębie zapomniałem...

— A o Marychnie pamięta! — przerwał Grusza. Śmiali się tedy.

Przyniesiono kubek piwa grzanego, lecz gdy je drudzy zobaczyli, że z kminem było i zapach poszedł po namiocie, zaczęli się go napierać. Musiał Grusza cały kociołek kazać nastawić, bo z piwem, jak z pigmentem, wiadoma rzecz, tylko począć trudno, a gdy się zakosztuje, nigdy go dosyć.

Pod namiotem tedy wesoło było, a Szary myślał sobie:

— Dzięki Ci, Panie Boże, nie muszą o moich wieściach nic złego, gdy tak są weseli!

Na uboczu tylko siedział najbliżej Surdegi mieszkający Napiwon, człowiek kwaśny i skarżący się zawsze, a zbiedzony. Na niego poglądał Szary, bo czegoś posępny wyglądał, lecz nie było dziwu; takim on całe życie prawie bywał.

Milczał Napiwon, do kubka tylko zaglądając i całe wesołości nie dzieląc.

— Dawnoście z domu? — zagadnął go wreszcie Szary.

— Ja? — odparł Napiwon (na imię mu było Żegota). — Hm! jam się najpóźniej przywłókł, z końmi biedę miałem. Człek mi zasłabł...

Westchnął.

Sądził Szary, że mu co powie o ojcu i o Surdędzie, ale — ani słowa. Byłby zapytał, ale strach go brał. Myślał zresztą, gdyby, uchowaj Boże, złego co było, już ciżby oznajmił.

Tymczasem śmiano się i coraz pod namiotem stało się weselej, a o spoczynku ani tu było pomyśleć. Trzaska, który kości lubił, szukał już kubka i człowieka, z którymby grał. Grusza zaś, że kosterów niecierpiał, przeciwił się.

— Ciskać u siebie kośćmi nie dam — rzekł, — bo to z tego zawsze wkońcu krew musi popłynąć.

Ale piwo z kminem nosili.

Szaremu w głowie szumiało ze znużenia i gwaru. Wtem Napiwon podniósł się z siedzenia i zbliżył do niego. Siadł na ziemi.

— Wyście dawno z Surdęgi? — zapytał go.

— Mnie się już wiekiem wydajel... — westchnął Szary.

Spojrzelili sobie w oczy.

— Spokojnie tam? — spytał Florjan, strzymać już nie mogąc.

Napiwon zadumał się, ramionami strząsał.

— A kiedy u was spokój? — mruknął. — Dopóki wy Bąka pod bokiem będziecie mieli, spokoju nie zażyjecie.

Szary aż się porwał.

— Mów! Splatał już co? — zakrzyczał, a głos mu drżał z gniewu.

Napiwon zdawał się mierzyć słowa i ociągać.

— Gdyście z domu odjeżdżali — rzekł, — juści nie mogliście się spodziewać, aby on z tego nie korzystał. Na to tylko czekał... Drugiego dnia już Surdęga była jak w obleżeniu. Ludzi pościagał...

— A ojciec mój? — zapytał Szary.

— Ojciec czuwa, nie bójcie się... — odparł Napiwon. — Bydło wam wszystko zabrali z waszego własnego pastwiska, ale stary zaraz z ludźmi wyskoczył i odbił. Bąk ze swymi napadł na wasz gródek, ale mu dali tęgą odprawę.

— Boże miłosierny! — pot ocierając z czoła, przemówił, pomilczawszy, Szary — kiedyż ja od tego wroga będę wolnym!?

Napiwon tylko ręką machnął, jakby powiedzieć chciał, że się tego ani mógł spodziewać. Wstał i oddalił się.

Szary został w miejscu, jak przykuty, zasepiony, nie słysząc i nie widząc nic, tak go ta nowa napaść sąsiada zgryzła i przestraszyła.

A tu potrzeba było, powinności rycerskiej czyniąc

zadość, iść z królem, który ludzi potrzebował jak najwięcej.

Trzaska zaraz po twarzy mu poznał, że się czemś struć musiał.

— A tobie już Napiwon pewnie coś niedobrego powiedzieć musiał — zapytał. — Jam z tem nie śpieszył, choć tyle wiem, co i on... Ależ to dla was chleb powszedni, gdy Bóg Bakiem obdarzył.

— Żał mi mego starego i żony, że ich w niepokoju tym zostawić muszę, póki Bąk też na wyprawę nie pójdzie...

— Bąk zachorzeje, albo za siebie wyśle kogo — odezwał się Trzaska, — właśnie dlatego, aby pod niebytność waszą dojadł staremu i żonie... Kto nie zna Bąka!

— Gdybym Boga w sercu nie miał — począł Szary, — dawnoby mu strzała w serce należała...

— Myślę — rozśmiał się Grusza, — że gdybyście tylko mogli, powinniście go sprzątnąć, ale się on tak goły na belt nie zastawi... Z nim trudna sprawa, jak zły, tak chytry jest...

— Przyjdzie i nań godzina! — westchnął Szary.

Jakoż się przecie w namiocie przeredzać zaczęło, i Grusza, odprawivszy resztę, opłotki zaciągnął, straż postawił, a panu Florjanowi posłanie wskazał, aby spoczął.

Gdy po twardym śnie zbudził się nasz podróżny, w obozie wszystko spało jeszcze, noc była... Jego teraz sen już nie brał, czekał poranka, aby Hebdy wyszukać i do domu się na krótki choć czas wyprosić.

Za wojewodą potrzeba było do miasta, bo stał gospodą u jednego z radnych, Hejnucza z Nisy. A do niego się dostawszy, Szary, gdy stękając, na czas do domu się prosił, wojewoda zrazu słuchać o tem nie chciał.

— Ja bez was, jak bez prawej ręki — począł wielce zaniepokojony.

— Miłościwy wojewodo, ale ja tu z troski zamrę... Wiecie mego sąsiada, Bąka Nikosza; ten mi już zno-

wu na starego ojca i żonę napaści czyni. Chcę choć zajrzeć, a ubezpieczyć ich.

Tu się skłonił.

— Panie wojewodo — rzekł, — na Boga miłego, poślijcie mu wici pod gardłem, aby się stawił do wyprawy. Przynajmniej i ja spokojniejszy pójdę, nie przemyślając noc i dzień, co się tam u mnie dzieje...

— Poślę za nim! Uczynię, co chcecie — zawołał wojewoda — ale bez was się nie obejdę.

— Wróć wnet, byłem moich raz jeszcze zobaczył! — westchnął, prosząc się, Szary.

Hebda ręką dał znak, że przyzwala; Florjan się pokłonił i wymknąwszy z namiotu, natychmiast na koń siadł, pędząc do domu.

VII.

Około zameczka, Surdegą zwanego, od niepamiętnych czasów z szerokimi obszary pól i lasów należącego do rodziny zawołania Koźlarogi, na wzgórzu łysem stała długo pustką chwastem porastająca kupa gruzów i węgla.

Powiadano w okolicy, że niegdyś Połowcy wtargnąwszy tu zagonem i darmo usiłując zdobyć Surdegę, na mniejszy ten gródek, do opanowania łatwiejszy, rzucili się, złupili i spalili. Od tych czasów szmat ziemi, do gródka należący, leżał odłogiem bezludnym długo, tak prawie, jak bezpański. Ci, do których ziemia bez ludzi należała, nie dbali o nią wiele, a mieszkali pono gdzieś aż w Łęczyckiem.

Zameczek Koźlarogów, czasu tego napadu utrzymawszy się, a ludność swą, co bliższą ocaliwszy, po najeździe Połowców, osadników mając, stał się głową kilku siół; należały doń Mojkowice, Wroników, Woźniki, w których siedzieli kołodzieje, i Laski. Ziemi było dosyć, lasy obszerne, łąk nad Pilicą przestrzeń znaczna.

Gdy sąsiedni gródek, który podówczas Wilczą Górką zwano, pustką stał mało nie przez cały wiek,

a o grunta jego nikt się nie troszczył, granice pozarastały i zapomnialy się, z Surdęgi ludzie od skrajów zarywali potrosze co lepszej, a dogodniejszej ziemi. Wypasano na łąkach trzody i siano z nich zbierano, bo nikt tam nie zaglądał.

Poza Surdegą i Wilczą-Górą, za Pilicą, także duży kawał ziemi dzierżyli zdawna Leliwy. Ród był stary i rozprzestrzeniony wielce, niektórzy rycerskiego rzemiosła i zamożniejsi, inni myśliwcy a wieśniacy, ludzie obyczaju prostego i nie lubiący dworować.

Leliwowie krakowscy piastowali już wielkie dostojęstwa u boku królów; gdy tutejsi cicho siedzieli i woleli w lasach swych gospodarzyć, nie pragnąc wiele, a mając, ile im było potrzeba.

Stary Bogusz Leliwa, który zamłodu trochę wojował, a potem już siadł doma, zwaśniwszy się o coś z wojewodą, miał dwu synów i córkę, Domnę. Starszego syna dał na rycerską sprawę; ten królowi Łoktkowi służył, niewiele skorzystawszy na wyprawach swych, bo te łupu nigdy nie przynosiły, a krwawe bywały. Młodszy przy ojcu siedział, z nim do lasów jeździł i polował.

Dwór był stary i jak chata prosty a niewytworny. Przybudowywano doń, gdy było potrzeba; podpierano ściany, naprawiano chaty i tak się tam żyło.

Matka, póki żyła, wychowywała córkę, Domnę, a wszyscy, ojciec, brat i ona pieścili ją, bo było to dziecko osobliwszej piękności i rozumu.

Brat matczyn, która z rodu Jaksów była, księdzem został i wędrował aż do włoskich ziem uczyć się, a powrócił świadomy wszystkiego, co się na świecie działo, na probostwie w Sieradzu siadł i tam się, jak mówiono, w pergaminach grzebał, a drugie i sam pisał i malował.

Ten siostrzenicę swą Domnę polubiwszy dla rozumu, gdy bracia jej rychło bardzo po lasach hasać zaczęli i księdza niebardzo słuchać chcieli, uczył wszystkiego i prawie sam wychował.

Umiała też więcej, niż matka, ojciec i bracia, a wie-

działa o ludziach, krajach, o Bogu i o świecie Bożym lepiej, niż oni. Stary kapłan tak się nią cieszył, jak dziełem rąk swoich.

W tym czasie jakoś, gdy piękne dziewczę dorastało, jednego wieczora zjawił się w Lelowie człek młody, z rycerską ubrany i uzbrojony, lecz sam jeden, bez czeladzi, zmęczony, poraniony, składając się tem, że na wyprawie był ranny, od nieprzyjaciela z niewoli zbiegł i o przytułek prosił.

Gościnności nikomu nie odmawiano, przyjęto go więc, choć nikomu się nie podobał. Patrzał z podębą, mruk był, a co o sobie powiadał, niejasne było i nie wszystko z sobą zgodne.

O pochodzeniu nawet swem nie umiał dobrze objaśnić, raz Mazurem się zowiąc, jakoby ród jego tam siedział, to znów od Sandomierza się opowiadając, kędy też plemienników miał. O wyprawie tej, w której rannym był, także mętne rzeczy prawił i nierad się o niej rozgadywał.

Możeby to gdzie indziej podejrzenie jakie obudziło, lecz Leliwowie, ludzie prości a łatwowierni, tyle tylko zrozumieli, iż biedny człek nierad był wspominać to, co go bolało.

Gdy się nieco wylizał i spoczął, a odjeżdżać nie myślał, stary pan począł go z sobą brać na łowy i bardzo był z niego rad, bo śmiały, zręczny i zuchwały niemal, dobrze mu służył, konie najdziksze dosiadał, z oszczepem szedł sam na odyńca i na niedźwiedzia, a do niczego się nie lenił.

Tak jakoś nieznacznie w dom ten wrósł, najwięcej się staremu wysługując, że już jakby domownikiem i powinowatym został.

Ksiądz, parę razy go tu spotkawszy i nieznacznie wybadawszy, starego szwagra począł ostrzegać, aby nieznanego przybłądy nie żywił, a dał mu odprawę. Stary nie posłuchał.

Tymczasem zmarło się matce Domny, dom opustoszał, wdowiec ze smutku więcej w lesie, niż pod strze-

chę siedział, a Nikosz stawał mu się coraz potrzebniejszym i przybliżać mu się umiał.

Tymczasem, patrząc codzien na to cudo-dziewczę, które jak różyczka rozkwitało i coraz się stawało piękniejsze, przybłęda rozgorzał ku niej miłością wielką. Ludzie tego nie widzieli; dziewczę się jedno domyśliło i ulękło, bo dziki ten chłop od pierwszego wejrzenia budził w niej wstręt i obawę.

Już naówczas z różnych stron poczęli się ludzie ze swaty i dziewosłęby zjawiać do Lelowa. Stary, choć mu córki z domu srodze było żal, nie rozpędzał ich, bo rad był wydać zamaż, aby o nią być spokojnym. Wiano obiecywało się po matce znaczne, dziewczę było piękne, ród zacny i stary, gniazdo pocziwe; na chłopakach też nie zbywało.

Nikosz, który przy starym i na łowach, i w domu ciągle przesiadywał, a zabawiał go i kładł mu, co chciał, do uszu, tak umiał nieznacznie zawsze na każdego, co na Domnę spojrział, coś podszeptać, iż do wszystkich Leliwę zrażał.

Czy wiedział tyle o tych młodych, czy kłamał zręcznie, dojść było trudno, a u starego wiarę zyskiwał. I im dłużej to trwało, tem w domu przewagę większą brał i bali się go wszyscy, bo na każdego donosił i skarżył.

Piękna Domna, za którą się uganiał ciągle, jak mogła, od niego uchodziła i z oczów jej czytać mógł, że łaski u niej nie miał. Wcale go to jednak nie zrażało; im się ona zręczniejsz starala go unikać, tem usilniej zachodził jej drogę. Przyszło do tego wreszcie, iż raz ją ze starą piastunką w lesie napędziwszy, choć zaraz się z nią w stronę rzuciła, z wielkiem zuchwalstwem oświadczył jej, że ją miłuje i choćby dziesięciu trupem położyć przyszło, nie dopuści do niej nikogo, a mieć ją musi za żonę.

Domna mu naówczas ostro odparła, że powinien pamiętać, iż sługą jest i że ojcu się nań skarżyć będzie, jeśli się kiedy narzucać jej ośmieli.

Na to Nikosz ze śmiechem odpowiedział, iż sługą

jako żywo nie był, ale przyjacielem; że ziemianinem równym z Leliwami się czuł i że od swojego nie odstąpi. Stara piastunka nie dała mu więcej mówić i, zagroziwszy, precz odpędziła.

Domna wówczas spłakała się, powróciwszy do dworu, bo człek ten strachem ją nabawił; ale ze skargą do ojca się wstrzymała, nie chcąc go jątrzyć więcej. Sądziła, że sama groźba starczy. Następných dni jednak przekonała się, że Nikosz wcale na nią nie zważał i jak dawniej zabiegał, kędy mógł, kroku jej stąpić nie dając.

Gdy się to działo, stary Dalibór Koźlarogi z Surdegi, z którym od młodzieńczych lat Leliwa w druźbie żył i pobratymstwie, gdy mu syn Florjan dorastał, a o Domnie i jej piękności zasłyszał, pojechał naprzód sam do Lelowa.

Nie zastał doma starego i czekać nań musiał, aż z łowów powróci, ale mu się poszczęściło, bo Domnę zobaczył i ona go przyjmowała.

Mógł się więc i piękności napatrzeć i rozumowi nadziwić. I rzekł sobie w duchu, że błogosławieństwem Bożem byłaby żona taka dla syna jego.

Czekał więc na Leliwę do nocy, a gdy ten przybył, rzucili się sobie w ramiona, jako dwaj bracia rodzeni i dopóźna rozmową we dwu się bawiąc, dosyta nagaść nie mogli.

Nikosz, coś przeczuwając, choć go Leliwa precz odsyłał i zbyć się chciał, to u progu, to za drzwiami stał, czatował, podsłuchiwał; wchodził niewezwany i ucha bacznie nadstawiał.

Wiedział on już, że Dalibór syna miał i bystro przejrzał, że dla niego tu przyjechał. A tu mu na gościa tego nic skłamać nie było można, bo starzy dobrze się z sobą znali i wiedzieli o sobie.

Drugiego dnia dopiero wrócił Dalibór do Surdegi, a wprędce jakoś z synem już przyjechał do Lelowa, aby go przyjacielowi pokazać.

Florjan niepodobnym był do wesołej a ochoczej nad miarę młodzieży, która wprost z podwórca ojcowskiego do pułków się dostawała, nic nie umiejąc krom

pacierza, Bogarodzicy, toczenia z kopją i obchodzenia się z koniem.

Ojciec go posyłał do Krakowa do szkoły biskupiej, z czego się drudzy śmiali, prześladując, że chyba księdzem chciał go mieć. Tymczasem w szkole on konia nie zapomniał, a wielkiego statku nabrał, spoważniał, i gdy z kolei rycersko służyć począł, lepszego nadeń żołnierza nie było.

Niepięknym był, ale twarz miał poważną przed czasem, miłą, spokojną jak wszyscy mężczyźni. Patrzał śmiało w oczy i dawał sobie zaglądać, nie mrużąc ich.

Leliwa niemal już jak syna go przyjął, a przez dzień cały, który tu przebyli, z oka nie spuścił. Wyjechała i Domna z rozkazaniami ojcowskimi i już się domyślając, na co ją wołano, zarumieniła i strwożyła wielce. Prędko jednak ocknęła się, bo młody Florek, skromny i cichy, nie porywczy, podobał się dziewczynie. Więc, choć do siebie prawie mówić nie mogli, oczyma się porozumieli.

Wszystko to zazdrosny Nikosz widzieć musiał i do wściekłości był doprowadzony, lecz zmilczał.

Młodemu dozwolono do Lelowa przybywać i już o weselu szeptano. Próbował coś Nikosz podszeptać na Szarych, ale mu się to nie udało. Zgromił go Leliwa i milczeć kazał.

Nie dał po sobie poznać zdrajca, że go gniew i złość ogarnęły, lecz przypodchlebiając się znowu staremu, zatarł swoją winę gorliwszą posługą.

Jednego razu, gdy konno sam bez sług Florjan powracał do Surdęgi i już się miał na promie przez rzekę przewozić, dognał go na drodze Nikosz. Widzieli się wprzód w Lelowie zdala.

Zajechał mu z przełaju.

— Czołem!

Florjan, zobaczywszy go, myślał, że za nim był ze dworu posłany i stanął.

Wtem Nikosz, z konia nie zsiadając, zbliżył się doń.

— Mam do was sprawę własną — odezwał się szorstko — posłuchajcie mało!

Niewielomówny Szary dał znak, iż słuchać gotów.

— Ziemianin jestem i służyłem rycersko — począł Nikosz. — Od lat dwu przyjacielem jestem i sługą Leliwy. W córce jego Domnie rozmiłowałem się, a i ona mi krzywą nie jest. Pierwej tu zajechałem, niżeli wy, a teraz chcecie mi ją wziąć z przed nosa. Na to ja zezwolić nie mogę. Możem uboższy od was, ale bogac two praw nie daje. Nie zechcecie mi dziewczki odstąpić, siłą bronić będę praw swoich.

Florjan spojrzał nań zdziwiony i po małym namyśle rzekł:

— Ja wam nie odbieram dziewczki, ale u ojca o nią się staram, jak przystało... Do ojca idźcie z tem, nie do mnie. Wreszcie Domna, jeśli mnie nie chce, a wam sprzyja, może to objawić... gwałtem jej nie zabiorę.

— Otóż to jest — zakrzyczał Nikosz, że dziewczyna sromać się będzie, ojca się lęka, słowa tego nie powie. Więc ja jej i siebie bronić muszę.

Uderzył się po mieczyku.

— Małym jest i nie wydaje się strasznym — dodał, — a no zawierzcie mi, wścieklejszego człeka na świecie niema nade mnie.

— A ja się wściekłych ni ludzi, ni zwierza nie nawykłem bać! — zawołał Florjan i konia naparł, aby jechać, ale Nikosz mu drogę zaskoczył.

— Rozmyślcie się — dodał; — jam życie stawić gotów, a dziewczki sobie wydrzeć nie dam!

Florjan, nie odpowiadając na to, spojrzał nań tylko ostro, usta zacisnął i zawołał nakazująco:

— Z drogi!

Nie wiedzieć jak się to stało, że groźny ów pachół, choć zbielał i zatrząsł się, ustąpił z koniem, a Szary, nie patrząc już nań, jechał dalej do przewozu.

Przybywszy do Surdegi, zaraz ojcu wszystko, jak było, opowiedział, na to najbardziej nastając, iż służka ów śmiał utrzymywać, jakoby z dziewczyną był w porozumieniu.

Stary temu wierzyć nie chciał, a Florjan też, który jej w oczy tego dnia patrzył i w rozmowie z nią

mógł ją najlepiej poznać, nie posądzał o udawanie i kłamstwo, bo mu się sprzyjać zdawała jawnie.

Nazajutrz stary Dalibór sam śpieszył do Lelowa z tą sprawą, bo mu żal było tej żony, dla syna upatrzonej.

Czatował widać już Nikosz na drodze, przeczuwając coś, bo gdy Szary przybył, a wytoczyło się wszystko przed ojca i powołano Domnę, która z płaczem opowiadała, piastunkę na świadectwo wzywając, jak zuchwałym był ten sługa niepocziwy, wnet po niego ludzi posłano, aby się stawili, ale go już nigdzie ani we dworze, ani w okolicy nie było ani śladu, koń tylko najlepszy ze stajni, rząd nań i siodło znikło.

Myśleli więc wszyscy, że na tem się skończy szataństwo tego przybłądy, który za przytułek tak się Leliwie chciał wywdzięczyć. Uspokoili się, a dwór, który donosiciela niecierpiał, rad był, że się go pozbywał.

Nastąpiły więc zrękowiny uroczyste, jakoś w porze jesiennej wyznaczony został czas ślubu i wesela, do których przybory czyniono wielkie, bo córka była jedynaczka, ród liczny, zjazd musiał być wielki, a wesele mniej dni dziesięciu trwać nie mogło w owe czasy.

Szary też na Surdędzie gotować się musiał na przyjęcie państwa młodych i wszystkich gości. O głupim Nikoszu zapomniano zupełnie i wyśmiewano się zeń. Jeden tylko stary Leliwa, któremu on służył pilno, czasem narzekał, że mu go brakło.

Jednej nocy letniej, gdy we dworze spoczywało wszystko, a z młodym Leliwą, co rycersko służył i właśnie tego wieczora niespodzianie do ojca przybył w odwiedziny, kilku czeladzi zbrojnej razem zajechało, nagle krzyk się stał i wołanie o pomoc od izb niewieścich...

Kilkunastu rabusiów wdzierało się do dworu. Nim jednak zdołali okiennice powyłamywać i drzwi wywalić, Leliwa i czeladź jego z kordami poskoczyła... Nie-równa była walka, bo napastnicy liczbą przeważali, lecz czas zyskano, a wnet i co żyło we dworze, na nogi się pozrywało.

Tymczasem, lepiej znający miejscowość Nikosz,

który ten napad spowodził, gdy jego ludzie się ucie-
rali, ztyłu wpadł do Domny, chwycił ją z łoża i chciał
już unieść przestraszoną, gdy Wojtek Leliwa, nadbiegł-
szy na krzyk, w łeb go rąbnął tak, iż mu się dziewczę
wyrwało.

Musieli napastnicy uchodzić, unosząc z sobą ran-
nego Nikosza.

Ścigano potem w okolicy rabusiów tych i ich wo-
dza po lasach, po gościńcach, bo Florjan pomsty chciał
koniecznie; połapano niektórych, dwu obwieszono, lecz
sam sprawca nie wpadł w ręce. Byli znowu pewni, że
nauczony, nie pokaże się więcej.

Nadszedł czas wesela, zjechało się rodziny dość, ale
nie tyle, ile się jej spodziewano, bo wojna była i kró-
lowi ludzie potrzebni. Niezbyt więc gwarno i tłumno
było w Lelowie, a zjechali się po większej części sta-
rzy, którzy na wyprawę iść nie mogli.

Trwało wesele, jak było we zwyczaju, dni kilka
i dopiero dziesiątego nad wieczór cały orszak weselny
wybrał się do Surdęgi.

Jechali tedy oboje państwo młodzi na koniach,
otoczeni przyjaciółmi, czeladzią, z muzyką na przedzie.
Na wozach za nimi w skrzyniach malowanych i ku-
tych wieziono wiano pani młodej, jak przystało dla Le-
liwianki, bogate, tak, by przez całe życie od męża nic
nie potrzebowała. Było i wino i miód dla gości na wo-
zach, któremi podczaszowie wybrani częstowali.

Wieczór był pogodny i piękny, ale z Lelowa z wy-
jazdem się spóźniono, tak, że w bliskim lesie, który
od rzeki przegradzał, ciemno się już zrobiło. Służba
więc pochodnie miała rozpalać i na chwilę się zatrzy-
mano, gdy z lasu kilkudziesięciu zbrojnych wypadło
z mieczami dobytymi, wprost na bezpiecznych i nicze-
go się nie obawiających gości.

Jedni zaraz na wiano się rzucili, a kupka, w której
Florjan poznał Nikosza, na panią młodą.

Stało się zamieszanie wielkie i była chwila trwogi,
lecz czeladź się opamiętała wprędce, a Florek z Wojt-
kiem Leliwą wpadli na głównego napastnika. Nie by-

ło jednego z gości, któryby stał bezczynny lub pierzchał; jedni miecza dobyli, drudzy, czem kto miał i mógł, bronili się dzielnie. Służba pochodnie tylko co zapalone koniom i ludziom do łbów rzucać zaczęła i choć rozbójnicy zacięci byli, zrąbano ich kilku, a reszta uciekła. Nikosza widziano, gdy krwią cały oblany, ujechał.

Tych, których żywcem chwycono, zaraz krótkim sądem powieszono na dębach i w godzinę pochód cały ze śpiewaniem i muzyką, zwycięsko dalej jechał do Surdegi, bo nikt do Lelowa powracać nie chciał.

Ze strony pana młodego, on sam w rękę był cięty, brat Domny głowę miał rozplataną i ludzi kilku ciężko było rannych. Tych na wozy pobrano do skrzyń, a że napaść opóźniła ich, niemal nad ranem dopiero przybyli młodzi do domu.

Pewni byli Leliwowie, że niepoczciwy człek, który się tak zuchwale na nich śmiał porywać, dobrą naukę wzięwszy, nigdy więcej na ten świat się już nie pokaże.

Jeden Florjan Szary, choć niewiele się tem frasował, pewien był, że z Nikoszem rzecz nie jest skończona.

Gdy się rozgłosiło o nim, a szukano go i dowiadывano się, doszli ludzie wreszcie, kto był, i że kędyś około Sandomierza, ubogiego ziemianina syn, rycersko nie służył nigdy, ale z ojcem razem po gościńach rozbijał.

Nie było to rzadkością w owych czasach, zwłaszcza w Niemczech, gdzie trwał obyczaj napastowania i odzierania podróżnych. W wielu też okolicach i w Polsce działały się takie bezprawia, za które i Czesi czasu swego panowania wielu ziemian wywieszali i Łoktek ich nie żałował.

Nikosz ten, z młodu zaprawny do rzemiosła, mógł i dalej go nie rzucać, lecz szczęśliwego sobie placu szukać, gdy tu mu się nie wiodło.

VIII.

Nie było pewnie na szeroką okolicę szczęśliwszego małżeństwa nad to krwawe, ani lepiej dobranej pary. Wprawdzie szczęśliwemu Florjanowi wojewoda nie dał długo siedzieć w gnieździe. Raz wraz go potrzebowano, musiał, ledwie zsiadłszy z konia, na drugiego się przesiadać; ledwie przywitawszy się, żegnać.

Naówczas Dalibór zostawał na straży gródka, domu, żony i gospodarstwa, a Domna też mu pomagała. Piękna, młoda pani była i pracowitą, i mężną, jak przystało żonie wojaka. Cały dzień nie przysiadła i nie spoczęła, z dziewczętami swemi przędąc i śpiewając, lub ojca zabawiając, porządek czyniąc w domu, wreszcie modląc się, bo choć do klasztoru iść nie chciała, pobożną była bardzo.

A ta pobożność jej i praca była przedziwną okraszona wesołością, pogodą oblicza, uśmiechem spokojnym, niewinnym, dziecięcym niemal, który z ust jej nie schodził.

Stary Dalibór, patrząc na nią, jak się, śpiewając, krzątała po domu, płakał z radości. Ludziom też to wesele pani serca dodawało. Miłowali ją wszyscy, a przez tę miłość obawiali się razem. Słowo jej za rozkaz starczyło najsroższy i czego czasem Dalibór nie mógł postrachem, ona zrobiła spojrzeniem.

Kilka miesięcy zeszło tak w niczem niezamąconem szczęściu, gdy dnia jednego wiosną powracając z pola, włodarz oznajmił Daliborowi, iż coś się osobliwego działo na Wilczej-Górze.

Opowiadał, iż ludzie tam jacyś zjechali naprzód na oględziny, potem z wozy i końmi, i jakby sobie obozowisko zakładali.

Od lat wielu nikt tam się nigdy nie dowiadywał, pustką stały rumowiska, bezpańskimi pola dokoła; naraz znalazł się pan.

Pod samym bokiem Szarym nie miały to być gości przy niepewnych granicach. Posłał naprzód stary włodarza, aby języka dostał, co tam byli za goście.

Włodarz, którego wolano Wnukiem, człek już siwy i bywały, konia wzięwszy i niby pola sobie objeżdżając, zajechał pód Wileczą-Górę. Ludzi na niej leżało ze dwudziestu, wszystko zbrojni, chłop w chłopu zdrowi i silni. Zobaczywszy go, jeden wstał i zagadnął, czego chce.

— Jam tu z sąsiedztwa — odezwał się Wnuk, — patrzę, co nam za nowina przybyła, bo tu zdawien-dawna nikt nie gościł.

— No, a teraz za wszystkie czasy będziecie mieli sąsiadów i gości — zaśmiał się ten, co z nim rozmawiał, człek z kilku szramami i bliznami przez łeb naznaczony.

Patrzali na się.

— Coście to kupili, czy odziedziczyli? — zapytał Wnuk.

— Kupilem — odparł zuchwale zapytany, — i tęgom zapłacił; pergamin mam, jak należy, pod pieczęcią przy świadkach... a kto czytać nie umie, to mu żelazem prawo swoje wytłumaczę.

— A nie wolno wiedzieć, jak was mianują? — rzekł Wnuk cierpliwie.

— Swego czasu się dowiecie! — zaśmiał się porąbany, odchodząc.

Koźlarogom trochę było nie na rękę dostać sąsiada, gdzie dawniej sami gospodarzyli na bezpańskim, lecz że żadnych praw do Wileczej-Góry nie mieli, musieli cierpliwie znosić, co się tam działo.

Krzątano się bardzo gorąco około pustego pagórka, na co z Surdegi patrzeć było można, bo oko sięgało łatwo do niego. Ludzi miał z sobą nowy dziedzic kilkudziesięciu i wozów kilka. A choć na nich sobie zapasów przywieźli i co było do życia potrzeba, nie bez tego, ażeby czegoś nie zabrakło im. Naprzód więc niektórzy z ludzi zaczęli dochadzać do Woźnik, aby sobie piwa dostać i świeżego chleba kupić.

Wnuk, który pod ten czas objeżdżał lasy, jednego z nich zastał w gospodzie w Woźnikach. Człek był to niemłody i okrutnie porąbany, bez palców u ręki, bez

jednego oka, nakuliwający na nogę, ale zuchwały, jak zbój.

Chcąc się coś dowiedzieć o Wilczej-Górze, Wnuk go piwem poczęstował, aby na słowo wywabić. Człeczy-sku, podpiwszy, język się rozwiązał.

Naprzód się tedy wygadał, że oni ze swym starszyzną, jak on go nazywał, uśmiechając się, długo po gościńcach polowali, tu i owdzie, ale że im się wreszcie życie to naprzykrzyło, bo ich teraz ścigano i bardzo prześladowano. A że się ich starszy dorobił trochę grosza, w tej okolicy koniecznie pragnąc się osiedlić, zasłyszawszy o pustej Wilczej-Górze i gruntach do niej należących, pojechał do właścicieli i kupił ziemię tę za pięć kóp groszy, cztery konie i sztukę szkarłatu, którą niegdyś u kupców na gościńcu złupił.

Starszego swojego zwał zbój Nikoszem Bakiem i rozповідаł o nim, że śmielszego i zuchwalszego nad niego na świecie nie było.

Kolnęło to Wnuka, gdy imię usłyszał, iż Nikosz musiał ten sam być, który w Lelowie przebywał i o Domnę się dobijał, a potem na jadące wesele napadł; lecz nie dając po sobie znać, pojechał stąd precz do Surdęgi.

Tu, gdy Daliborowi odpowiedział wszystko, a opisał mu widzianego wprzód Baka, nie było już wątpliwości, iż ten sam Nikosz był, który się na ich spokój nasiał, a pewnie i teraz nie dla czego innego w Wilczej-Górze się zagospodarowywał, tylko, aby im życie zatruć.

Musiano więc zaraz pomyśleć o obwarowaniu się na zamku, bo i napaść nocna, i rabunek, i wszelki gwałt był możliwy.

Na granicach się też musiano pilnować, bo zaraz do lasów pojechali ludzie z Wilczej-Góry z wozami i w puszczy Surdęskiej drzewo rąbali.

Kazano łąki pozatykać i rubieże poznać. Naza-jutrz znaki graniczne znaleziono powyrywane i połamane. Wojna się poczyniała.

Ale to były dopiero jej zwiastuny, bo do starcia nie przyszło. Stary Dalibór go unikał.

Na Wilczej-Górze tymczasem nagwałt budowano, zwożono drzewo, ciosano, oczyszczano gruzy, sypano wały, zrobiono na przekopie most i bronę, a na podzamczu, gdzie niegdyś stała osada, dla swoich szalały i lepianki klecić począł nowy dziedziec.

Ludzie ci jego, że sami byli i nie mieli z sobą baby ani jednej, żeby im chusty poprała i jeść zwarzyła, ruszyli zaraz szukać sobie towarzyszek i w Surdędze dowiedziano się, że jednego dnia w pięciu się puścili na upatrzonego za Pilicę i przy ruczaju, gdzie z Wólki dziewczęta i niewiastki przychodziły prać bieliznę, porwali jedną piętnastoletnią dziewczkę, a drugą zamężną młodą, i na koń je poprzywiązywali i uprowadzili.

Puściła się za nimi pogoń, ale wieśniacy źle uzbrojeni, pobić się dali, a dziewczynę i niewiastę uwieźli zbóje, trzymali je na zamku do czasu i choć się o nie upominano, wydać nie chcieli. Tak się i zostało.

Trwoga poszła po osadach okolicznych, że się już pilnowano wszędzie od tych rabusiów. Oni też za trzecią dziewczyną pono wyjechali dalej i od trzody porwali o mil kilka, a tak uszli z nią, że i nie było wiedzieć, dokąd gonić.

Na pagórku wkrótce stanął zrab dworu, który złotych zdala. Czuć już było sąsiada, bo nad granicą umyślnie ludzie jego szkody zdawali się wyrządzać, ale do bitki jeszcze nie przychodziło. Odgrażał się tylko Dalibór i pan Florjan. Choć się domyślali Nikosza, nie byli pewni, bo go w oczy nie widzieli.

On też z napaścią nie śpieszył, bo słabszym się czuł, ludzi miał niewielu. Tymczasem tylko ściągał osadników, posyłał i już na skraju lasu małą osadę zakładał, którą Cieślakami zwano, bo najwięcej tam było tych, co około dworu robili z toporami.

Jeden w drugiego ludzie tego Bąka dobierali się, wszyscy drabi i rabusie, tak, że od nich w Woźnikach, we Wronikowie i w Laskach ciągle się musiano mieć na baczności, bo choć chwycić ich było trudno, ciągle coś ginęło, to sztuka bydła, to koń, to wóz na polu zostawiony, a nawet całe stogi siana. Nie pomogło to, że

ślady wiodły na Wilczą-Górę, bo kto poszedł ze skargą, to go zhukano, zagrożono i przepędzano.

Barcie w lesie wydzierać zaczęto, a pomniejszych szkód nie można było zliczyć.

A to gniazdo paskudne około Wilczej-Góry tak szybko rosło, jak żadna jeszcze osada, którą tu ludzie pamiętali. Nie wiedzieć skąd się ta gawiedź brała. Miał Bąk między swymi pierwszymi towarzyszami takich ludzi, że gdy który z nich pojechał, a jeździli ciągle, zawsze z sobą kogoś, parobka, babę, lub chłopię wyrostka przyprowadził.

Rozповідали Wnukowi, który się o to pilno dowiadywał, że Bąk z dawnych grabieży pono miał dużo pieniędzy i różnych kosztowności, i że z niemi do Sandomierza, do Krakowa i aż do Nowego Sącza posyłał, a niewolników kupował u Żydów, którzy nimi handlowali. Więc to tam byli z całego świata zbierańce różnego języka i krwi, z postrzyżonemi łbami, tacy, o których wiadano, że zwykli byli zbiegać, pokuci w dyby drewniane, z któremi do roboty chodzić musieli i na noc im ich nie zdejmowano.

Tak w krótkim czasie namnożyło się około Wilczej-Góry tych przybłędów i w Surdędzie zaczęło być coraz od nich niebezpieczniej i niewygodniej.

Czasem ów Bąk puszczał się na łowy w lasy, nie pytając granicy lub umyślnie jej nie szanując, i bujał po puszczy Surdęskiej, a na gorącym go złapać nie było można, choć się zasadzano nań.

Jednego razu, gdy Florjan Szary sam polował u siebie, zasłyszawszy cudzą trąbkę, puścił się zaraz gonić napastnika, domyślając się, kto był. Samotnie jechał. Tamten, czy się nie spodziewał, czy nie chciał uchodzić, stał w miejscu potrzebując, i tak go Szary przydybał na polance. Na pierwsze spojrzenie poznał w nim Nikosza.

Stanęli tedy nieopodal siebie, jakby się namyślając, co mieli począć. Szczęściem Nikosz sam jeden był, a Szary dwóch miał ludzi, nie zaczepił go więc zbój, tylko ryknął doń:

— Poznałeś mię?

Nie na to nie rzekł Szary.

— Znajże, iż ja tu nie dla kogo jestem, ino dla ciebie, aby ci spokoju nie dać zażyć. Będiesz mnie miał dzień i noc pod bokiem, jak kamień w łożu. Wziąłeś mi dziewczkę, którąm chciał mieć, jeszcze ci ja ją może, choć niewiastę, odbiorę. Dwa razym się przez was krwią oblewał, oblejcie się i wy posoką i łzami.

To mówiąc, pięść wystawił przeciwko Florjanowi, zawrócił konia i w las pojechał. Szary za nim strzałę puścił i psami swemi poszczuł, ale nie trafiła go strzala i psy nie nagnały.

Od tego dnia prawie zaczęła się między Surdegą a Bakiem, bo tak Wilczą-Górę zaczęto nazywać, nieustająca wojna.

Trzeba było mieć się na pieczy ciągle od nich, a i samemu często napadać, by swoje odebrać, albo za szkodę sobie wetować. Najwięcej na tem cierpieli ludzie w Woźnikach, w Laskach, we Wronikowie, a nawet w Mojkowcach, bo panu chcąc dokuczyć, na nich się, jako bezbronnych, rzucali zbóje. Zabijano, okradano, łupiono.

Szary często w domu nie bywał, więc ojciec trzymał się tylko obronnie i opędzał, jak mógł. Bywało, że Bąk, ludzi swych zebrawszy kupą, podjeżdżał pod zameczek w Surdędze, niemal pod wrota, i stawał albo się rozkładał obozem, odgrażając, wywołując, a szydząc, żeby mu Domnę wydano.

Czasem Dalibór z małą garścią swoich musiał się z za ostrokołów odstrzeliwać im, aby się pozbyć, nimby z sąsiedniej wioski ludzie nadeszli.

Naówczas sama Domna zagrzewała dwornię i łuki im brać kazała.

Pod jedną niebytność Szarego Bąk na Woźniki na-jechawszy, gdy ludzie zaraz w lasy zbiegli, chaty zrabował i spalił.

Gdy Florjan powrócił, rozsierdził się tak, że mu tego podarować nie mógł. Zebrał więc, co mógł swoich, najwięcej z tych rozpierzchłych Woźnik, dobrze ich

uzbroił i pachołkami dworskimi najechał w biały dzień na podzamecze Bąka.

Wypadł sam Nikosz na obronę i przyszło do starcia na miecze, — ale Szary miał ludzi dobrych i był dnia tego silniejszy, tak że Bąka zmusił uchodzić za bramę do gródka, a na podzamczu, co było chat, kazał pod nie ognia podłożyć, mszcząc się za Woźniki. I sam stał, pilnując, aby nie ratowano.

Jeszcze się po tej klęsce gorzej rozjadł Nikosz i jego ludzie, tak, że między osadnikami jego a Florjanowymi już pokoju nie było; przy spotkaniu rwali się na siebie i mordowali.

Zapalono nocą chaty w Mojkowcach, ale się je od-ratować udało. Spłonęły stogi na łąkach u Szarego, popalono, co było, około Wilczej-Góry. Ale tu niewiele się dało zniszczyć, bo zawczasu swoje siano na zamek pościągali.

Inaczej, jak zbrojno nie wyjeżdżał z nich żaden za wrota. Najgorzej to dopiekało Szarym, że im wciąż w uszy krzyczał zbój, iż Domnę odbierze, choćby dzie-sięć lat musiał na nią czatować. Mężna niewiasta nie mogła prawie wyniść z zamku, gdy męża nie było, i musiała nóż u pasa nosić zawsze, jak mężczyzna, bo od Nikosza i we własnym domu bezpieczną się nie czuła.

Życie na zamku w Surdędzie stało się nieznośnem. Byłby na to zaradził może Florjan, raz się z przyjaciółmi namówiwszy i z rodziną a powinowatymi, aby Wilczą-Górę osaczyć i zbója wziąć, a do królewskiego sądu odstawić. Lecz na to czasu nie miał nigdy, bo ledwie wrócił z wyprawy jednej, już na drugą wołano. Czasy takie były za Łoktka, iż co lepszemu rycerstwu, jeżeli nie na kresach, to kędyś w domu trzeba było bić się, aby nie dać się buntującym wybić z pod jednego panowania. Gościem więc był w Surdędzie pan Florjan, a może to zło, iż szczęścia domowego nigdy długo zakosztować nie mógł, na dobro się obracało, bo mu ono tem droższem było.

I miłość a zgoda między małżeństwem była taka,

jakiej trudno gdzie indziej znaleźć na świecie. Więc te dni skąpe, które spędzał Szary u siebie, złotem mu się wydawały, a przelatywały, jak sen złoty.

Domna, która niegdyś dziewczęciem piękną była, po narodzinach pierwszego syna jeszcze wypiękniała, i jakby się dopiero taką okazała, jaką powinna była być dojrzałą.

Pozostał jej ów wdzięk niewinności dziewczęcej, jaki miała wprzód, a przybyła powaga macierzyństwa i jego szczęście, które na pięknej twarzyczce świeciło, jakby blaskiem błogosławieństwa Bożego.

Gdy we wrotach oznajmiano o powracającym Flor-ku, wzięwszy synaczka na ręce, z piosenką na ustach, z weselem na czole wychodziła przeciw niemu żona, tem większą okazując radość, by nie trękał się o to, co pod niebytność jego przecierpieć musiała.

Nie poskarżyła się nigdy mężna niewiasta, aby mężowi serca nie zalewać goryczą; a gdy stary Dalibór czasem, jak to zwykle jego wieku ludzie czynią, narzekaniom nie znał miary, zamykała mu usta łagodnie, pieścąc, przerywając, odwracając rozmowę, aby Flor-kan w domu mógł zażyć trochę spokoju.

A właśnie tak tu było trudno o to!

Myśleli Koźlarogi, że złemu człeku sprzykrzy się wkońcu to prześladowanie i walka, zwłaszcza, że bezskuteczne były; lecz przeciwnie, im mniej mu się powodziło, tem mocniej się zbój nasadzał i wszystkie siły wyteżał.

Dalibór wreszcie wpadł na myśl, aby u niegodziwego Bąka pokój choćby okupić. Gotów był na to jaki miał zapas grosza poświęcić. Użyto przyjaciół, co się do Nikosza zbliżyć mogli, i poddano myśl jakiegoś układu i zgody. Na pierwszą o tem wzmiankę, a było to w Sie-radzu na zjeździe ziemian, Bąk się zerwał, krzycząc, że gdyby mu dano górę złota taką, jak była Wilcza, nie kupionoby za nią spokoju dla Szarych, bo poto on żyje, aby się na nich mścił, iż mu jedyny skarb wydarli.

— Byłbym ja innym człkiem — począł, — gdy

bym tę żonę dostał, któram chciał mieć. Bogubym i ludziom się zdał, a za grzechy moje odpokutował... nie dali mi jej. Lała się krew moja, lać się będzie ich krew aż do kropli ostatniej, i albo ja ją będę miał, lub zginę.

Poczęli go drudzy opamiętywać, iż cudzą już żoną była, że jej nigdy dostać nie może.

— To niech zginie ten, co mi ją wziął! — krzyczał zbój, — albo niech i ona ginie, aby jej ani on, ani nikt nie miał, gdy ja mieć nie mogę!... Pókim żyw, nie ustąpię!

I kłął się tak strasznie, iż słuchający uszy sobie zatykali. Nie było więc innego sposobu, jak przed sąd królewski go pozywać o gwałty i zbójectwa. Ale dla tych wojen nieustannych sądy i zjazdy niezawsze się w porze odbywały; — Bąk nie stawał na nie, sądzono pozaocznie, a schwytać nie było sposobu. Musieli więc Leliwy i Koźlarogi z powinowatymi ostatecznego się chwycić środka, czatować na złego, aby go zgładzić.

Nikosz Bąk, który sam niegdyś zbójem był i wiedział, że głowa jego wiele wartała, umiał jej strzec. Domyślał się, co mu groziło, nie wyjechał z domu nigdy bez ludzi, dobierał najlepszych, zbroił się, jak na wojnę, przytem czujnym był, pory wypatrywał, drogami się takimi przemykał, że go wytropić nie było można, a jednym gościńcem nigdy dwa razy się nie puszczał.

Miał i ten rozum, że ludzi usypiać umiał. Czasem go długo słyhać nie było, przycupnął, siedział cicho; bąkano, że chory... Zaczynano lżej oddychać, a on, przysposobiwszy się w milczeniu, nagle potem rzucał się na nieopatrnych.

Choć żadne nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo, ustawicznie musiano czuwać w Surdędzie, a ta baczność i obawa nużyły i starego Dalibora i Florjana. Zameczek, jakgdyby czasu wojny, musiał załogę mieć, oręż i wszystko, czego potrzebował do obrony, bo gwałtownej napaści zawsze się spodziewać musiano. Ostrokoły i drewniane opasanie, gdy cokolwiek z gliny opadło, raz wraz oblepiano i obmazywano na nowo, aby

nie podłożono pod nie ognia, który już kilka razy znajdowano wraz ze smołą i pakułami. Choć Szary potrzebował ludzi do swoich osad i do dworu, a stręczyli mu się, wahano się ich przyjmować, bo i to się zdarzało, że w nich nasłanych zdrajców potem poznawano.

Przy tych wszystkich utrapieniach powszednich inna kobieta oczyby wyplakała i los swój nieszczęśliwy przeklęła, ale Domna była wielkiego ducha niewiastą, rycerską, jak mąż, i w ogniu tym żyła, śpiewając a śmiejąc się, jakby w swym żywiole...

Mężowi też, który powinność swą rycerską i służbę odprawiać musiał, nie stanęła na zawadzie nigdy, nie strzymała go, gdy szedł, ani łzami, ni słowami. Uspokajała owszem, gdy na koń siadł, aby o dom się niezbyt troszczył, bo oni z ojcem rady sobie dać potrafiały.

Pod niebytność mężowską ona i Dalibór musieli czuwać bez wytchnienia. Nocą strażę chodzili z grzechotkami i nawoływały się. Na najmniejszy szmer podejrzany bito w deskę na ludzi, aby wstawali na pomoc.

Wieczorem, nie spuszczać się na nikogo, Dalibór sam, lub Domna, obchodzili gródek dokoła, próbując każdej furty, czy była dobrze zawarta, każde okno zasuwając i pilnując, czy za ostrokołami kamień, koły i haki były na podoręczu.

Dalibór, niebardzo spać mogąc, kilka razy w nocy wstawał... We dnie ktokolwiek się do wrót zjawiał, musiano badać i opatrywać, kto był, nim go puszczono. Jechać nawet do drugiej wsi bez zbrojnych nie było można, gdzie ponad granicą były drogi, pozarastały, bo się nikt nie ważył na nie...

I gdy dawniej w tej tak spokojnej osadzie wszystko stało otworem, panował dostatek, gromadziły się zapasy, teraz coraz było ciaśniej.

Zato pusta niegdyś Wilcza-Góra, teraz Bakiem zwana, już do dawnej wcale nie była podobną. Staął dwór duży w pośrodku, a że Nikosz chował stadninę liczną, szop dla niej i dla trzody naklecono dokoła. Na podzamczu, po spaleniu go, przekopano rów i spuszczo-

no wodę, a w pośrodku, jakby na złość, pobudowano chaty nowe. Zbóje, co przychodzili tu sami, gwałtem i różnemi sposoby bab sobie napytali. Zwozili je, gdy inaczej nie mogli, kędyś z za świata i takie, których już nikt nie chciał, a że srogo trzymali, więc się to nie rozbiegało.

Drugim dobrowolnie, dla świętego spokoju, sąsiedzi wieśniacy córki i siostry dawali, choć się to na wiele nie zdało, bo dla tego dzicz ta swoich nie poszanowała.

A że zbóje mieli różne sposoby nabywania i nie można było ręczyć, żeby i teraz po gościńcach nie napadali, był u nich wszelkiego mienia dostatek. Ubożało dokoła, ci w pierze porastali. Najlepsze konie, najtłuszciesze bydło, najpiękniejsze szaty na nich widać było.

Nikosz, gdy jechał ze swoim dworem, z najpierwszymi ziemiany mógł się równać szatami, wierzchowcami i zbroją, tylko w oczy im nie trzeba było zaglądać, bo jak on sam, tak jego towarzysze na łbach mieli napisane, z czego urosli i czem byli.

Starał się o to pilno Szary, aby Nikosza wezwano do pułku i na służbę rycerską, boby przynajmniej czasu tego, gdy go doma nie bywało, spokojniejszym mógł być. Lecz Bąk, który do zwady i napaści bardzo był skory, na wojnę się nie śpieszył. Miał sposoby różne wymówienia się od niej.

Gdy się zrazu w okolicy ukazał, a wiedziano o nim od Leliwów, kto był i dawne jego sprawy też nawierzch powychodziły, stronili ludzie od zbójca, nikt z nim na zjazdach na jednej ławie się nie chciał, ani pić i jeść u jego stołu. Ale to nie trwało długo. Zaczął rosnać w pierze, potem co lżejszych ujmować sobie kubkiem, datkiem, końmi, bo tem, co mu łatwo przychodziło, lekko szafował — i powoli nawracali się doń niektórzy. Puszczano mimo uszów, co broił, a garnęli się do wesołego i chętnego człeka. Ośmielił się zrazu jeden pojechać do Bąka w gościnę na Wilczą-Górę, a jał potem

zachwalać, jak go tam przyjęto i obdarzono, pociągnęli próbować drudzy.

Bąk, co sam jak palec był w początku, poczekawszy, miał już przyjaciół i drużynę. A wszyscy ci, co do niego przystali, już przez to Szarym nieprzyjaciółmi musieli być. Wprawdzie nie z najlepszych się to ścigało, a z odpadków, ale to zawsze najgłośniej krzyczy, co najmniej warte.

Ze smutkiem musieli na to patrzeć Leliwowie, Daliwór stary i młody Florjan, lecz się nie skarżyli, bo mieli swą dumę. Leliwa też wkrótce zmarł, synowi po sobie zostawując Lelów.

Na Surdędze nie zmieniło się nic, a było coraz biedniej. W czem tylko pokrzywdzić i uszkodzić mógł Nikosz, nie omieszkiał. A że granice długo zapomniane były i zaniedbane, nikt ich nie pilnował, teraz obronić było trudno. Bąk się gwałtem powrzymał w posiadłość Szarych, tak, że kopce posypał niedaleko zamku na łączce, która jak świat światem do Surdęgi należała. Rozsypano je drugiego dnia, przyszło do krwawej bójki, lecz straż trzeba było trzymać, bo w nocy wpadali zbójce Nikosza z łopatami i co było rozebrane, znowu nasypywali.

Toż samo w lasach na drzewach, gdzie były znaki i krzyże na starych pniach, korę i żywe drzewo pozrabowano, a nowe w pośrodku puszcz powyciosywano i posmolono, aby się jak stare wydawały. Zatem szło, że o połowę ziemi w sporze potrzeba się było rozpierać ciągle.

Nikosz się śmiał i radował, gdy się dowiedział, że w Surdędze nań narzekano, a gdy mu się udało dokuzyć, chwalił się z tem, i gdy Florjana nie było w domu, podjeżdżał z kupą pod wrota same gościńcem, stawał i wykrzykiwał, a szydził, że w ludziach, co słuchali, krew kipiała...

Czasem doń strzelano, lecz niełacno go było dosięgnąć, bo żelaza na sobie miał dosyć, hełm nosił zawarty, bez tarczy małej się nie ruszył, a oręża u boku i siodła

miał nawieszanego, że na dwóchby go stało. Ci, co z nim bywali, także nie lękali się lada postrzału.

Jak ze wszystkim w świecie człowiek obyć się musi i żyć, tak i z tem nieszczęściem oswoili się na zamku wszyscy, oprócz pana Florjana. Temu więcej, niż ta ciągła obawa i czuwanie, dolegał srom, iż jednemu przybłędzie niepocziwemu, który się tu zwlókł nie wiedzieć skąd, ojczycem tutejszym nie będąc, musiał czoło stawić, w zapasy z nim iść i nie móc go pokonać.

Nie mówił on o tem, bo skarżyć się nie lubił, lecz życie mu zatruwała ta troska dla żony, którą, choć dobrej myśli i wesołą widział, żałował, iż w zamknięciu tem, jak w więzieniu, żyć musi.

Myślał więc i przemyślał ciągle, jakby raz pozbyć się człowieka tego i spokój biednej kobiecie powrócić. A modlił się o to jedno, jak o nagrodę do Boga, aby mu dał nad wrogiem zwycięstwo.

Nie obiecywało się ono tak rychło.

IX.

Wiedział Bąk o wszystkich obrotach Szarego. Miał on swych ludzi wszędzie, a gdy inaczej języka dostać nie mógł, żebraka, któremu u siebie chleb i przytułek dawał, niejakiemu Kurpia, wyprawiał do Mojkowic, a czasem i do Surdęgi.

Kurp ten niegdy także z ziemiany polowaniem się po gościńcach zabawiał, potem okulał i zniedołężniał, chadzał więc z torbami za jałmużną, a że gębę miał wyprawną i ludzi gadkami i piosenkami bawić umiał, nieźle mu się działo.

Ten, gdy raz na Wilczą-Górę zaszedł i w czeladnej izbie durzył zebranych próżniaków, którym do smaku przyszedł, bo w nim swojego poznali, nadszedł Bąk. Najulubieńszą jego też zabawą było ze swą czeladzią w dymnej izbie przesiadywać i lada jaką rozpustną rozmową czas zabijać. Kurp mu się podobał, na długie

zimowe wieczory go sobie zamówił, piwa mu nie szczędząc.

Łaził więc tu stary i siedział chętnie, a gdy się lepiej poznali, zaczął go Nikosz tu i owdzie wysyłać, aby się o coś dowiedział. Nie obudzał stary kaleka podejrzenia; znano go oddawna, że się po okolicach wałęsał. I tak uczynił sobie zeń pomocnika.

Włókł się Kurp do Mojkowic, do Wronikowa, a gdy tam nie mógł się dowiedzieć, co mu było potrzeba, szedł do Surdegi, stawał u zamkniętych wrót, śpiewał, piszczał, aż mu je wreszcie otworzono.

Tu też żebraka od ognia w czeladnej izbie nie odpędzano. Dawano mu jeść, słuchano chętnie, co rozповідаł, wypytywano i wygadywano się przed nim niezbyt ostrożnie.

Kurp zawsze mógł się tu dowiedzieć, kiedy i na jak długo wyjeżdżał z Surdegi Florjan i kiedy się go zpowrotem spodziewano.

I teraz też, gdy Hebda wezwał Szarego, a sposobiono się do wyprawy przeciw krzyżakom, Bąk był dobrze uwiadomiony. Wiedział i o tem, że ludzi co najlepszych zabrał z sobą Szary, a był pewien, że z nimi zostanie przy królu i nie zjawi się do Surdegi aż po wojnie, która się zapowiadała długą i krwawą.

Właśnie, gdy Szary do Poznania śpieszył, a potem do króla pod Kraków, Bąk na Wilczej - Górze przemyslał, jakby z niebytności jego korzystać.

Jesiennego wieczora w wielkiej czeladnej izbie u Bąka wszystek jego dwór był zgromadzony. Na ławie w kącie siedział i Kurp, kije swe obok siebie postawiwszy. Twarze i postacie, które z za dymu gdzieś niegdzie się ukazywały, oświecone płomykami skałki, wszystkie były do siebie dobrze dobrane. Zbójce jeden w drugiego, zarosłe, czarne, opalone, z porąbanemi twarzami, niewiele poszanowania okazując swojemu panu i wodzowi, siedzieli i leżeli nawpół, z kubków popijając i niekiedy dzikimi głosy się odzywając, lub wykrzykując.

Bąk srogim bywał dla tych ludzi, gdy szło o posłu-

szeństwo; wiedzieli, że gdy się wściekł z gniewu, niejednemu łeb ściał, ale bywały godziny, w których im z sobą pozwalał poufale przestawać. Wśród nich, gdyby nie dumna postawa i nawyknienie do rozkazywania, które człowieka czyni siebie pewnym, a piętnuje w nim wodza, trudno w nim było rozeznąć pana. Odzież miał prawie taką na dzień powszedni, jak i drudzy, nie odznaczał się od nich niczem. Obyczaj też miał ów leśny starego rzemiosła, mowę taką, jak inni zbóje. Wśród nich czuł się w swoim żywiole.

Stał teraz pośrodku nich, w bok się ująwszy, a towarzysze siedzieli, niektórzy leżeli na ziemi i na ławach, pospieranani na rękę. Kurp piwo pił, kubek trzymając w jednej ręce, w drugiej dużą kromkę chleba, białem czemś zasmarowaną, którą chciwie pożerał.

Bąk ku niemu był zwrócony.

— Gadajże, psia wiaro, coś tam słyszał? — wołał.

— Tom ci wszystko wygadał — odparł Kurp, chleb żując, niewyraźnym głosem, bo gębę miał zatkaną; — mało ich jest na zamku, mniej, niż kiedy bywało, a w potrzebie stara wiedźma, Zurycha, furtkę tylną otworzy. Zaprzysięgła się.

— Gdyby łotrzycy tej pewnym być! — zawołał. — Poco na zamek się rzucać i szturmować? Dośćby się było podkraść, podpełznąć, przez furtę wpaść, Domnę porwać i ogień podłożyć.

— A wprzódę kąty oczyścić! — zaśmiał się z ławy jeden.

— Jest tam się czem pożywić — rzekł drugi. — Zamek stary, a po tych starych zawsze najlepszy łup. Piwnice pełne! Skrzynie nie puste!

Bąk mniej zdawał się myśleć o łupie i nań rachować; o Domnę mu szło i pomstę tylko. Dumał.

— Coć Zurycha mówiła? — zapytał dziada.

— Kłęta się, że otworzy — rzekł Kurp. — Ona wie, że ja ją zgubić mogę, bom tam był, gdzie męża swego struła, patrzałem na to... i przysięg na to mogę.

— Babom wierzyć trudno! — zamruczał Bąk. —

Gdyby Zurycha nie zdradziła, ja mówię, tylko się do furty podkraść.

— A jak się do nich podkraść? — wtrącił inny drab, który stał niedaleko pana. — U nich dzień i noc strażę chodzą, sam stary wstaje razy kilka i wypatruje. Zdalaby dojrzeli.

— Zurycha, kiedy taka mądra i sprawna — rzekł któryś z ławy — jakby to nie mogła ludziom zadać na sen i popoić.

Dziad głową potrząsał:

— Ja na baby bardzo rachować nie myślę — przerwał Bąk. — Naco nam to? Jest nas dosyć, aby na zamek się wdrapać, choćby furty nie otworzyła, wrota wyłamać, podpalić... a i drabiny weźmiemy z sobą. Jeżeli ich teraz nie dostanę, to nigdy!

— Jak zechcecie, to dostaniecie — rozśmiał się jeden ze śmielszych. — Wam Domna, a nam lochy i skrzynie.

Bąk ręką obojętnie rzucił; nie o skrzynie mu chodziło. Kroków kilka postąpił ku jedzącemu ciągle i popijającemu Kurpiowi.

— Gadaj — rzekł zadumany.

Dziad począł nań patrzeć, nie odpowiadając jeszcze.

— Ludzi wielu? — pytał Nikosz.

— Policzyć trudno — bąknął żebrak — kto ich pozna? A snuje się to tam z kąta w kąt ciągle, tylko widziałem, że niebardzo gęsto.

— Co tu lik znaczy? — przerwał z ławy leżący. — Na jednego z tych, co na zamku, nas musi być kilku, bo zawsze lepiej się bronić, niż napadać. Jeśli furty nie otworzą, nam wszystkim trzeba iść do ostatniego, wrota kołkiem podparłszy. Kto żyw! Raz chcecie skończyć, to skończyć!

Zamruczeli inni, popierając to zdanie. Bąk ciągle stał zadumany.

— Z tymi ludźmi ja nie mam szczęścia — począł wpół do siebie; — tyle lat, tyle razy próbuje, jużbym innych ze świata zgładził i zapomniał, tych ani ukąsić. Urok jakiś.

— Urok! pewno, że urok — odezwał się dziad — ale na to sposoby są...

Śmiali się niektórzy pocichu, spoglądając na żebraka, który dumnie usta ściał, poczuwszy szyderstwo.

— W tem urok — odezwał się leżący na ławie — że o babę idzie. Zachciało się koniecznie tej, gdy na świecie ich tyle jest.

Splunął, Bąk się namarszczył.

— Sprawa nie o babę — zawołał głosem podniesionym — ale za krew moją ja zemsty i krwi potrzebuję. Najlepsza pomsta będzie, gdy im ją odbiorę.

Cicho odezwał się jeden z towarzyszków:

— To i dzieci cudze przyjdzie brać! — uśmiechnął się.

Nikosz, czy nie słyszał, czy udał, że nie słyszy, nic nie rzekł na to. Gromada jego pocichu mruczała; spoglądali na swego pana i wodza, uśmiechając się skrycie i pokazując palcami. Kurp dojadł i dopijał.

Dwóch ludzi wyprawił Bąk jeszcze po wioskach do Mojkowic, Wronikowa i Lasek, aby tam przez swoich (bo wszędzie ich mieli) namówić, gdyby w Surdędzie na gwałt uderzono, czy zapalono wiechy, aby niebardzo kto na pomoc przybywał.

Nazajutrz, w noc bezksiężycową, ciemną, było postanowione najście na zamek. Dwór Nikosza cieszył się z tego. Ludzie byli do bójek i napadów nawykli, smakowali w nich, a teraz dawno już nie kosztowali. Przykrzyła się praca jednostajna koło domu. Kurp pozostał na Wilczej - Górze, aby się przypatrzeć wszystkiemu.

Następnego dnia wszyscy się do wieczora wylegali, niewiele mając do czynienia, bo wszystko, co potrzeba, w pogotowiu stało.

Nikosz tylko niespokojny biegał po dworze, po wałach, wyglądał ku Surdędzie, gadał sam do siebie, zaglądał do czeladzi i na chwilę nie spoczął.

Nad wieczór gorączka go zaczęła opanowywać coraz większa; uzbroił się zawczasu, miecz wyostrzył, zbroiczkę przypiął i tak niecierpliwie czekał ciemności, jak drudzy dnia wyczekują. Na dany przez niego znak

ludzie, zebrani do gromady, podzieliwszy się na dwie kupy, z których jedna do wrót głównych miała przypuścić szturm, druga u furty czekać na obietnicę Zurychy, ruszyli drużyną ku Surdędze, z przykazaniem, milczenia i nie szczekania bronią.

Choć mu pilno było bardzo, Nikosz zatrzymał ich, dopóki światło na zamku widać było.

Jednego ze swoich z częścią ludzi na gościniec wysławszy, aby około wrót wielkich gwałt uczynili, toporami je rąbiąc i usiłując ognia podłożyć, sam Nikosz poszedł z resztą oddziału do furty, spodziewając się, że mu ją otworzą.

Udało się wśród nocy zręcznym napastnikom przemknąć tak pod wrota, iż ich straż nie postrzegła i nie posłyszała, aż toporami poczęli łamać bramę... i ognie rozpalać.

Jak piorun to spadło na małą załogę Surdegi, która się cała ku wrotom zbiegać zaczęła, krzycząc i nawołując.

Nim się tam ludzie namyślili, co czynić i Dalibór, posłyszawszy wrzask i łomot, kożuch wdziawszy, wybiegł, już napastnicy wrota potrzaskali od dołu, ale kute były sztabami żelaznemi, więc się trzymały, a za niemi stały drugie, o których nie wiedzieli.

W zamku zawrzało.

Domna wstała przerażona od kolebki dziecka, załamawszy ręce; przytomność opuściła ją na chwilę. Sądziła, że zbóje się już na zamek wdarli. Lecz natychmiast prawie odzyskała przytomność, dziecko oddała niańce, a sama pochwyciwszy mieczyk, za starym ojcem pogoniła.

Około wrót już się bronić zaczęto i zrzucać kamienie i koła zębate na oblegających.

Dalibór rozkazywał z zimną krwią człowieka, który wiele już przeżył i niełatwo się daje ustraszyć.

W czeladnej izbie ogień był jeszcze; tu siedziała Zurycha, blada i drżąca. Domna, wpadłszy do niej, nakazała wodę nastawiać i garnki ze smołą ludziom nosić na wyżki. Przelekła baba, sama nie wiedząc, co

czyni, była posłuszną i z niezmierną gorliwością poczęła dziewczkom rozkazywać.

Czeladź cała poszła na posługi załogi nielicznej, kto z czem mógł i miał.

Od wielkich wrót udało się na chwilę napaść odegnać, ale wnet ludzie Nikosza drabiny nieco dalej do ostrokołów przystawiać zaczęli, patrząc, gdzie obrońców nie widać było.

Tymczasem Bąk u furty stał i czekał, nie chcąc z tej strony nic rozpoczynać, a rachując na zdradę. Zurycha zaś, na oku trzymana, ze strachu, by się nie wydało, co zamierzała, służyła i kręciła się, ani mogąc, ni chcąc do furty się dostać.

Nikosz, czekając tu dosyć długo, słuchając wrzawy, która go dochodziła, a nie wiedząc, co się działo z drugiej strony, kilka razy na znak napróżno uderzywszy do furty, klnąc, poleciał dokoła do wałów, do swoich, aby się przekonać naocznie, jak się im wiodło.

Zaczął tracić wiarę w obiecaną zdradę baby.

Zamkowi na znak niebezpieczeństwa mieli zawsze gotowe wiechy do zapalenia, któremi do wiosek znać dawano, gdy pomocy od ludzi potrzeba było. Paliły się już te ognie, a chłopcy bili w deski drągami na gwałt.

Gdy Nikosz dopadł do wielkich wrót, kilku swoich znalazł płonąca smołą pooblewanych i rannych od kamieni. Strzały z za ostrokołów świstały

Pierwsze wrota były napół zrąbane, ale za niemi widać było drugie takie; przez mały wyłom nikt się nie śmiał cisnąć, bo pomiędzy dwojgiem bram najniebezpieczniej było stać.

Krzyknął na swoich Nikosz, aby ich zagrzać i widząc, że sam tu niewiele robi, nazad do furty zawrócił, gdzie część ludzi zostawił.

Z tamtej strony cicho było, a że obiecana furta się nie otwierała, Bąk, zniecierpliwiony, drabiny na ostrokoł zarzucić kazał i sam na pierwszą drapać się począł.

Właśnie, gdy już głową sięgał nad parkan, tknięty jakimś niepokojem, aby się dokoła obejrzeć, stary Dali-

nierówną była walka i wnet za załomem ostrokołu zniknął, zostawując swoich, aby się ratowali, jak mogli.

Trupów kilku położyli Florjanowi, dwu czy trzech rannych związano, Dalibór palące się wrota kazał odeprzeć i załoga wybiegła panu młodemu pomagać.

Oczyszczono zaraz wjazd... i cała ta straszna burza pierzchnęła, kryjąc się gdzieś w ciemnościach nocy.

Gdy Szary, z konia zsiadłszy, przez żuźle płonące wchodził na zamek, ujrzał naprzeciw siebie stojącą Domnę z młodszym dzieckiem na ręku i mieczykiem u pasa. Błada była, jak anioł śmierci, uśmiechnęła się temu cudowi, który ją dłonią niespodziewaną męża ocalił, ręką jedną objęła szyję jego i padła.

Kobiety nadbiegające wzięły ją na ręce i poniosły do domu. Florjan szedł za nią. Starego ojca pocałował w rękę milczący, starsze dziecko podniósł i zabrał z sobą.

Obawiać się już nie było czego, lecz szkody wyrządzone musieli ludzie natychmiast naprawiać, bo od zbója nigdy bezpieczeństwa nie mieli, a Bąk, choć ranny, uszedł na swą górkę.

Od powiązanych jeńców, których do lochów, skrupowawszy, rzucono, dowiedzieli się oblężeni wszystkiego, bo ci, życie swe wypraszając, pana nie szczędzili, przeklinali go i prawili, jak się długo do tej napaści przysposabiał.

Jeden z nich, zagrożony, wyśpiewał nawet o Kurpiu i obietnicy Zurychy, którą zaraz ująć chciano, lecz wśród tego zamętu baba, domyślając się, co ją czekać może, znikła.

Smutny i radosny razem był ten przyjazd Szarego do domu. Przyprowadziła go Opatrzność na samą godzinę niebezpieczeństwa.

Gdy Domna po omdleniu oczy otworzyła i ujrzała go przed sobą, podniosła się, tuląc do swojego obrońcy. Zdawał się jej cudownie zesłanym z nieba.

Florjan naprzemiany ścisnął ją i cisnące się do sie-

bie dzieci, które, jak dzieci, z łez przyszyły do radości wielkiej, strachu chwilowego zapomniawszy.

Wszedł i stary Dalibór zasepiony, zmęczony, ledwie się mogący utrzymać na nogach. Nie mówili do siebie, patrzali tylko i Bogu dziękowali.

Florjan, posępny, myślał już, jak potrafi zabezpieczyć pokój rodzinie, gdy sam za dni kilka napowrót wyruszyć będzie zmuszony.

Napaść dnia tego najlepiej dowodziła, jak zuchwałym był ten sąsiad a wróg, który czyhał na chwilę, aby się mógł pomścić. Załoga była za mała. Starzec jeden nie mógł wydołać obronie.

Znał już Szary swojego przeciwnika, że z życiem uszedłszy, kajać się nie będzie, ustraszyć nie da i tem gorętszą zemstą zapali. Rachować na to, że był odpezdzony sromotnie i ranny, nie mógł Florjan.

Zostałby był doma dla obrony, ale przyrzekł się wojewodzie; część swoich ludzi w obozie zostawił, powracać więc musiał i to rychło.

Teraz dopiero, gdy już napastników nie było, ludzie z wiosek nadciągając zaczęli i wrzawa powstała u wrót, bo włodarz i starszyzna winili ich o umyślne opóźnienie. Składali się osadnicy tem, że znaków ognistych nie byli pewni, że noc ciemna i złe drogi pośpieszyć nie dozwoliły.

Dla postrachu musiano sołtysów pobrać do lochu. Z gromad wybrano parobków do pomnożenia załogi i Dalibór sam wyszedł, ały ład jakiś uczynić.

Nagwałt potrzeba było wrota i ostrokoły naprawiać, więc ludzi z siekierami wzięto zaraz z gromady, belki i kłody ściagać i ciosać zaczęto.

Tymczasem Florjan wyprawił do Lelowa posłańca do szwagra Leliwy, aby na naradę i posiłek przybywał.

Wszedł ranek po tej nocy strasznej mglisty i pochmurny, a tu na chwilę spocząć nie mógł nikt. Oprawiać wrota i opatrzyć zamek było pierwszą potrzebą, którą Szary przed wyjazdem musiał mieć załatwioną.

Gromady też, winę swą czując, starały się ją podwojoną gorliwością zmasać.

Z kupy napastników straciwszy zabitych, rannych i ujętych do dziesiątka ludzi, Nikosz, poraniony, potłuczony, nocą jeszcze doszedł do swej Górki i obawiając się odwetu, wrota pozapierał, ludziom nakazawszy stać u wałów.

Wściekłości jego padło ofiarą, co w domu na progu mu się nastreczyło; bił własnych i mordował, potem rzucił się, krwią brocząc i nie myśląc o ranach, jęcząc i przeklinając, na łożo.

Kurp we wrotach stał, gdy ludzie uciekający nadbiegli, wysunął się niepostrzeżony i schował, obawiając zemsty.

Zbiegłą Zurychę, gdy się nad ranem zjawiała u wrót, Nikosz, wypadłszy z izby, kazał obwiesić. Ludzie jej nie śmiejąc tknąć, bo się czarownicy obawiali, dali zbiec.

Cały dzień następny nikt do Bąka przystąpić i słowa od niego dopytać się nie mógł; rozganiał i bił ludzi, pieniąc się z bezsilnej złości. Wieczorem zgłodniały pić zaczął i legł, kamiennym snem ujęty.

Gdy się zbudził drugiego dnia, innym już był, jakby się wytrzeźwił. Poszedł liczyć swych ludzi, o tych, których nie stało, pytał, na wał wlaższy, popatrzał ku Surdędze, zamruczał coś sam do siebie, rany zaschłe poobmywał, odział się, uzbroił, konia kazał dać i u wrót postawiwszy straż, odjechał precz, nie mówiąc ani dokąd, ani na jak długo.

Z Lelowa szwagier tegoż dnia do Florjana nadbiegł w kilka koni, wioząc z sobą dwu powinowatych z sąsiedztwa, których poselstwo zastało u niego.

Wyszedł naprzeciw nim Florjan, z czołem nasepionem, zamiast powitania ukazując im wrota, węgle u nich i trzaski z wyłamanej pierwszej bramy.

— Gdyby mnie cud jakiś tu nie sprowadził — rzekł — jużbym żony ni dzieci, ni ojca, ni mienia nie oglądał, tylko kupę popiołu. Dobry sąsiad!

— Bracie miły! — zwrócił się do Leliwy — wy o siostrze i o jej bezpieczeństwie radźcie. Za dzień lub dwa ja do króla muszę jechać, a Bóg jeden wie, kiedy powrócę i czy żyw przybędę, bo się wojna sroga gotuje. Jakoście mi bratem — pomóżcie i radźcie. Z tym człowiekiem, dopóki on żyw, końca nie będzie.

Leliwa spoglądał wkoło, nie odpowiadając, gdy jeden z ziemian, którego Pokrzywką zwali, odezwał się:

— Co tu radzić? Jak na wilka, trzeba polować na tego człeka i ubić go... jedna rada.

Drugi potwierdził to.

— Tak — rzekł Leliwa — gdyby go ująć można, nie żałowałbym dębu, a obwiesiłbym zbója... ale niełatwa z nim sprawa. Siadł tu nam wrzodem między nami... chyba wszyscy się nań zbierzemy i pójdziemy obławą.

— Czyńcie z nim i ze mną — odezwał się Florjan — co wola i łaska; ja to jedno wiem, że na posługę królewską idę, a ojca, żonę i dzieci wam oddaję.

Spojrzeli po sobie i pokrzywka rzekł:

— Póki co będzie, musimy my na Surdędzie koleją straż sprawiać.

— Dobrze i tak — odparł Leliwa — ja ludzi przyśle.

— Ja też — dodał trzeci.

— Godziłoby się też — rzekł, wchodząc w podwórze, Pokrzywka — zajrzeć do niego na Górkę i popróbować, azali się lisa z jamy nie wykurzy.

— Lisa w jamie już niema — przerwał Florjan — ludzie nasi widzieli go pono uchodzącego. Ma on zdawna swoich druhów rabusiów, jako sam; pewnie po nich, lub do nich umknął.

— A nie widzi mi się — dodał Leliwa — aby rychło drugi raz na Surdęgę się ważył, kiedy się wam go odprawić dobrze udało.

Nadszedł stary Dalibór.

— Gdyby nie Opatrzność — rzekł, ręce podnosząc do góry — nie obroniłbym się, choć czeladź dobrze się związała. Gromady nie nadciągnęły, a baba Zurycha,

namówiona podobno, obiecała im otworzyć tylną furkę. Oskarżono ją o to, a najmocniej świadczy o winie, iż uciekła.

Przybyli stali zdumieni.

— Wojna! — zawołał Pokrzywka.

— Nie dałbym się jej — wtrącił Szary — a zmógłbym biesa złego, gdybym doma mógł siedzieć; ale mnie na inną wojnę wołają — i muszę. Wyprosiłem się na dzień, dwa wojewodzie, jakby mnie co tknęło.

Z przybyciem sąsiadów otucha wstąpiła w serca. Dalibór się czuł bezpiecznym. Florjan umawiał brata żony i gości swych, aby najdroższego skarbu jego strzegli.

Leliwa siostrę do siebie dla ubezpieczenia zabrać chciał, ale sama Domna oparła się temu, nie chcąc rzucić starego ojca, który swego gniazda opuścić i zdać na cudze ręce nie mógł.

— Tu głowę położę — mruczał — ale przed tym zbójem uchodzić, niedoczekanie jego! Srom dla moich siwych włosów, a od sromu lepsza — śmierć!

Zakrzyczano go, że wszyscy z nim Surdęgi bronić będą. Poszli tedy zaraz dokoła opatrywać zameczek, ku czemu Pokrzywka się zdał i wielkie miał serce.

— Na wojnę nie zdążam, bo jedna ręka martwa mi wisi, to choć tu posłużę.

Tak dzień zszedł, a Florjan, na ojca zdając gości, więcej żony i dzieci pilnował, po których miał tęsknić długo.

Domna już odzyskała całe swe męstwo, uśmiech i wielkie serce.

— Jedź spokojny — mówiła; — my, żołnierskie żony, nawykłe być do tego powinneśmy, że się z królem, ba, i z wrogiem mężami dzielić musimy. Toć doła nasza... a jam wiedziała, kto mnie brał i komu przysięgała!

Jedź spokojny — powtarzała. — Pan Bóg nas uratował cudem, nie odmówi i dalej opieki swej. Ludzi mamy mężnych, a ja i ojciec nie zaśpinny. Cóż do-

piero, gdy przyjaciół w pomoc dostaniesz, a za opiekuna brata!

— Tak, ty mi serca dodajesz — rzekł Florjan — bo co powinność rycerska, to powinność, ano — jak mnie tak was tu zostawić z tym złoczyńcą pod bokiem?

Domna uderzyła go po ramieniu.

— Wszystko złe przeszło — rzekła — ja to czuję w duszy mej. Dawniej obawiałam się tego człowieka; jawił mi się we snach często, żem z krzykiem do kolebki przypadała, broniąc Staszka. Dziś coś mi powiada, iż nie potrafi nic przeciwko nam. Jedź, mój mój, a powracaj z łupem, i, co lepsza, z imieniem dobrem. Zastaniesz nas w progu nie jak teraz, zapłakanych i strwożonych, ale witających zwycięzcę i szczęśliwych!

— Amen — dodał Szary — i oby się to sprawdziło!

— Bóg łaskaw! — szepnęła kobieta.

Jeszcze dzień jeden pozostał Szary w domu, a miał tę pociechę, że mu cieśle do wieczora wrota nowe powstawiali, oczyścili wjazd i ostrokoły poumocowywali.

Trzeba się było rozstać z Domną. Mężna ta niewiasta wyszła z dziecięciem na rękę na próg i przeżegnała go krzyżem świętym. Szary ciągnął do króla — powinność wołała.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXVII

J. I. KRASZEWSKI

JELITA

LEGENDA HERBOWA Z ROKU 1331

CZEŚĆ II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Przed ołtarzem, niedawno wzniesionym w kościele zamkowym na Wawelu, odprawiała się msza święta. Ołtarz to był kosztem króla poświęcony patronowi jego, Władysławowi świętemu, i przed nim teraz król i królowa Jadwiga modlili się, bo tego dnia Łoktek miał przeciw krzyżakom wyruszyć w pole. Oddziały jedne już przodem wyszły z obozowisk, drugie się gotowały ciągnąć.

Dzień był jesienny, niebo ołowianą zasłoną obciążnięte całe, powietrze ciche, natura jakby usypiająca i znużona... Na wielu drzewach liść już był pożółkły, z innych opadać zaczynał. Dymy z kominów miejskich wlokły się nisko i rozkładały ponad ziemią.

Są takie dni, jak ten był, gdy wszyscy czują, jakby im czegoś do życia brakło, jakby odpadała ochota; nie obiecywało nic jutro, a groziło czemś nieznanem i strasznem.

Taki ciężar i teraz leżał na duszach tych ludzi, którzy króla otaczali. On sam, zwykle wesół i oho-czy, gdy się na wojnę wybierał, nieustraszony niebezpieczeństwem żadnem, zasepiony był, milczący i chmurny...

W ciągu kilku dni ostatnich nadchodziły coraz bardziej niepokojące wieści od Wielkopolski i granicy krzyżackiej. Potwierdzała się knowana zdrada wojewody Wincza z Pomorzan i znoszenie się jego z krzyżakami.

Mniej się tego może lękał król dla siebie i dla kraju, jak dla syna. Kazimierz miał przy sobie męża statecznego, Nekandę, lecz młody był, nieopatrzny i choć mu na męstwie nie zbywało, w rzemiośle rycerskiem mniej wprawny, niż inni jego rówieśnicy książęcego rodu bywać zwykli. Dziecię tego ojca, który przez pół wieku nie spoczął nigdy, z orężem ciągle i na koniu dobijając się i broniąc korony swej — Kazimierz tą sprzecznością, która jest tajemnicą, a powtarza się często w następstwie pokoleń po sobie, nie miłował tak wojny jak ojciec, obojętnym był dla spraw rycerskich i wołał życie w pokoju i pracy gospodarskiej a rządnej.

Obawiał się Łoktek, aby w chwili niebezpieczeństwa sama nieznajomość jego zuchwałym go nie uczyniła. Ku Poznaniowi teraz zwracali tęskne oczy król i królowa, radzi się co o synie dowiedzieć. W nim oni żyli oboje.

Posłowie, którzy przynosili różne wieści, o królewiczu mało wiedzieli. Mówiono, że miał wyciągnąć, dokąd, nie powiadano, bo dla bezpieczeństwa taić musiano schronienie jego.

Król dnia tego sam z wojskiem wyruszyć miał.

Wiedzano już, że Jan, król czeski, który się razem i polskim nazywał, miał z krzyżakami razem uderzyć na Polskę. Zakon czekał na niego; z nad Renu, z Inflant nadeszły już posiłki do Malborka i Torunia. Czechy się ociągały.

Uwiadomiony o tem król chciał skorzystać z opóźnienia i na krzyżaków uderzyć, nimby się z Czechami połączyli.

Pobożna królowa Jadwiga przed odjazdem pociągnęła małżonka przed ołtarz patrona.

Cały wojenny dwór pański, który razem z nim się wybierał w pole, zajmował szczupły naówczas kościół i kaplicę.

Modlili się oboje królestwo na tem właśnie miejscu, gdzie wedle woli swej wkrótce może spoczywać mieli. Ołtarz św. Władysława grób wyprzedzał...

Łoktek, który dawniej przed swą podróżą do Rzy

mu mało pobożnym był, a duchownych lekceważył, w ostatnich czasach odmienił się bardzo. Za przykładem żony swęj, która się zwała szczęśliwą, gdy na święto jakie do klasztoru zakonnic zjechać mogła do Sącza i z niemi się modlić, do stołu zasiadać, noc spędzać napół w chórze, wpół na twardej pościeli, Łoktek stał się pobożnym także.

Rzym, a teraz Awinjon popierał go we wszystkim i to właśnie drażniło zakon krzyżacki, że staraniem Łoktka objaśniony papież surowo gromił rabusiów... *conantes exterminare idioma polonicum* (usiłujących wypłenić mowę i plemię polskie), jak się wyrażali współcześni annaliści.

Król napół klęczał, pół siedział obok królowej, szaro ubranej, z zasłoną białą na głowie, modlącej się gorąco, z podniesionemi do góry oczyma załzawionemi. Poorana, opalona twarz jego smutną była, oczy błędziły po kaplicy, po przytomnych, a myśl gdzieś daleko po świecie... Na mieczu się opierał, zbroję już miał na sobie, a hełm, z głowy zdjęty, trzymało pacholę, stojące przy nim.

Mszę celebrował biskup Jangrot (Jan Grot), poważny w sile wieku człowiek, któregooby za wielkiego dostojnika w kościele nikt nie wziął, gdyby nie oznaki biskupiej godności.

Dziwny traf posadził go na tej stolicy, której on nie pożytał, ani się spodziewał. W młodych latach, gdy Jan w Bononji na naukach przebywał, znaleźli się tam razem z synaczkiem ubogiego szewca z Cahors, Jakóbem Eudem i razem z nim czerpali mądrość z jednego źródła, a miłowali się z sobą. Stracili się potem z oczów i Jan Grot spokojnie siedział na probostwie w Polsce, nie dobijając się dostojenstw, a kościół swój opatrując, gdy wysłani do Awinjonu po osieroceniu katedry krakowskiej posłowie (bo Nankiera wzięto do Wrocławia) zalecający Ottona, proboszcza gnieźnieńskiego, spytani zostali przez papieża Jana XXII, czyby jakiego Grota nie znali? Co się tam z nim działo i jak mu się

wiodło? Syn ubogiego szewca zasiadł teraz na stolicy Piotrowej i przypomniał sobie przyjaciela młodości.

Posłowie nie wiedzieli nic o Grocie, lecz papież chciał go mieć na biskupstwie krakowskiem i sam z siebie mianował. Ubogi proboszcz musiał tedy nagle, przeciw woli króla Łoktka, przyjąć ciężar biskupiego dostojenstwa.

Król mu był zrazu niechętny i przeciwny, lecz się pojednali wprędce. Biskup był człowiekiem spokojnym, cichym, zajęтым tylko nauką i kościołem. Pobożność jego i świątobliwość, prostota obyczajów zjednały mu króla i królową. Nie były to już czasy owe, gdy biskupi krakowscy napół z książęty zarządzili krajem; Łoktek nikomu z sobą nie dawał w państwie gospodarzyć, jednakże Jangrota wzywał do rady i mało co bez niego poczyniał...

Biskup był powierzchowności tak skromnej, jak ducha, lecz znać w nim było mężnego pracownika tej winnicy, której człowiek całym oddać się musi, chce-li jej służyć...

I na jego twarzy w tej chwili ofiary wielkiej widać było uroczyste przejęcie się modlitwą za króla i za kraj. W ręku starca tego znużonego były przyszłe jego losy. Jeśliby Władysław nie podolał królestwo, zaledwie zlepięone, znowu rozpaść się miało i pójść na pastwę obcym...

Dwu królów spierało się o koronę, z których jeden piastował ją, aby pomnażać, drugi wvdzierał, aby rozzerwać. Jan czeski, gdyby ją osiągnął, zawczasu się nią dzielił z krzyżakami.

Modlitwa więc za pomyślność oręża Łoktkowego była modłami za odrodzoną Polskę, zagrożoną śmiercią nową.

Wszyscy uczuli uroczystość tej chwili, poprzedzającej walkę; na sercach wszystkich brzemieniem już leżała wiadomość o zdradzie wojewody...

Biskup się modlił gorąco.

Msza właśnie dokończyć się miała błogosławieństwem, gdy od progu zaszeleściło coś, zamruczało;

Ludzie się zaczęli rozstępować, głowy zwracać, królowa przełknięta drgnęła i wpośród rozstępującego się rycerstwa, jak zwiastunka wesela, jakby anioł, prorokujący dni jasne, ukazała się młodziuchna Hanna...

Wyprawiono ją dla bezpieczeństwa z Poznania; przybywała właśnie niespodzianie, z tą swą wesołością płaszcą, która jej nie opuszczała nigdy, z uśmiechem różowym, z wejrzeniem promienistym... Gdy to jasne oblicze zjawilo się wśród posępnego rycerstwa i poważnego orszaku mężów, z niem razem powiało nadzieją; przyszła świećć jakaś na te smutne mroki, twarze posępne uśmiechać się zaczęły.

Szła tak śliczna pani aż do progu kaplicy, z oczyma śmiało w ołtarz wlepionemi, i tu poklekała z dzieciinną pobożnością świeżo nawróconej poganek, nawykłej tulić się do swych domowych bogów.

Król i królowa z rozrzewnieniem patrzyli na nią, tak była swobodną i pełną nadziei, czy nieświadomości. Cała jej postać tchnęła młodością; szaty się do niej składały; płaszcz ze szkarlatu suknia, bogato w kwieciste szyta wzory. Piękny włos trzymała siatka złocista, a biała zasłona głowy, która innym mniazego coś dawała, ją ubierała wdzięcznie, łamiąc się w fałdy tysiacyjne.

Patrzano na nią, lecz wkrótce oczy od tego obrazka odwróciły się z ciekawością rozbudzoną żywo, spoglądając na poważną, z oczyma od łez zaczerwienionemi niewiastę w płaszczu jedwabnym i czapeczce na głowie. Szła tuż za królewiczową sama jedna, gdy reazta dworu trochę się dalej zatrzymała.

Ludzie, zobaczywszy ją, szeptać coś sobie zaczęli. Smutno wyglądała, jak ofiara, jak cierpiąca okrutnie, a usiłująca boleść stłumić w sobie. Matrona była, której przysłało wślad iść za królewiczową i która w prawie się czuła przy niej miejsce zajmować.

Na twarzy Łoktka malowało się zziwienie i jakby odcień jakiejś radości, za którą wejrzeniem zaraz podziękował Bogu...

Biskup stał, błogosławiąc powoli podniesioną ręką,

tak, aby promienie tego krzyża sięgnęły najdalszych pobożnych... Spojrzał na klęczącą Hannę i ręka jego peruszyła się jakby umyślnie jeszcze dla tej spóźnionej.

Chór księży z Marcinem Kantorem na czele zanucił pieśń błagalną, i poklękli wszyscy. Rycerstwo jej wtórowało.

Wielu z żołnierzy dnia tego przysiępowało do komunji, bo kto na wojnę szedł, zbroił się w kościele. Na pobojowisku kapłani znaleźli się nie zawsze

Naostatek rycerstwo zaczęło wypływać z kościoła; wstała królowa, idąc uściskać synową, podniósł się król i razem wszyscy zmierzili ku dworowi pańskiemu przejściem krytem.

Poważna niewiasta, idąca za Hanną, strzymała się chwilę, jakby nie wiedziała, czy ma się pozostać, czy razem z nimi iść dalej, gdy król po wyjściu z kościoła zwrócił się do niej.

— Jużciż oczy mnie nie mylą! — odezwał się. — Wy tu, pani Halko! Wy tu? wy?

Królowi głos drżał; niewiasta spuściła oczy, wybuchnęły z nich łzy, zakryła je chustą i żywo poczęła, odkrywając je, a zmuszając się do odpowiedzi królowi:

— A! ja tu jestem! Ja, miłościwy panie, a moja bytność mówi o nieszczęściu mojem!

Zalała rękę. Łzy powtórnie zalały jej oczy i odebrały mowę.

Król stał, dając się wyprzedzić żonie i synowej, która śmiała się, szczebiotała, podskakiwała, a uroczysta owa chwila nie mogła żywej krwi pohamować. Zdala słyhać było głos srebrzysty i śmiech, do piosenki podobny...

O kilka kroków od tego wesela dziecinnego stała smutna i płacząca matrona, przybyła z królewiczową, i król, któremu jeszcze przytomność jej tutaj była niewytłumaczoną.

— Rozumiem przybycie wasze — począł Łoktek, napróżno oczekujący, aby płaczu się jej przebrało. — Przybywacie oczyścić męża z niecnej potwarzy!

Spojrzał na nią, ale ona z okrzykiem boleści twarz

zanurzyła w chustkach i zdawała się nieszczęśliwszą jeszcze po królewskim słowie.

Czekał Łoktek, aby łyzy otarła. Wzmagający się płacz nauczył go, że przypuszczenie, z którym się odezwał, fałszywem być musiało. Cóż więc mogła tu robić na dworze jego żona wojewody Wincza, którego obwiniano o zdradę?

Wpadł król na myśl, iż ją chyba jako zakładnika siłą porwano i tu przywieziono.

— Czy wam zadano gwałt — rzekł, — zmuszając jechać do Krakowa?

Halka podniosła oczy splakane.

— Nie! — odezwała się głosem mocnym, jakby tem przypuszczeniem dotknięta, — nie, miłościwy panie! Przybyłam tu, bo tam nie chciałam być świadkiem, ani współniczką tego, co się dzieje, co się dzieć będzie!

Miłościwy panie! — dodała żywo, chwytając króla za rękę, — jeszcze czas może, jeszcze się to nie spełniło. Ślijcie do niego słusznych, poważnych ludzi, niech doń przemówią słowem twem, on się opamiętać może... Rozżalony jest... a! tak! zabolało go to, że gdzie długo panem był, sługą mu być kazano! Zawsze niepohamowanym był, gorącym, namiętym! Jam żyła z nim, znam go... On w duszy złym nie jest, sam się zagryzie tem. Siebie ratujcie! Jego ratujcie, miłościwy panie, i ród nasz, aby się nie skaził zdradą! Ślijcie do niego... nie poszedł może jeszcze... Jam uciekła z domu, próżno go błagając, i przybyłam tu umyślnie paść do kolan waszych, abyście go ratowali.

Halka złożyła ręce.

— Jeszcze czas! — poczęła wołać, łkając — czas jeszcze...

Łoktek stał poruszony!

— Chodźcie za mną — rzekł powoli, — tu nadto ludzi nas słucha i otacza, pomówimy...

Szli ku dworowi, król przodem, niewiasty wiodąc za sobą. Łoktek wprowadził ją do izby posłuchalnej, w której nikogo nie było.

Żona wojewody padła mu do nóg, obejmując je.

— Miłościwy królu — zaczęła na nowo, — on sam płakać i żałować będzie występku swego, jeżeli go popelni. Jedno dobre wyrzeczone słowo odwrócić może ode mnie hańbę, od was nieszczęście...

— Idę sam z wojskiem w tę stronę — odezwał się król, — naprzeciw krzyżakom, a może i swoim własnym. Nie czas słać, spotkamy się w obozie, jeśli się upamięta, lub na pobojoisku!

— Ciągniecie tam, — przerwała Halka, powstając — tam? Pozwólcie mi za obozem waszym iść. Ja pójdę do niego z posłami waszymi.

Król ręką dał znak przyzwolenia.

— Jedźcie! — rzekł. — Pewnie, że się mnie i temu nieszczęśliwemu przydać możecie... lecz spocznijcie wprzód, ja już w pole muszę.

— Ja nie potrzebuję spoczynku i nie znajdę go nigdzie, dopóki strach ten sromotny gonić za mną będzie...

— Aż do tej chwili — odezwał się Łoktek smutnie, — wierzyć nie chciałem. Codzień przychodziły wieści, odpędzałem je. Wy dopiero przynosicie mi pewność tego nieszczęścia.

To mówiąc, skinął ręką i oddalił się. Czekano na niego.

W podwórcu konie rżały. Ciężko zbrojni z pomocą czeladzi wspinali się na konie. Szczękały oręże, rozlegały się wołania, zbierali się znajomi i do jednych należący pułków, by jechać razem. Dwór królewski doładowywał szybko wozy.

Dalej ku wrotom widać było przybyłe do czeladzi i rycerstwa wychodzącego na pożegnanie niewiasty z miasta, z węzłkami, dzbanuszkami, podarkami na drogę, ocierające łzy. Szlochanie ich ciche mieszało się razem ze śmiechami młodszych, ze skomleniem psów i dawnymi hasłami.

Niektórzy zawczasu wyjeżdżali w miasto, jeszcze po drodze zapewne chcąc wstąpić do browaru i napić się piwa.

W komnacie królowej, zarumieniona podróżą, ra-

da że ją dokończyła, siadała, kręciła się, podskakiwała wesóło zawsze Aldona.

Król patrzył na nią i lice mu się rozpogadzało.

— Gdzież Kazimierz? — pytał. — Ja nic nie wiem. Niepokój mam o niego śmiertelny.

— Kazimierz — głosem śpiewnym i przeciągającym poczęła Aldona. — O! o niego możecie być bezpieczni! Ma przy sobie Nekandę, a to bardzo stateczny, rozumny i mężny człowiek. No — i Kazimierz też mężny jest, boć synem twoim! A gdyby rycerzem nie był, jabym go miłować nie mogła.

— Prawda — dodała, — mówią na niego, że wojny nie lubi! Ale któżby ją lubił, kiedy tyle krwi wylewał! A dlatego, gdy bić się potrzeba!...

Podniosła rączkę białą, ale silną, do góry, jakgdyby miecz w niej miała i rozśmiała się sama z siebie, a potem, jak dziecko, twarzyczkę zakryła.

I oboje starzy, choć ochoty nie mieli do wesela, rozśmiać się z nią musieli.

— Dokądże Trepka Kazimierza poprowadził? — rzekł król.

— A! to wielka, wielka tajemnica, której mnie nawet powiedzieć nie chcieli!

Uśmiechnęła się.

— Kto wie? Oni może sami nie byli pewni, dokąd pójda, ale Kazimierz ma ludzi wybranych, doskonałych i tak zbrojnych, jak krzyżacy... w żelazie od stóp do głów. Oho!... Ci się nikomu nie dadzą. Na zamku w Poznaniu — szczebiotała ciągle, patrząc bystre oczyma na króla i królową — jabym się była chętnie została, choć sama. Nawykłam już do okolicy... w lesie tam przypominała mi się Litwa i nasze puszcze; tu koło Krakowa takich drzew niema. No cóż! nie pozwolili mi siedzieć w Poznaniu! Trepka mówił ciągle, że tam pod każdym kamieniem zdrada siedzi. Ja jej tam nie widziałam. Kto ich wie? Mnie się ludzie uśmiechali.

Ruszyła lekko ramionami.

— Tu bezpieczniej — odparł król.

— Tak! tak — smutnie przebaknęła królowa Ja-

dwiga, spoglądając na synową — będziemy razem się modlić.

Wielkimi oczyma popatrzała Aldona na matkę i nie odpowiedziała nic. Ta nieustanna modlitwa, do której poganka nie była przywykłą, dziwiła ją i była dla niej niepojętą. Jej śpiew wesoly stał za modlitwę, a wesolość za służbę bożą. Zdawało się biednej, że Bóg na to młodość dał, aby się ona jemu i światu, jak kwiatek, wdzięcznie uśmiechała. Posłuszną była matce mężowskiej i duchownym, lecz nie rozumiała modłów i one czyniły ją smutną, gdy tak potrzebowała być wesolą.

Jadwiga badała ją oczyma. Był moment milczenia.

Wrzawa, dochodząca z podwórców, przypominała królowi że wyruszyć musiał. Wtem na myśl mu przyszła żona wojewody i zapytał synowej:

— Jakżeś i gdzie dostała tę towarzyszkę?

— A żonę tego niepocziwego zdrajcy — odezwiała się Aldona. — Napędziła mnie na drodze, prosząc, błagając, abym ją zabrała z sobą. Cóż miałam czynić? A taka przez całą podróż smutna, że mi zaśpiewać nie dawała. Ja tak śpiewać lubię, jam tak do pieśni nawykła, lecz ile razy spojrzałam na jej twarz chmurną, na zapłakane oczy, piosnka mi w ustach zastęgała. Biedna kobieta, oczy wypłaczę. Porzuciła męża, a mówi, że go kocha i że go chce ocalić. Jak go ocalić? — dodała, krzywiąc się — kiedy wszyscy mówią, że poszedł do tych zbójców, krzyżaków! Kto się ich dotknie... ten się już nie oczyści nigdy. O! krzyżacy!

Zrobiła rycerską minkę, ale że śmiech u niej kończył wszystko, sama rozśmiała się z siebie.

Król stał, słuchał, patrzył, bawił go szczebiot ten młody, i choć konie rżały, odejść mu się nie chciało.

Królowa tymczasem z opóźnienia korzystając, niosła na jedwabnym sznurku zaszyte relikwie, które mężowi na wyprawę dać chciała. Gdy się zbliżyła i ukazała je, król pocałował i natychmiast na szyję zarzucił sznur, tak, aby relikwiarz skrył się pod zbroję.

— Nie zgubcież go! — szepnęła Jadwiga — po-

bożni księży nasi zaręczyli mi, że od wszelkiego zbawią cię niebezpieczeństwa i zwycięstwo zapewnią.

— Zwycięstwo! — weschnął Łoktek — królowo moja, nie śmiem ja marzyć o niem. Jeżeli Jan nadciągnie z Czechami, a ten nicpoń mi Wielkopolan odewrwie, nie będę miał z czem stanąć przeciw takiej sile. Po staremu z boku ich będę zarywał i niepokoja, do boju otwartego nie stanę; rycerstwa mam mało.

— Bóg łaskaw — szepnęła królowa.

Aldonie oczy się zapaliły.

— Wy musicie zwyciężyć — zawołała — naprzód, że sprawa wasza dobra... a bogowie (tu zarumieniła się mocno i poprawiła natychmiast), Bóg i święci patronowie pomogą. A wy, królu, ojczyźnie, wyście mieli szczęście zawsze i wszyscy mówią, że bijecie się jeszcze, jak młody i za dziesięciu starczyciel!

Królowa przerwała:

— Właśnie on bić się nie powinien, tylko patrzeć, dowodzić, rozkazywać, a to jego grzech, że żołnierzem być chce, gdy mu wodzem być potrzeba.

Łoktek nieco się uśmiechnął.

— Tak, tak, babo moja — rzekł żartobliwie — rozumnie mówisz. Ja to wiem! Ale gdy człowiek w pole wyjdzie, nieprzyjaciela zobaczy, konie zarzą, kordy zabrzęczą, a posunie się rycerstwo na nieprzyjaciela, jak tu ustać, jak wytrwać, jak tu miecza nie dobyć i nie pokosztować tej potrawy! Człek, gdyby go związano, urwałby się!

Gdy tak mówił, twarz mu odmłodziła, drgnął, zdawał się rosnać maleńki pan i gorąco popłynęła mu krew w żyłach.

— Czas — rzekł — ludzie czekają, niech Bóg błogosławi.

Jadwiga i Aldona przyszły go całować po rękach, żegnając. Chwilowe rozweselenie zmieniło się znowu w tęsknotę i smutek.

Król wyrwał się z izby.

— Na koń! — zawołał w sieni, gdzie ludzie jego stali — na koń!

Na rozkaz ten królewski, podawany z ust do ust, w podwórcu odezwała się zaraz trąbka, za nią dalej zagrały inne. Ludzie z proporcami zaczęli się ustawiać na drodze, szykować, ścisnąć, kobiety i czeladź prędko z tłumu uchodzić zaczęły ku wałom i murom.

— Król król! — odzywali się, jedni drugim oznajmiając.

Dwie niewiasty, dwór cały zajmował przedsienie, księża, stojąc, błogosławili krzyżami, po chwili ozwała się pieśń pobożna i zagłuszyła wszystko.

Ją teraz jedną słychać było.

Bogu rodzica, dziewica,
Bogiem sławiona Marya,
U Twego syna gospody'na
Matko zwolena Marya,
Ziścij nam spust winam...
Kirje elejson!...

I pochód, uświęcony tą pieśnią odwieczną, stał się jakby uroczystością kościelną, jakby wielką procesją pobożnych. Wszystkie oblicza spoważniały, znikły uśmiechy, lecz razem znikła troska wszelka o przyszłość. Szli z modlitwą, więc z Bogiem. Bóg szedł z nimi.

Tem gorętsze były modły, że oręż wymierzonym był przeciw Krzyżowi, przeciw tym, co się Marji służącami zwali. I w wielu sercach rodziła się wątpliwość.

Zwolna te pułki wyciągały z zamku, żegnane wiewaniem chust, czapkami, cichemi głosy.

Na Wawelu bito w dzwony.

Król jechał otoczony przez wojowników swych, a siwy włos rozwiewał mu powiem wiatru, jechał i usta mu także poruszała modlitwa, a oczy szukały żony płaczącej i synowej, której smutek do tak dziecinnej nie przystawał twarzy.

Za rycerstwem, za ciurami, za czeladzią i wozami jechała na własnym wozie, czterema końmi zaprzężonym, otoczona swą służbą, czarno odziana, jak w żałobie, zakwefiona żona wojewody, ze spuszczoną głową,

z różańcem w rękę; jechała jakby wieziona na stracenie za winy męża, jak pokutnica, jak ofiara, i zasłaniała oczy, aby jej nie widzieli i nie poznawali ludzie, a nie piętnowali strasznym, ognistym znakiem — żona zdrajcy!

Na ulice Krakowa, przez które ciągnąć mieli, wyległ lud, aby zobaczyć i pożegnać króla.

Około ratusza stał burmistrz, pan Mikołaj Wirsing, z pany radnymi: Wigandem z Lupsicz, Mikołajem Rusinem, Mikołą z Sącza, Heynuszem z Nisy, a przy nich wójt Staszko i ławnicy.

Do przejeżdżającego króla z odkrytą głową zbliżył się burmistrz, uśmiechem go pozdrawiając serdecznym, na który król też dobrem słowem odpowiedział.

Teraz już między miastem a królem zgoda była i miłość, a obawy o zdradę nie miano. Z ramienia pańskiego wyznaczona była starszyzna i nie gospodarzył tu wójt dziedziczny, ale wierny królewski sługa.

Rycerstwo się do mieszczan uśmiechało, z okien słano im pożegnania.

— Wracajcie zdrowi, a w dobrą godzinę!

— Bywajcie zdrowi!

I dzwony biły u Panny Marji, po kościołach, po klasztorach.

A potem, gdy wszystko to, ludzie, ciury i wozy wyciągnęły w pole, stało się cicho i smutno. Ostatni dźwięk przebrzmiał. Ludzie patrzyli, choć już nic widać nie było i myśleli — z czem oni powrócą? Stary król, co walczył pół wieku prostym żołnierzem, szedł może na ostatnią swą wojnę. Nie posłał wojewodów za siebie; ciągnął sam, jak był nawykł, niosąc na posługę ludziom dłoń swoją, krew swą i wielkie swe serce.

II.

Trzeciego dnia po wyjściu z Krakowa, wieczorem kładło się wojsko obozem pod wsią Wronne, u skraju lasu, nad rzeczką.

Miejsce było dogodne, dla króla na nocleg stała pod kościołem plebanja; w wiosce cośniewoś dostać było można, a las dostarczał drzewa do ognisk i na szalasy.

Ludzie powolnym pochodem byli znużeni i warczeli.

— Co tu noga za nogą się podkradać! — wołał Łęczycanin Sukosz, zasiadając przy ogniu — wprost iść na tych zbójów, zewrzeć się z nimi i albo zginąć, albo zgnieść!

— Ale! — odparł Wilczek z Turowa, z siwym wąsem, człek wystąły i doświadczony. — Ale! Krew masz gorącą i chce ci się co rychłej do żonki powracać, a wojna ma swoje prawa.

— Nasz król — odparł Sukosz — nigdy nie zwykł był chodzić, jak teraz. Ostrożności do zbytku, tak, jakbyśmy się ich bali.

— Nasz król — mówił powoli Wilczek, który tymczasem sobie pokrajane w sztuczki mięso na drewnianych rożenkach u ognia przypiekał — nasz król dawniej mawiał, jam sam słyszał, że walnej bitwy wydawać nieprzyjacielowi, wszystko na jedną kość rzucając, nie godzi się, gdy wojsko nie ma przemagającej siły. Trzeba gonić za wrogiem, zasadzać się i urywać po kawale, póki się dogodnej chwili za gardło nie porwie i nie zdusi. Tak wojował Krzywousty!

— Ano! — krzyknął niecierpliwy Łęczycanin. — Tymczasem bestja krzyżak pali siola i miasta, kościoły i klasztory, i ludzi wyrzyna. Ot, co!

— Pomścimy to — rzekł Wilczek — pomścimy!...

Do ogniska drudzy się zwlekać zaczęli. Wszyscy byli posępni. Powolny pochód nie smakował im.

— Niema języka od granicy? — spytał Sukosz.

— Musi być, bo ciągle ludziska jakieś przyjeżdżają — rzekł przybyły Pakosz z Góry — ale im gębę zamalowują, że żadnego nic nie dopytać. Myny nie gęste, król smutny. Kto wie, co się tam dzieje?

— Wszystko złe przez tego zdrajcę — zakrzyczał Sukosz; — król go wykarmił, wychuchał, tłusty poleć smarował, i ot, co zyskał. Z tych wielkich panów za-

wsze korzyść taka... Król przecie pamiętać musi, gdy powrócił z Rzymu, a chciał swoje ziemie odzyskiwać, kim naówczas się posługiwał? My, biedaki, szliśmy z nim, no i kmiecie, a chłopcy. Dopiero, gdy się wzmógł, przyszli panowie do niego!

— Ej! Sukosz — przerwał, śmiejąc się, Wilczek, — jak to na tobie widać, że ty masz zamożnego sąsiada, który cię dusi!

Sukosz zamilkł.

Nadchodzili jedni, drudzy do ogniska szli. Spragniony po podróży lud szukał innego napoju nad wodę, co była w strumieniu, z którego już konie piły — a piwa byłoomal...

— Jak da Bóg, wojna się skończy — dokończył po chwili Sukosz, — choćby król wojewodzie przebaczył... ubiję tego złoczyńcę. Gdyby nie on, z krzyżakami byśmy się rozprawili...

— A o Czechu to zapomniałeś? — wtrącił inny. — Na niego czekają i gorzej go się król obawia, niż Wielkopolan.

— Ja myślę — dodał, — jakby owi Nałęcz, czy jakie tam djabły ukazały się tam przeciwko nam, a huknęlibyśmy do siebie — gdyby dziesięciu wojewodów ich wiodło, bić się przeciwko królowi nie będą.

Nie wszyscy w to podobno wierzyli, bo się nikt z potwierdzeniem nie odezwał.

— Co to za babę na wozie wiozą za wojskiem? — zapytał Sukosz. — Cztery konie w wozie, ludzie dostatnio odziani, co to za kobieta? Podglądałem, jadąc, myślałem, że choć młoda, jaka Abizail królewska; ale gdzie tam, stare babsko! I niewiadomo, kto to jest.

— A niewiadomo — rzekł Wilczek. — I mnie ciekawość brała dowiedzieć się, ludzi badałem. Woźnica mi rzekł: — Baba... i tyle, jeden ze sług odparł — Pani. Jak się zowie? Na to on. — Albo ja wiem? — A skądżeście? — Ze wsi! — A z jakiej? — Nazwiska zapomniałem. Pocóż się tają?

— Chyba król czarownicę wiezie — zawołał przybyły Wężyk, — aby uroki krzyżackie odganiała.

— Kto ona jest, nie wiem i ja — począł Darosz z Suchej Wierzby — alem za wozem jej jechał długo i to wiem, że całą drogę płacze... Nikt jej nie zna, do nikogo nie mówi słowa.

Ruszyli drudzy ramionami.

Od plebanji, w której król gościł, nadjechał Zemięga ziemianin, który przy wojewodzie jakiś urząd sprawiał. Zwrócili się ku niemu wszyscy, bo wesół był i gadatliwy.

— Co słyhać tam między głowami? — pytał Sukosz, który zrozpaczony na kobierczyku się przy ogniu wyciągnął.

— Dobrze słyhać! — zaśmiał się Zemięga — król posyłał na gościniec, którądy Czechy miały ciągnąć. Ani słyhu ich. Jeszcze się nie wybrali.

— To pocóż czekać! — krzyknął Sukosz — wprost na zbójów, póki im posiłki nie nadciągną!

Zemięga, zląwszy z konia, siadł przy ogniu w kuczki, hełm zdjął i za piwem, którego nie było, oglądał się.

— Tobie, Sukosz — rzekł — byle prędzej, choćby i zginać; a my ochoty do tego nie mamy. Z krzyżakami, choćby sami byli. sprawa niełatwa. Nadciągnęły im Niemcy z nad Renu i lichy wie skąd, mówią, że z za morza. Psiarstwo to, slysze, ma jakieś kusze żelazne zbójcekie, niewidome, które im ich czarnoksiężnicy wymyślili. Mówią, iż z hukiem wielkim, jak grzmot, rzucają takie kamienie z nich, że odrazu, zdaleka rzucone, kilkudziesięciu ludzi ubijają.

— Tfu! — odparł Sukosz — babskie płotki; puścili je, aby głupim strachu napędzić!

— Nie bajki to są, nie — rzekł Zemięga; — mają tam jakiś ogień piekielny.

— Ogień juści i dawniej rzucać ludzie umieli — zagadał Wężyk. — Niewielka rzecz z kuszy puścić bełt, smołą obłany i zażgnięty. Nic nowego.

— Co ty mi mówisz! — ofuknął go Zemięga — ja ci powiadam, com z pewnych ust słyshał, że na Malborgu i w Toruniu mają takie żelazne rury, z których naraz ogień bucha.

Wszyscy zamikli.

— Nie wierzę, aż zobaczę — zawołał Sukosz, — nie wierzę. Cóż to! Tym złoczyńcom miałby Pan Bóg dawać taką siłę!

— Jaki Pan Bóg! — sprzeciwił się Wężyk — chyba lucyfer. Albo to nie wiecie, że krzyżacy tylko udają, iż Chrystusa czczą, a mają swojego boga mosiężnego, głowę, której się kłaniają i kozła, przed którym się modlą, ale nie do głowy, tylko do ogona.

Niektórzy się śmiać zaczęli.

Zemięga dodał, iż byli ludzie, co rzucania ognia piekielnego widzieli i huk słyszeli i opowiadali, że kule kamienne, których dwu ludzi podźwignąć nie mogło, czart ten wyrzucał.

— Cóżby to była za wojna! — zawołał Sukosz. — Coby człowiek i rycerz był wart w niej, gdyby go tak zdala bezbronego można zgnieść?

— A no, kiedy tak jest! — westchnął Zemięga.

— Plotą, aby nas straszili — zamknął Wilczek; — niema o czem gadać.

Rozprawiano tak około ognia i zdania się różne z sobą spierały.

W drugiej stronie obozu, poza wozami, w których królewskie szaty, zbroje i zapasy prowadzono, nieco odsunięty od innych, stał ów czterokonny zaprzęg, który wiozł nieznajomą, płaczącą niewiastę. Była nią żona wojewody Wincza.

Na samą wieść o zdradzie jego, która się coraz bardziej szerzyła, powstała w wojsku i starszyźnie taka niechęć, taka nienawiść przeciw zdrajcy, iż imienia jego wymówić nie było można. Biedna niewiasta słyszała, omdlewając, jak go przeklinano, odgrażano się nań i zemstę mu zapowiadano. Musiała więc tać nazwisko swe, bo z niem życia nie była pewną. Zakażała ludziom wyjawiać je... sama zaś trzymała się na uboczu od wszystkich, milcząca. Tych, którzy zagadywali do niej, zbywała milczeniem i łzami. A że zawsze u nas było wielkie poszanowanie niewiast, cześć

dla łez, nie naprzykrzał się jej nikt. Litowano się, domyślając nieszczęścia, które ją dotknęło.

Trafiło się tego wieczora, iż wozy królewskie a z niemi wojewodzinej najbliżej były Sieradzan, między którymi znajdował się Florjan Szary.

Od wyjazdu z domu, żonę pozostawiwszy na opiece obcych, świeżo po przestkach takim, chodził, jak noc, smutny. Słowa z niego nikt nie dobył. Musieli mu znajomi dać spokój, ażeby, jak powiadali, wysapał się i odszedł.

Na pamięci mu stała jego biedna Domna, taka, jaka go z młodszą na ręku dzieciną żegnała w progu. Więc każda biedna, płacząca niewiasta to na nim czyniła wrażenie, że ją przypominała.

Coraz to ku temu wozowi spoglądał, a litował się nad płaczącą. Nie zaczepiał jej jednak i nie nastęczał się, bo go drudzy już ostrzegli, że z nikim mówić nie chciała i ludzie jej imienia nie wyjawiali nikomu. Głowy sobie bardzo nie łamał, kto była, ciekawości nie miał zbytniej, litość czuł tylko wielką.

Przy wozach dla opieki z rycerstwa nie było nikogo, same ciury i czeladź. Nie spuszczał z niej oka Florjan.

Pod noc już ludzie wojewodzinej, dawniej do ulegania nie nawykli, zuchwali dosyć, poważnili się u wodopoju z królewskimi. Od słowa do słowa bezcześcić się zaczęli, kamieniami ciskać, aż się do kijów porwali. Parę razy pociski padły blisko pani Halki, która przerażona krzyknęła.

Wnet Szary pobiegł w pomoc i z powagą swą rycerską pomiędzy to tałajstwo wpadłszy, pogromił je i rozpedził.

Zbliżył się potem do wozu, dobrem słowem chcąc pocieszyć kobietę, która mu dziękowała.

— Nie obawiajcie się — rzekł, — ja tu z moimi ludźmi niedaleko leżę, i jakby potrzeba było, gotów jestem zawsze. Śpię czutko.

Miał też sobie za obowiązek dać się poznać niewieście i rzekł:

— Sieradzanin jestem, Florjan Szary się zowie, z Surdęgi. Nie pytam miłości waszej o nazwisko, bom słyszał, że go mówić nie chcecie.

— Z Surdęgi? — odezwała się, nieco zasłony podnosząc, żona wojewody. — Wszakci Leliwianka Domna pono wasza?

— A tak! — rzekł ochoczo Florjan, zdziwiony, że o jego żonie wiedziała. — Poczciwe moje żonisko musiałem porzucić ze starym ojcem w domu. Ale jakże to wy o niej wiedzieć możecie?

Jakiś czas pomilczała zagadnięta, a po chwili rzekła cicho:

— Juściż rodzina o sobie musi wiedzieć, a Leliwi... moi powinowaci. Słyszałam o nich.

Florjan nie śmiał dopytywać więcej, ale się u wozu zatrzymał.

— Kiedy tak — rzekł, — a my z sobą choć jakimś węzłem bliscy, nie omieszkajcież mi sobie kazać służyć. To powinność.

— Bóg widzi — dodał — nieciekawym, gdy się być nie godzi, ale jakaż bieda mogła was zmusić tak się wlec za obozem? To utrapiona rzecz!...

— Prawdę rzekliście! — odezwała się Halka — bieda i wielka nad miarę zmusiła mnie jechać za obozem. Jestem bardzo nieszczęśliwa.

Westchnęła ciężko i płakać zaczęła. Florjan czuł litość coraz większą i nie chciał się już oddalać, choć pytać nie śmiał.

Popatrzywszy nań, obejrzawszy się dokoła trwożliwie, pani Halka łzy poczęła ocierać.

Przypomniwała sobie teraz, iż tę twarz Florjanową kędyś już widziała. W istocie, gdy wojewoda był w Pomorzanach na rozmowie z Szarym, ona, podszedłszy ku drzwiom, przypatrywała się przybyłemu posłowi, lękając się, czy nie był od krzyżaków wyprawiony.

Teraz dopiero fizjognomja ta wyrazista przypominała się jej. Nie była jednak pewną.

Sama Leliwianka z domu, choć dalsza krewna tamtych Leliwów, do męża Domny czuła większą ufność,

niż do innych... Pochyliła się więc ku niemu i spytała go pocichu;

— Nigdyście nie bywali w Pomorzanach w Wielkopolsce?

— Jakto? — odparł Florjan zdumiony. — Niedawno temu do wojewody mnie posyłano...

Spojrzała nań długo biedna kobieta i pochwyciła za rękę.

— Domyślcieź się, ktom ja! — rzekła. — Ja jestem nieszczęśliwa żona jego... Wincza z Pomorzan!

Tu łzy ją zdusiły znowu.

— Przybyłam do Krakowa z Hanną królewiczką — mówiła — prosić króla, aby słał do mojego męża ludzi słusznych, aby mu z serca wyrwali... tę myśl piekielną. O Boże mój! on zdrajcą przeciw panu! on zdrajcą przeciw ziemi swej, on z krzyżaki, on z nieprzyjaciół!

Florjan, politowaniem zdjęty, stał, nie śmiejąc się odzywać.

— Nie rozpaczajcie, miłość wasza — rzekł po namyśle, — jeszcze się to odmienić może... A cóż tu radzić? co?

— Ja go znam najlepiej — mówiła niewiasta, łkając, — on nie wytrwa w złem, sam sobą brzydzić się będzie. Żli ludzie go poduszczyli, dobrem słowemby to odwrócić można... Król, gdyby chciał...

— Cóż król? — zapytał Florjan.

— Milczał; odpowiedział mi tak, jak nic.

— Pociescie się — zamruczał Szary, — może czem jeszcze odwrócić od was to nieszczęście będzie można.

To rzekłszy i miarkując, że dłuższa rozmowa więcejby ją rozżaliła tylko, Florjan, pocichu coś rzekłszy, odszedł do swych ludzi, przypominając, aby w razie potrzeby do niego się udała.

Jeszcze się był od wozu nie oddalił na kilka kroków, gdy od plebanji jakby co gromadami rozłożone — mi w polu poruszyło...

Ruch się wszczął jakiś niespokojny, ludzie biegać

zaczęli, kupkami się zbierać, cisnąć, rozpowiadać, krzy-
czeć, konni biegali po obozie. Popłoch jakiś poruszył
wszystkich. Ci, co leżeli, wstawali i szli się dowiady-
wać. W powietrzu latały przekleństwa i odgróźki.

Ponieważ niebardzo jeszcze ciemno było, a na wzgó-
rzu przy plebanji smolnych parę beczek zapalono dla
króla, Florjan dostrzegł, że kilku jezdnych, których
konie trzymała czeladź, świeżo do dworku przybyło.

Siadł więc na koń, czeladzi rozkazawszy, aby się
nie ruszała, poleciał wprost na plebanję, by u źródła
dostać języka i dowiedzieć się prawdy.

Chociaż po drodze dochodziły go różne wołania
i imiona, nie zatrzymał się aż u drzwi księzego domu.

Szczeńciem trafił w progu na Hebde.

— Na Boga! panie wojewodo — zawołał — co to
jest? Nowe nieszczęście jakieś?

— Nie, nie nowe! — krzyknął z gniewem wielkim
Hebda. — Dawnośmy się go spodziewali, a teraz się tyl-
ko spełniło, w co żaden pocziwy człowiek wierzyć nie
chciał. Wojewoda z Nałęczami poszedł do krzyżaków,
a oni z nim już wpadli i palą, a rzną i niszczą... Od-
parto ich, słyszę, od Inowrocławia z niemałym tru-
dem, ale Słupcę wzięli i spalili... i żywej nie puścili du-
szy. Królewicz nasz z Nekandą w Pyzdrach był, go-
dzili na to, aby go porwać, — szczęściem, w porę ostrze-
żony, uszedł z życiem i dąży ku nam. Z Pyzdr też kupa
popiołu.

Gdy to mówili, ziemianin odarty, z suknią na pier-
siach nagich poszarpaną, z twarzą pałającą, rozognio-
ny, napół oszalały, nieprzytomny wyszedł z izby od
króla.

Wyproszono go stamtąd, aby Łoktka więcej nie roz-
żalał i serca mu nie psuł, lecz ust mu zamknąć nikt nie
umiał; mówił, a raczej ryczał z boleści, szarpiąc na so-
bie odzież, na głowie włosy, ręce napół obnażone pod-
nosząc do góry i załamując nad czaszką... Stał w progu,
jęcząc i wyrzekając:

— Gdzie przeszli, tam po nich ino popieliska i tru-
py... Nie szczędzili nikogo: dzieci, starców, księży po

kościółach, kościołówn... ludzi, co do nich uciekali, u ołtarzy z szat do naga odarłszy, rzezali, urągając się... W Słupcy ksiądz Sakramentem w rękę trzymanym się nie obronił... Piekło na ziemi! Gdzie Bóg? Krzyże na płaszcach, a to szatany wcielone? Łaska Boża, iż królewicza nie schwycili, nie darowaliby i jemu... wojewoda nasz był z nimi! Boże miłosierny!

Padł na progu, rękami zakrył twarz i powtarzał ciągle:

— Gdzie Bóg? gdzie Bóg?

Wikary młody zbliżył się do niego i strofować począł za bluźnierstwo, ale starzec spojrzał nań groźnie.

— Dobrze ci mówić, boś ty na to nie patrzył... bo ci, jak mnie, żony i dzieci nie zabito, boś nad trupami krwawemi łzy nie płakał... A chorągiew ich z krzyżem! Gdzież Bóg?

Słyszając wrzawę w sieni, wyszedł sam król, blady, z twarzą marmurową. Widać było, że drżał wewnątrz, ale zdawał się nieporuszony, oczy tylko błyskały.

— Cicho! — zawołał — cicho... Poleje się krew za krew. Bóg cierpliwy, ale mściwy!...

— Natychmiastby iść na nich, póki się nie spodziewają — zawołał gorączkowo z za króla Żegota z Morawicy, — iść i tłuc!

Król się odwrócił z surową twarzą.

— Jedźcie mi po obozie, niech się ludzie uspokoją i żeby mi żadnego wołania a wrzawy nie było. Jam tu wódz! Nikt rozkazywać, nikt się niczego domagać nie ma prawa. W obozie zatrąbić na spoczynek!

Skinął ręką.

— Cicho! ni słowa!

I z wielkiem podziwieniem słuchających, król z naciskiem silnym głośno dokończył:

— Jutro cały dzień spoczynku, tu, nie ruszymy się.

Wszyscy dokoła zamruczeli i poruszyli się. Łoktek spoglądał surowo i brwi ściągał.

— Ład żeby mi był... a kto mi się rwać będzie i krzyczeć, do mnie na sąd... Trąbić na spoczynek!

Zwolna zaczęli się niektórzy poruszać, a wojewoda posłał z rozkazami do obozu.

Król wolnym krokiem do izby powrócił i zamknął drzwi za sobą.

Szanowali tak wolę surowego pana, iż na skinienie jego i wysłane w imieniu króla nakazy obóz natychmiast zaczął się uciszać. Starsi biegli, zmuszając do milczenia.

Gdy Florjan do wozów powrócił, zamierzając wдове nowego zmartwienia oszczędzić i zamilczeć przed nią, znalazł ją już uwiadomioną i leżącą na wozie bez przytomności. Sługa, jadąca z nią, cuciała i obcierała omdlałą. Żadna pociecha nie była w porę, stanął około wozu, popatrzył chwilę i usunął się pocichu.

Przez całą noc dochodziły go jęki niewieście.

W obozie mało kto zasnął tej nocy. Pozornie panowała cisza i spokój, bo królewskie słowo miało siłę potężną, lecz niepokój w umysłach był straszny. Co niecierpliwi o rychłą pomstę wołali. Tymczasem nazajutrz kazano im stać w miejscu, potem pół dnia zwijano obóz; zamiast wprost ku granicom i zagrożonemu krajowi, Łoktek dał rozkaz wojsku i usunął się z niem w lasy na prawo.

Widziano go na koniu jadącego, z twarzą kamienią, z wejrzeniem osłupiałem, lecz wodzowie wiedzieli, co się kryło pod tym chłodem i martwością.

Nikt nie śmiał doń przemówić. Mówił mało, krótkimi słowy, odpowiedzi nie słuchał. Zdawał się nawet nie widzieć i nie poznawać najbliższych...

Wieczorem kilka skarg było do wojskowych sędziów; król najsurowiej karać kazał.

Tydzień leżał obóz w lasach i posły tylko biegały, języka dostając. A kto z językiem powrócił, pod karą główną słowa się nie ważył mówić po obozie.

Wojsko nie wiedziało nic, a niecierpliwość w niem wrzała okrutna.

Już z nowego obozowiska ruszać mieli nad ranem, gdy na granicy od lasu orszak się ukazał... Straże zaraz zatrąbiły na gwałt, ale im umilknąć kazano. W sto mo-

że koni i zbroi jechał ktoś wprost do namiotu królewskiego.

Łoktek, pieszo, jak stał, wyszedł naprzeciw. Hełmu, ni czapki nie wziął. Kosmyki włosów siwych wiatr mu rozwiewał... szedł z podniesioną głową.

Spostrzegłszy go, młodzian rażno zeskokczył z konia. Był to królewicz, a za nim tuż jechał Trepka.

Kazimierz pięknym był i miał prawdziwie królewską postawę, królewski strój i uzbrojenie, jakby nie na wojnę, a na gody się wybrał.

I on i dwór jego różnili się od ojcowskiego, jakby do innego należeli świata. Coś młodego, świeżego, bujniej rozkwitłego wiało od tych błyszczących rycerzy z pióropuszcami, ze świecidłami i dziwnymi na hełmach postaciami... Łoktkowi przy nich ciężko, czarno, opuszczono, grubo wydawali się i niemal barbarzyńsko...

Kazimierzów orszak lżejszym był i zwrotniejszym, lecz widać było, że próby boju nie przeżył.

Zbliżywszy się do syna, Łoktek ręce wyciągnął i, gdy ten mu się do kolan chylił, zarzucił je na szyję jego, począł całować w czoło... Nie mógł mówić.

Spojrzał z wdzięcznością na Trepkę i skinął mu tylko, jakby mówił: Bóg ci zapłaci!

Zwolna kamienna twarz wypogadzać się zaczęła, piersi poruszać, jakby odblask krwi ożywił mu policzki. Szli razem do namiotu i w nim znikli.

Zamaszysto, rażnie królewiczowscy ludzie poczęli zsiadać i rozgaszczać się.

W obozie domyślano się teraz, dlaczego stali tu tydzień: czekali na królewicza.

Gdy Łoktek do namiotu z synem wszedł, Trepka pozostał około opłotków. Tu go otoczyli wojewodowie, chorążowie, pułkownicy, nalegając i dopytując, co się działo.

Nekanda powtarzał im to, z czem wprzód przybył ziemianin, że od Brześcia i Inowrocławia udało się pierwszy zamach odeprzeć, że Słupcę i Pyzdry a okolice krzyżacy puścili z dymem.

Na godzinę przed przybyciem ich pod Pyzdry

lano mi znać — mówił Nekanda. — Gdybym sam był, proniłbym ich, alem tę drogą krew królewską ocalić musiał. Uszliśmy szczęśliwie, ścigani, co chwila w obawie, że nas dognają — Bóg miłosierny...

— A krzyżacy? — pytał Hebda.

— To była tylko próbka — rzekł Nekanda — wrócili do Torunia, bo król Jan się im opóźnił... Tylko co ich znowu nie widać. Niepoczciwy Wincz z nimi.

Wtem król uchylił ściankę namiotu i zawołał:

— Nekanda!

Ten wszedł; królewicz stał przed ojcem z twarzą posępną i zafrasowaną. Łoktek miał ten wyraz obliża, jaki przybierał, wydając rozkazy.

— Dziś jeszcze przepędzicie ze mną dzień do wieczora — odezwał się — rozumiesz? Jutro musicie nim — wskazał na Kazimierza — na miejsce bezpieczne.

— Ojczel! — odezwał się Kazimierz — srom dla mnie. Nie godzi się to... zlituj się!

— Milcz, gdy rozkazuję! — rzekł Łoktek. — Wiem, co czynię. Miałbym ja dwu takich jak ty, nie szczędziłbym ciębie. Jeden jesteś. a na twoją głowę korona czeka... Milcz i słuchaj! Korona pójdzie w sztuki, gdy abraknie głowy.

Zwrócił się do Nekandy:

— Szukaj z nim bezpiecznego miejsca i najbezpieczniejszego zamku; oddaję ja ci go, musisz mi całym powrócić.

Trepka skłonił głowę.

— Bić się — dodał król — toby była zabawka... rozkosz, musisz cierpieć i słuchać. Ja się będę bił, mnie nie szkoda, jam stary, ze mnie już gałąź nie wytryśnie kłosa...

Kazimierz ręce skrzyżował na piersiach, jakgdyby jeszcze króla chciał błagać, lecz Łoktek nie patrzył nań, adził z Nekandą; odżył widocznie po przybyciu syna, ystąpiła wewnątrz nadzieja.

Nie mówił, co począć ma, bo z tego nigdy się nie

był zwykły przed nikim spowiadać — pytał tylko. Nie wspomniał o Winczu.

Gdy Trepka napomknął o nim, król spojrział i zawarł mu usta. Ciemno było w namiocie, lecz mogło się zdać, iż coś się w oczach starego zaszklilo.

Po długim opowiadaniu o zniszczeniu, które krzyżacy zrzadzili, Łoktek nagle zwrócił się do Nekandy:

— Och! jeden Wincz... — rzekł — on, jeden... zemsta... niecny człek... waż... waż. Ale całaż Wielkopolska z nim przeciw mnie?...

Wlepił w niego oczy.

— Miłościwy panie — pośpieszył z odpowiedzią Trepka — niech Bóg uchwata od takiej potwarzy! Nałęczcie z nim i to nie wszyscy. Dobek mu wypowiedział posłuszeństwo... Inni idą pod grozą, aby im majętności nie palono, spodziewając się je ocalić... reszta płacze i narzeka na zdrajcę... Niech się szala przechyli na stronę naszą, odbiegną go wszyscy...

— Daj Bóg! — rzekł król krótko i uśmiechnął się do syna. — Nie tęsknij — dodał, — przyjdzie i na ciebie czas do boju... U nas miecza do pochew schować nie można... i długo jeszcze pozostanie tak.

— A dopóki pokoju mieć nie będziemy — westchnął królewicz, — póty kraj stać będzie w lepiankach i gruzach, i wieśniak mrzeć z głodu, i miasta drzeć ze strachu o handle swoje...

— Tak, dziecko moje — gorzko uśmiechnął się król — i dlatego ja wojuję życie całe, abyś ty ten pokój odzierżył po mnie, da-li Bóg, że go nam Stolica Apostolska z tym narodem bezbożnych mnichów wyzyszcze... Mnie już do ostatka trzeba krew lać, a ty zniwo zbierzesz po niej.

Uściskał go.

— Jedźcie gdzie na zamek bezpieczny, w głąb... daleko, gdzieby was nie dostał ani Jan, ni krzyżacy; ja bładzić będę i kryć się po lasach, aż mi Bóg serca doda i powie: teraz czas!... O! gdy przyjdzie godzina, pomstę uczynię okrutną, jak psów będę dławił, jak zbrod-

iarzy ścinał i tak nie przebaczę nikomu, jak oni nie
rzepuścili niewinnym działkom.

Zamilkł nagle.

— Amen! — dokończył Trepka, skłaniając głowę.

III.

Na jesiennem niebie chmurnem gorzała łuna ogrom-
a, gorzała już dzień drugi, noc drugą... We dnie na
zarnej chmurze paliła się krew, w nocy na krwawym
błoku czerniały dymy. I nie było słyhać nic, bo tam,
gdzie przeszła pożoga ta straszna, nie zostało ludzi, go-
zały poodzierane trupy... Obóz krzyżacki leżał pomię-
zy Łęczycą spaloną, wsiami, które krzyżacy zrównali
ziemią, a Kaliszem. Ogromne to wojsko Niemców,
tórego jedno skrzydło składały pułki wojewody pol-
skiego, rozłożyło się w dolinie szeroko.

Czerwony namiot wielki, ponad którym powiewała
łala chorągiew z krzyżem czarnym i orłem cesarstwa,
objmował środek obozu. Tu z gośćmi swymi odpoczy-
wał marszałek Teodoryk z Altenburga. Obok niego
tto z Luterbergu i komturowie: elbląski, pomorski,
ruński gospodarzyli, przyjmując sprzymierzeńców
gości. Kilku grafów z nad Renu, jeden Anglik, po-
łki inflanckie, w osobie swych wodzów, zasiadali do
esołej uczty, której łuna przyświecała zdala.

Wesołość w obozie dochodziła do szału. Nietylko
od czerwonym namiotem brzęczały puhary; śpiewki
szczęki odzywały się z szalasów i od ognisk dokoła.

Przy jednym z nich leżało na ziemi kilka obnażo-
nych kobiet, powiązanych sznurami. W czarnych
aszczech rycerze chodzili dokoła, potracając je no-
mi... Jeden z nich końcem miecza kłuł ciało, które
ból czucie straciło.

Opowiadano sobie, jak w Łęczycy obnażone nie-
iasty ścinano razem z księżmi. Śmiech tych ludzi
podobnym był do ryku zwierząt.

Z innych miejsc nagle wybuchały podobne krzyki wesole, pastwiono się tam nad jeńcami.

Około wozów służba rozkładała łupy... między nimi leżały ornaty kościelne, kielichy, kobiece suknie i klejnoty. A nad tem wszystkim powiewał krzyż!

Zakonnicy nagradzali sobie za długie zaryglowanie w zamkach. Tu wszystko im było wolno.

Pod namiotem czerwonym siedzący i nawpół leżący krzyczeli głośno, osobliwie starszyzna krzyżacka. Plaszcz białe zmagaly się na zabawienie gości.

Grafowie z nad Renu słuchali. Teodoryk z Altenburga, wódz najwyższy, wyniosła postać na silnych nogach z ogromnemi stopy płaskiemi, głową przechodzący większą część swych współbiesiadników, stał jeden z twarzą spokojną człowieka trzeźwego między upojonymi. Patrzył, przysłuchiwał się, brwi ścigał. Przechodzącego komtura z Elbląga zapytał pocichu:

— Gdzież ten Polak?

— Musiał pójść złożyć pod swym namiotem wydychać — odparł, uśmiechając się, mały a krępy, rudobrody komtur.

Brwi marszałka ściągnęły się.

— Nadto bo mu dojadacie — rzekł, — takiego pomocnika szanować potrzeba. Lepszego przewodnika trudnoby dostać.

Komtur się skrzywił.

— Dumy jego znieść trudno — rzekł; — razi ona wszystkich. Bądź co bądź, jest to zdrajca. Zdrada pożądana, ale zdrajcy obrzydliwi...

— Znosić go jednak musimy — odparł marszałek, a po małym przestanku dodał: — do czasu.

— A nawet bardzo niedługiego — odparł komtur. — Szkodliwym nam już być nie może. Spalił mosty za sobą. Głupi człek zresztą, bo się oddał w ręce nasze na łaskę i niełaskę.

— O, nie! — rzekł, uśmiechając się, marszałek — próbował z mistrzem wchodzić w jakieś układy. Stał się na stopie sprzymierzeńca... Stary nasz zbył go, jak należało, nie nie przyrzekłszy.

Komtur poruszył ramionami i potarł rudą brodę.
— Nie przycinajcie mu, gdy siada z nami — odezwał się Teodoryk.

— Ja nań nawet nie patrzę — odparł ze wzgardą komtur.

— Ale też i lekceważenia mu takiego okazywać nie wypada...

Komtur przerwał ze śmiechem własnymi słowy Teodoryka:

— Do czasu!

— No, do czasu! Zapewne! — powtórzył marszałek, — ale przed czasem żółci mu burzyć nie należy.

Graf von Rheden, jeden z gości, stojący blisko i słyszający rozmowę, dorzucił:

— Proszę was, przezacny panie, u stołu mnie przy nim nie sadzajcie; wszystko mi się kwaśne wydaje od jego twarzy.

— Trudno wymagać, by wesołym był — odezwał się marszałek — jużciż palimy z nim razem, czy on nami, wioski jego braci i plemienia.

— Gdy z nami idzie, wyrzec się go powinien — zawołał głośno komtur z gwałtownością wielką. — Myśmy rycerzami niemieckimi, sprawa nasza nic nie ma wspólnego z temi plemionami, które wyniszczyć potrzeba i wygubić, aby zająć ich ziemię.

Marszałek nie przeczył, a drugi komtur toruński dodał:

— Póki tu ślad ich języka, ich obyczaju, ich rodu zostanie, pokoju mieć nie będziemy. Dlatego musimy wycinać w pień... i na karczunku krwawym nowy las sadzić.

— Jeśli sobie pochlebiają — rzekł marszałek, — że my ich przez jakąś ludzkość szczeni będziemy... Nie dokończył i mruczając, odwrócił się.

— Pułki wojewody — począł elbląski — potrzeba zawsze naprzód słać, gdzie największe niebezpieczeństwo i gdzie najpewniejsza śmierć, tym sposobem się tych pomocników pozbędziemy.

— Ale dziś, bracie mój — przerwał, zwracając się,

marszałek — jeszcze są potrzebni. Dlatego samego nam dobrzy, że Łoktkowi bez nich źle bardzo. Słyszę, że stary lis nie śmie wyleźć z jamy. Kryje się gdzieś z lichem swem, zbieranem wojskiem po lasach. Nie będzie śmiał nam stawiać czoła... A pod Kalisz i króla Jana się doczekamy!

Spojrzeni po sobie.

— Króla Jana! Daj to Boże — rzekł z powątpiewaniem toruński komtur.

— Przyjdzie zapewne — odezwał się inny ze starszyzny, — ale dla niego wcześniej worki nabite przygotować trzeba. Prawda, że jako prawowity król polski, Pomorze nam odda na wieki, ale zapłacić sobie każe. Pieniędzy potrzeba będzie dlań dużo.

Marszałek Teodoryk z dwuznacznym uśmiechem rzekł, ręką na kraj wskazując:

— Dostarczy nam ich ta wyprawa... W Kaliszu ja się wielkiego łupu nie spodziewam, ale stamtąd pociągniemy na Gniezno.

— Kościelny skarbiec stary, zamożny, dla króla Jana srebra dostarczy.

— No i inne miasteczka, w których handel większy, nie są do pogardzenia. Kalisz osadzić musimy.

Zaczęto mówić o położeniu zamku, o wodach, które przystępu broniły, o obwarowaniu miasta.

Marszałek zapewniał, że pod Kalisz król Jan powinien był nadciągnąć.

Gdy pod krwawym namiotem toczyły się tak rozmowy, na skraju obozujące polskie pułki Nałęczów, odosobnione, w położeniu najgorszem, szemrały. Z Niemcami zwady były nieustanne; nie puszczali do wodopoju, zajmowali najlepsze łąki, przywłaszczali sobie najwygodniejsze stanowiska. Między ciurami i żołnierzem, jakgdyby lada chwila miała walka wybuchnąć, zaczepki były ciągle. Silniejsi Niemcy nadużywali swej przewagi. Polskie posiłki wzgardzone, prawie, jak niewolnicy, musiały podrzędne jakieś zajmować stanowisko. Skargi na to nie pomagały.

Wojewoda się burzył, marszałek, u którego się upo-

miął o poszanowanie wielkopolskiej ziemi, odpowiadał mu pół-słowy, ruszał ramionami, tłumaczył się wojną, nie zważał wreszcie na nic i czynił swoje.

Nie było już żadną tajemnicą w obozie, że po wzięciu Kalisza, który się spodziewano opanować, droga na Żnin szła wprost do Gniezna, w serce Wielkopolski. Przebąkiwano o wyprawie na Sieradz, na Wartę. O łupieży stolicy arcybiskupiej mówiono zawczasu, obiecując sobie z niej wiele.

Wincz chodził po małym namiocie swym, wybiegał z niego, biegał po podwórzu, siadał, wstawał i wszyscy widzieli jawnie, że krew w nim się burzyła. Niekiedy spoglądał na czerwony namiot marszałka z taką złością, jakby chciał pójść nań nie z posiłkiem, ale z mieczem w dłoni.

Wśród dokoła stojących pułków wojewody pano wało toż samo rozdrażnienie, jakie nim miotało. Starszyzna schadzała się, naradzała burzliwie, krzyczała i ku Niemcom ręce wyciągając, zdawała się grozić im. Lecz cóż znaczyły groźby bezsilne, gdy garść ta była w rękę krzyżaków, czterekroć silniejszych i lepiej uzbrojonych!

O paręset kroków od namiotu wojewody, przy wozach Remisza Nałęczza, który wiekiem i powagą najstarszym tu był po wojewodzie, stało dowódców, wszystkich rodem Nałęczów — z dziesiątek. Byli tam: Żegota, zwany Siłacz, Klimsz, zwany Ogon, Jur, zwany Nosal, i inni.

Żaden z nich na chwilę nie przysiadł; chodzili wszyscy, miotając się. Po przykrem milczeniu następowały wybuchy krzykliwe; Remisz, jak mógł, uśmierzał.

— Te psy sobie z tego nie robią nawet tajemnicy — mówił Ogon; — wprost z Kalisza pójda na Gniezno. Znają dobrze, gdzie się najlepiej obłowić mogą! Sam słyszałem na uszy moje, że ten sam los, który spotkał Łęczycę, obiecują nietylko Gnieznu, ale Środzie i okolicom, Sieradzowi potem, Warcie i... kto ich wie! Pójda może i na Poznań! A my im pomagać mamy, gdy nasze własne dwory łupić i palić będą!

— A no, tak! — krzyknął Żegota Siłacz — potó-
śmy szli i tak piękny z nimi wojewoda sojusz zawarł,
bodaj jutra nie doczekał, że będziemy się sami ze skó-
ry odzierać!

— Mówił nam — dodał Ogon, — że przez to my
ocalimy nasze mienie i kraj, a teraz co? Zdał nas, jak
niewolników. Przepadliśmy!...

— Przepadli! — powtórzyli drudzy.

— Mamy ginąć — zawołał Klimsz — no, to i on
z życiem nie ujdzie... Niech ginie!

Remisz nakazał milczenie.

— Nie łowcie ryb przed niewodem; nie może być,
aby nas i siebie gubił; człek bystry jest i rozumny.

— Ale stracił rozum, bo go złość opanowała —
wtrącił Ogon. — Zemsty mu się zakosztować chciało
i sam się zdał na nią.

— Czekaļmyno — rzekł Remisz.

— Czego czekać? Żeby było po czasie? — pod-
chwycił Siłacz. — Nie! oto, jak stoimy, idźmy się z nim
rozmówić jasno i szczerze.

— A no, idźmy! — wołali inni.

Remisz siedział niepewny. Patrzali nań.

— Idziecie z nami? — zapytali.

— Muszę! — odparł krótko.

Zebrali się więc do gromady, poszeptali nieco, usta-
wili wedle starszeństwa, przybrali poważne postacie
i zwolna poczęli kroczyć ku namiotowi wojewody, któ-
ry właśnie był wyszedł z niego i widział ich groma-
dzących się, a zmierzających ku sobie.

Po drodze do gromadki tej zaczęli się przyłączać
inni, i dziesiątka urosła wprędce w dwójnasób. Gar-
nęli się wszyscy, kto się tylko dowiedział, dokąd i poco
idą.

Nim mieli czas dojść do namiotu, wojewoda, w któ-
rego oczach się to działo, postrzegł i domyślił się, że
starszyzna ku niemu szła, a i celu tego wystąpienia
łatwo mu się było dorozumieć, bo go pojedynczy już
od dni kilku słowy zaczepiali i ostro się im odcinać
musiał. I teraz też widząc, że go pewnie naprą, aby się

tłumaczył, postanowił nie pobłażać, nie ugiąć się, a stać ostro.

Im więcej czuł swą winę, tem mniej mógł się do niej przyznać. Kości były rzucone, wycofać się było niepodobieństwem.

Idąc zwolna, Nałęcz naradzali się, kto miał być rzecznikiem. Ogona i Nosala obawiano się dla gorącości ich, zgodzono się na Remisza...

Gdy już Wincz nie mógł mieć wątpliwości, że do niego idą, stanął z podniesioną głową, oparłszy się na mieczu i czekał na nich wyzywająco.

Remisz szedł przodem. Powitali się zimno.

— Przychodzimy do was na radę i z żałobą — odezwał się mówca. — Coś źle się nam zapowiada wyprawa. Niemcy nie czynią z tego tajemnicy, że z pod Kalisza na Gniezno chcą; no, to i okolicy nie darują. A co się stanie z naszymi wsiami i osadami? Wszystko pójdzie w perzynę — a pocóż my tu?

Wojewoda wydał usta.

— Przecież ja w tem, jak wy, poszkodowany być mogę — odezwał się. — Zostawcież mnie o to staranie. Do Gniezna daleko.

— Nie tak bardzo — mruknął Ogon. — A my teraz w ich rękach.

— Mistrz mi przyrzekł — począł, dławiąc się, wojewoda, — że nas oszczędzi.

— A marszałek pójdzie po swej myśli. Wojna jak woda — mówił Klimsz — puścić ją łatwo, ale zatrzymać i pokierować nią, niech kto będzie mądry!

Wincz surowo spojrzał; burzyło się w nim coraz silniej, zagryzł usta blade, oczy mu zasły jakąś powłoką krwawą.

— Zwierzyliście mnie dowództwo — począł głosem, napróżno hamowanym, w którym czuć było gniew okrutny — jam tu najwyższy wódz! Wasza rzecz ze mną iść i mnie słuchać. A kto nie zechce...

Rękę podniósł, jakgdyby gałęzią groził.

— Ho! ho! — mruknął Ogon — ho! ho! Ziemianieśmy, nie niewolnicy, poczekaj!

— Żołnierze, nie ziemianie — odparł, przyskakując doń, wojewoda. — Tu kto nie służy, winien sądu, a kary innej nie będzie u mnie, tylko — śmierć! Słyszycie?

Odwrócił się nagle, jakby do namiotu iść chciał.

Niezłękniomy wcale Ogon zawołał wnet:

— Już tak z nami mówicie? już tak! Sprzedaliście nas Niemcom? he?

Wojewoda przypadł ku niemu, za miecz chwycił, ale Remisz porwał jego rękę i jak w żelaznej obręczy go zatrzymał.

— Słuchaj, wojewodo — rzekł, — nie dolewaj oleju do ognia. Miarkuj się; radźmy, jak swoi, jak bracia jednego rodu.

— Ani rodu, ni braterstwa niema na wojnie — począł wojewoda — jeno jest rozkaz i posłuszeństwo.

— Ziemianin i na wojnie ziemianinem być nie przestaje — odparł Ogon.

Z za niego jeden z Nałęczów, nieopatrzny, krzyknął:

— Wiedz ty, Wincz!... że choć wojewodą jesteś, jak nas zdradzisz, tak, jakoś króla zdradził, to ci łeb utniemy!

I mieczem błysnął. Wincz swojego dobył.

— Będzie komu mnie pomścić — zawołał, na obóz niemiecki patrząc.

Okrzykiem zagłuszono go; wszyscy byli oburzeni.

— Dobrze tak! — krzyczeli ztyłu stojący. — Dobka nam było słuchać, a nie jego! W matnię nas wprowadził, na zgubę!

Rozgorzało okrutnie. Wojewodę ledwie Remisz utrzymać mógł, tak się miotał i wściekał.

Tymczasem w niemieckim obozie, postrzegłszy ten zamęt i spór, krzyżacy wstawać zaczęli, ruszać się też i dawali sobie znaki, zbliżając się powoli ku polskiemu oddziałowi.

Klimsz wskazał to swoim, wszyscy się pomiarkowali. Sam wojewoda ochłonął nieco i z Remiszem a dwoma innymi wybranymi usunął się do namiotu.

Reszta ich w oczekiwaniu rozłożyła się dokoła, siadając i kładąc się na ziemi.

Z namiotu słyhać było głosy podniesione, gorące, ale mało co kto z urywanych wyrazów mógł dosłyszeć; ziemianie zbliżali się, nastawiali ucha, kiwali głowami... dawali sobie znaki. Po chwili wojewoda zniżył głos, ciszej prowadzono rozmowę. Przedłużyła się ona dosyć i gdy Remisz z towarzyszami wyszedł z namiotu, w którym wojewoda pozostał, poszeptał coś swoim, którzy powstawali i dosyć kwaśni a pochmurni, rozchodzić się zaczęli.

Jaki był skutek rozmowy, wiedziało tylko kilku starszyny; innych zapewniono, że wojewoda z krzyżakami ostro się rozmówi i kraju ich bronić będzie, boć razem i siebie.

Do czasu więc pozornie uspokoiły się umysły. Remisz z kilkoma, którzy go nie odstępowali, nim doszedł do swych wozów, zobaczyli, jak wojewoda, przyodziawszy się w lepsze szaty i kilku ludzi biorąc z sobą, podążył wprost do czerwonego namiotu.

Robiło się ciemno, ale pod namiotem marszałkowskim, gdzie gości przyjmowano, jasno było. Jak gwiazdy czerwone wdali błyskały porozrzucane ogniska niemieckiego obozu. Wiatr poruszał wielką chorągwią, która jakimś głosem dziwnym się do niego odzywała, zwijając i rozciągając nad namiotem, targana jakby gorączką jakąś, która naprzód ją rwała.

Mierzonym krokiem szedł wojewoda do namiotu, a gdy mijał ludzi krzyżackich, nawet knechtów i sergentów ich, żaden mu krokiem z drogi się nie usunął i nie okazał najmniejszego uszanowania, choć znali go, że wodzem był i pachole przed nim miecz niosło. Ale co dla Niemców Polak znaczył? Uśmiechali się, spoglądając nań zukosa, jakby już spętany był i w niewoli.

Rycerstwo bardzo głośno rozprawiało pod namiotem, gdy u wniścia jego pokazał się wojewoda Wincz. Szedł za nim nieodstępny towarzysz, Petrek Kopa.

Spojrzawszy na Wincza, wszyscy krzyżacy i gra-

fy, i pielgrzymi, siedzący u stołu, zamilkli nagle. Nikt z powitaniem nie śpieszył. Dopiero zdala stojący marszałek, gdy milczenie mu oznajmiło, że coś je spowodować musiało, obrócił głowę i krokiem poważnym, jakby odniechcenia, z obowiązku przybliżył się do wojewody. Skłonił lekko głowę i na ławę u stołu nie zającą wskazał.

Ktoby nie wiedział, jakim tu okiem i sercem patrzano i przyjmowano wojewodę, z przyjęcia łatwoby się mógł domyśleć. Mierzono go oczyma nieufnemi, złemi, pogardliwemi. Odwracali się jedni, drudzy udawali zajętych rozmową cichą między sobą.

Marszałek zmuszony był sam odezwać się do Wincza:

— Z Kalisza nam przyszły wieści, że mieszczenie już się opatrzyli, co im grozi i, głupcy, bronić się myślą.

Patrzył, czekając odpowiedzi. Wojewoda milczał.

— Od króla choć niema wiadomości, ale pod Kalisz pociągnie pewnie; posłałem do niego, aby pośpieszał — rzekł Teodoryk. — A o królu waszym krakowskim wieści niema — dodał. — Uciekł w lasy.

Na wzmiankę o Łoktku zarumienił się wojewoda.

— Moim królem Jan — odparł, — tamtego już nie znam.

To mówiąc, dał znak marszałkowi, iż potrzebował mówić z nim na osobności. Teodoryk dosyć niechętnie, zawahawszy się trochę, począł iść przodem. Minęli stół, od którego oczyma za nimi pogoniono. W końcu tej jakby obszernej sali, za zasłoną, oddzielony od niej, ale zrosły z namiotem wielkim, był pokój sypialny marszałka razem z kaplicą.

Teodoryk podniósł kobierzec, którym zawieszone było przejście i wszedł pierwszy, wskazując wojewodzie, aby siedł za nim. Tu stanął i czekał milczący.

— W obozie złe chodzą wieści — począł Wincz. — Ludzie moi niepokoją się wielce. Gawiedź wasza plecie o pochodzie na Gniezno.

Wojewoda mówił to łamanym językiem; potrzeba

mu było tłumacza i wskazał na drzwi. Marszałek udzielił pozwolenia. Kopa wszedł.

— Tak jest — szybko potwierdził Petrek.—W obozie naszym wielki strach. Po drodze Nałęczę mają wioski... obawiają się wszyscy.

Marszałek ramionami ruszył i węża podkreślił, flegma go nie opuszczała.

— Juściż na Gniezno i Wielkopolskę nie pójdziemy — odezwał się obojętnie. — Król Jan nadciągnie, zechce pewnie objąć Poznań, zechce wziąć Gniezno, my się temu sprzeciwiać nie możemy, kraj to jego... królem nad nim jest, odebrać go powinien.

Wincz otarł twarz.

— Gdyby chciał Polskę tę objąć, nie potrzebuje jej niszczyć, oddamy mu ją... — rzekł — ja...

— A jeśli się grody upierać będą? — odparł Teodoryk.

Wojewoda spuścił głowę.

— Wierz mi, palatynie — począł marszałek — nie przewiduj zbyt wiele i nie trwóż się. Wojna i zdobycie bez szkód się obejść nie mogą.

— Ale myśmy sprzymierzeńcy wasi, my idziemy z wami — będziemyż patrzali na zniszczenie mienia naszego?! — zapytał Wincz.

Teodoryk w milczeniu zatarł ręce, brwi mu się w górę podniosły, usta poruszyły i skrzywiły, milczeniem mówić się zdawał.

— Na to poradzić nie mogę.

Cofnął się nieco w głąb małego namiotu.

— Palatynie, — rzekł, powoli mierząc wyrazy — król Jan i zakon potrafią wam dobrą wolę okazaną wywdzięczyć. Znajdzie się czem wynagrodzić straty, lecz dla uniknięcia ich my sobie wyprawy psować nie możemy. Tak! — ożywiając się, mówił dalej — musimy krakowskiemu królikowi wrazić strach i pokazać, że się na wojnę z nami porywać niebezpiecznie. Pójdziemy ogniem i mieczem!

— Ależ to kraj nie krakowskiego pana, ale Jana — odparł żywo wojewoda.

Marszałek postrzegł, że się wydał mimowolnie z tem, iż w polską koronę Jana niebardzo wierzył — i żywo wtrącił:

— Nie wiemy jeszcze nic... nie wiemy. Zresztą, palatynie, wasze majątkości oszczędzimy i pominąć będziemy się starali.

— Moje? — odparł wojewoda, — jabym o nie nie tyle stał, ale o innych Nałęczów, co są ze mną i burzą się.

— Burzą się — podchwycił marszałek — burzą? Dajcie ich w ręce moje, ja uspokoję!

Uśmiech szyderski towarzyszył tej obietnicy.

Po chwili zadumany wojewoda począł znowu:

— Mistrz mi obiecał...

Marszałek, który był przysiadł na posłaniu, wstał.

— Mistrz nie dowodzi wyprawą i nie odpowiada za nią — rzekł. — Po powrocie rozmówicie się z nim.

Nie siadał już i okazać się starał, jakby rozmowę tę za dokończoną uważał. Wojewoda siedział; znękany był i upokorzony.

— Wnijdźcie w położenie moje — rzekł głosem przytłumionym — proszę was, wdzięczem wam będę.

— Położenie wasze! A tak — odpowiedział Teodoryk, — rozumiem, że jest przykre, ale go ja osłodzić nie potrafię. Wszystkie jego następstwa musicie przyjąć. To było do przewidzenia.

Zmierzyli się oczyma. Oburzony chłodem, w którym przebijało się trochę szyderstwa, wojewoda wstał. Brwi ściągnął, chciałby był okazać się groźnym, nastraszyć, zaniepokoić, lecz Teodoryk patrzył na to jego podrażnienie i gniew z taką chłodną krwią, z jaką słuchał wymówek.

Wojewoda był w ich mocy.

Marszałek, nie czekając, aż wynijdzie, sam pierwszy podniósł zasłonę i powoli powrócił do swoich gości, wiodąc za sobą wojewodę jak skazańca, z wyrokiem na twarzy wypiętnowanym.

Kopa włókł się za nim.

Pozostała tu starszyna i goście, którzy oczekiwali

na powrót Teodoryka, powitali go zdala półuśmiechami.

Wincz, nie chcąc natychmiast stąd uchodzić, padł na ławę zamyślony, lecz ukryć mu było trudno, że rozmowa na osobności źle dlań wypaść musiała.

— Szkoda, panie palatynie — podniósł głos komtur toruński, który łamaną mówił polszczyzną, — żeście temu młokosowi, królewikowi z Poznania, dali ujść! Gdyby się go nam było udało wziąć... krakowski królik dałby za niego, czegobyśmy żywnie zażądali.

Wojewoda zachnął się.

— Ostrożny był — szepnął krótko.

— A w Pyzdrach — dodał komtur — gdzieśmy na pewno go się spodziewali, furta tylną się nam wysunął.

— To wasza była sprawa, nie moja — rzekł wojewoda. — Samiście tam byli.

— Jego i tę poganek żonę trzeba było w Poznaniu pochwycić — dodał komtur elbląski. — Monarchą się chrześcijańskim niby zowie, do Rzymu pielgrzymował, do Awinjonu teraz śle skargi, pobożnego udaje, a syna z poganą tego rodu bałwochwalców ożenił.

— Ochrczoną jest — wtrącił Petrek Kopa.

Komtur się rozśmiał.

— Kto kiedy z poganina chrztem zrobił chrześcijanina? — rzekł szydersko. — Chyba zaraz, oblawszy go wodą, i krwią obmyć, aby nie miał czasu wrócić do dawnych grzechów. Chrzest dobry jest tylko mieczem. Ochrczono ją, mówicie, a ja wiem, że po dziś dzień obrzędy najobrzydliwsze pogańskie potajemnie sprawuje i do lasów jeździ dębom się kłaniać, szatanowi kłuząć!

Okrzyk grozy rozszedł się pomiędzy biesiadnikami.

— Oni tu ten cały kraj mianują chrześcijańskim — mówił elbląski. — Mają niby kościoły, mnichów... ale poganie są. Wszystko to udane, kłamstwo!

Wojewoda odezwać się nie śmiał, Kopa cofnął się milczał. Marszałek nie mieszał się do rozmowy. Win-

czowi z rozkazu jego podano pigment w kubku, który on nietkniętym na stole zostawił.

Chwilę posiedziawszy, wstał z miejsca swojego, zlekka pozdrowił siedzących, którzy mu ukłonu nie oddali i wiodąc za sobą Kope, wyszedł z namiotu.

Szyderskiemi oczyma ścigano go. Milczenie trwało, dopóki się nie odalił.

— Mojem zdaniem — zamruczał komtur toruński — jabym mu nie radził wierzyć. Mieć go trzeba na oku.

— A czegoż się od niego obawiać mamy? — oparł się marszałek. — Gdyby się do krakowskiego królika chciał wrócić, miecz go czeka, bo ten nie przebacza. Na łasce naszej jest. Obożny też wie, iż jego ludzi w środek brać należy i naszymi opasywać. Był nam, jeśli nie strasznym, to niedogodnym, póki zemsta w nim nie zawrzała — a teraz! — Teodoryk urwał pogardliwie.

Niektórzy dzielili zdanie jego, inni siedzieli milczący.

Przez rozwarte wniście wielkiego namiotu widać było niebo czarne, zasiane gwiazdami i ziemię czarną, zasianą ogniskami. Z drugiej strony na tle nocy płonąła luna ogromna, poruszająca się, jakby szła i zbliżała się a goniła wojsko.

Wdali rżały konie i słyszać było pieśni pijane... kłótnie, przerywane nagle. Wiatr niekiedy od strony spustoszenia przelatywał z poselstwem śmierci, z wonią zgorzeliska i trupów.

— Jak dzień do Kalisza — odezwał się marszałek, — aby nie mieli czasu się obwarować i za długo nas tem nie strzymali.

Komturowie obrócili się do swych kompanów, wydając rozkazy; biesiadnicy szli do swoich namiotów spoczywać.

IV.

Pod Koninem nie było czasu namiotów rozwijać, wojewoda krył się od słoty pod szalasem, naprędcę z gałęzi skleconym, przysiadł sparty o ściankę jego od strony przeciwnej nawałnicy, otulony oponczą, z głową zwieszoną na piersi, nie podnosząc oczu, obawiając się spojrzeć przed siebie.

Nie ten to był człowiek, któregośmy widzieli dumnym, silnym, pewnym siebie w Pomorzanach, wyzywającym króla, gotowym walczyć ze światem całym. Była to ofiara namiętności własnych i niepocziwości ludzi. Wychudła twarz, zapadłe szczęki, powiększone boleścią oczy, patrzące dziko, drgające ręce, uszy na najmniejszy szelest drażliwe, strasznym go razem i politowania godnym czyniły. Siedział sam, opuszczony przez wszystkich, bo służba nawet zbliżała się doń z obawą, niechęcią, ze wstrętem. Prawa jego ręka, Włostek, siedział gdzieś na uboczu.

Ziemiańskie, którzy nań napadli, szukając u niego ratunku, teraz już przekonani o bezsilności jego, opuścili go zupełnie. Zemstą się odgrażano, lecz nikt się nie porywał z nią, każdy musiał myśleć o własnem ocaleniu. Od napadu na Łęczycę i Kalisz spory kawał czasu upłynął; Wielkopolska w znacznej części została zniszczona, złupiona, ogniem i mieczem obrócona w pustynię.

Ci, co szli z krzyżakami, własnymi oczyma patrzeć musieli na płonące sioła swoje, na rabunek swych dworów. Niektórzy pouchodzili z obozu, innych uchodzących krzyżacy pochwycili i wiązali.

Wszystkie najgorsze przepowiednie się ziściły. Kalisz został wzięty, za nim szerokim pasem poszła pożoga i śmierć.

Nigdy krzyżacy większego nie okazali okrucieństwa. Marszałek, który mało mówił, a wiódł bezlitośnie zastępy swe, nikogo nie opuszczając, raz tylko się odezwał:

— Niech się papieżowi skarży królik krakowski, zobaczymy, co zyszcze...

Urągano się królowi, który zdala i jakby nieśmiało szedł za zwycięskimi rabusiami. Słysząc o nim było, nie ukazywał się nigdzie.

Pomimo siły swej i zwycięstw, których żadne niepowodzenie nie zatrzymało, krzyżacy byli niespokojni. To widmo króla, chodzące za nimi ciągle, niepochwyczone i niepostrzeżone, nie dawało im usypiać na zgliszczach.

Polski oddział wojewody zdawał się iść z nimi poto tylko, aby patrzył na zniszczenie ziemi swojej. Wlekli się opasani, jak niewolnicy bezsilni.

Wojewoda napróżno wołał i prosił litości, płakał łzami krwawymi; marszałek słuchał go obojętny, a wkońcu i słuchać przestał. Odmawiał mu rozmowy, posyłał do niego podwładnych. Zbywano go czasem słowem lodowatym, niekiedy urągówiskiem.

Zdrajca, od którego odwracali się wszyscy, pokutował, piekło nosząc w piersi i dręcząc się, jak potępieniec. Nie było dlań ratunku, każdy dzień, każda łupież i zniszczenie nowe spadały brzemieniem coraz cięższem na obarczone sumienie starca.

Widok zemsty tej, którą wiódł z sobą na posiadłości Łoktkowe, już go nie rzeźwił i nie pocieszał. Uczucie to dawno było nasycone i zgasłe. Przed nim przeszłość stała tak straszna, że śmierć wydawała mu się wyzwoleniem.

W małych potyczkach, przy braniu miast, które się broniły, wojewoda rzucał się, jak szalony, w wir walczących, narażał na strzały, szukał śmierci i znaleźć jej nie mógł. Inna mu była przeznaczoną i taka może, na jaką zasłużył.

W obozie pod Koninem już miara goryczy, jaką mógł wypić człowiek, zdawała się wypełnioną. Wojewoda czuł, że dłużej patrzeć na tę rzeź nie potrafi. Mówiono do niego — nie słyszał; zatopiony w sobie, szukał sposobu tylko, jakimby koniec swój przyśpieszyć.

Wieczór był późny, noc się zbliżała, pod szalasem wojewody ciemno się robiło, ze służby jego nikt nie

przychodził; siedziała opodal, tuląc się od deszczu, pod wozami.

W początku, gdy obóz rozbijano, czeladź chciała mu posłużyć, pytała o rozkazy; raz i drugi wojewoda ją rozpędził. Siedział więc teraz samotny, znieczulony, obojętny, jakiś półsenny, półmartwy, zbolały.

Tymczasem Włostek, który miał nad nim litość, nie pytając już o rozkazy, o kilka kroków kazał namiot rozbić, łoże posłać i nocleg przygotować.

Ze wszystkich, co byli przy wojewodzie, on jeden najlepiej, najdawniej go znając, najśmielszym był i gdy namiot rozpięto, zabezpieczywszy go sznurami od burzy, Włostek pod ciemny szalas wsunął się szukać pana.

Nic nie mówiąc, ujął go pod rękę. Wojewoda wstał i, nie pytając, dokąd go prowadzi, poszedł za nim. W namiocie rzucił się na pościel i oczy wlepiwszy w małą lampkę, którą Włostek zapalić kazał, pozostał bezwładny. Jedzenia odmówił, napił się trochę wody brudnej.

Porzucono go tam samym, bo nikt się już do niego nie zgłaszał, nikt i widzieć nie chciał. Ze wszystkimi zwaśniony był.

Wojewoda ze znużenia drzemać począł, lecz zaledwie sen zamykał mu oczy, jakiś przestrah je otwierał; rzucał się, oglądał, trwożył. Raz i drugi za miecz chwycił i odrzucił go precz.

Wtem zaszeleściło coś około namiotu, opłotki i zasłona się podniosła; wysoki mężczyzna, obwinięty opończą z kołnierzem stojącym, którym twarz była całkiem zakryta, ostrożnie wślizgnął się do namiotu.

Wszedł, przystanął w progu, obejrzał się i widząc wojewodę, który za miecz ręką drżącą pochwycił, — nie poruszył się tem ani uląkł, pozostał obojętnym.

Wnicz siadł na łożu.

Wniście to człowieka z zakrytą twarzą zdawało się go przestraszać. Zwolna przybyły odrzucił kołnierz, który mu krył oblicze, zdjął czapkę, na czoło nasunął ją. Wojewoda poznał Dobka Nałęczą, którego od ostat-

niej z nim rozmowy i rozbratu w Pomorzanach nie wi-
dział.

Dobek nie był z nimi. Cóż on mógł robić w krzy-
żackim obozie?

Żywy to był i straszny wyrzut — ten człowiek, któ-
ry z nim jedną nie chciał pójść drogą, a teraz przy-
chodził może urągać się jego spodleniu i upadkowi.

Dobek stał i patrzył, ale w wejrzeniu trudno było
dobadać, litość przeważała, czy wzgarda, oburzenie,
czy miłosierdzie.

Postąpił krokiem ku łożu, ręce załamał i głową za-
czął potrząsać w milczeniu.

— Czego chcesz? — krzyknął Wincz, tem przedłu-
żonem wpatrywaniem się w siebie rozgniewany. —
Czego chcesz? Głowę przyniósł pod miecz.

— A... choćby... — odparł obojętnie Dobek. — Gło-
wę stracić to nic, ale cześć stracić, imię pokalać, ród
hańbić — to gorzej!

Wojewoda milczał drżący.

— Czegom tu przyszedł? — mówił dalej. — Spy-
tać przyszedłem ciebie o rachunek. Czem ty to zapła-
cisz, do czego swoją zdradą dopomogłeś i co na twój
kark i sumienie spadło? Słuchaj!

Wojewoda chciał przerwać, Dobek nakazał mu
milczenie.

— Słuchaj! Oto masz lik twoich czynów: Łęczyca
spalona i Łęczyckie spustoszone, Kalisz wzięty. Za nim
opanowane Gniezno! słyszysz ty to? Gniezno... zamek,
kościół, grób patrona, skarbiec świętego, wszystko złu-
pione! Nakło w popiołach, Środa spalona, Pobiedziska
zrównane z ziemią, Kleck, Kostrzyń, Sieradz, Uniejów,
Warta, Szadek! A wsie, a kościoły, a klasztory, a ludz-
kich żywotów tyle, a zbiegłych tyle, co po lasach mra-
z głodu, a krwawe łzy? Mało ci tego? Syt jesteś? Nie
jeszcze? Czego ci więcej potrzeba? Mów!

Jęknął Dobek.

Co się działo, gdy on to przerywanym mówił gło-
sem, powoli, jak krople wrzącej smoły na ciało nagie,
rzucając te imiona na sumienie jego, co się działo

z Winczem, Dobek sam nie mógł zrozumieć. Oczy miał zakryte dłonią, a usta, które pozostały odsłonięte, wykrzywił ból.

Milczenie trwało długo; wojewoda nie odpowiadał nic.

— Mów — odezwał się Dobek — gdzie, dokąd ich jeszcze powiedziesz i gdzie my z żonami i dziećmi przed tobą i przed nimi chronić się mamy? Ja nie mam już domu, ni łomu, w lesie, w jamie tulę nędzę moją... srom mój, żem także Nałęcz, jako ty... bo nas ludzie palcami wytykają.

Gdy to mówił, wojewoda się zerwał na nogi — a Dobek cofnął mimowoli, sądząc, że z mieczem się nań rzuci.

Lecz Wincz spojrzał nań tylko gniewnie, ręce rozpostarł i głowę pochylił ku ziemi.

— Jeszcze się to nie skończyło, co się poczęło — rzekł głosem zdławionym. — Nie widzicie jeszcze końca, obróci się to inaczej. Z krzyżakami, z królem Janem, z mistrzem... będę mówił, teraz z rozwścieczonym żołnierzem niema sposobu. Zdziczeli, słuchać nie chcą.

Dobek kiwał głową szydersko.

— A kiedyż słuchać będą? — przerwał gniewnie — gdy jeszcze słabsi będziemy, niż dziś! Albo to są ludzie? albo to chrześcijanie? Zdaliście siebie i kraj na katy... wzięli was — nie oszczędzają nas... myślicie, że miłosierdzie mieć będą?

— Nie skończone to! nie skończone! porachujemy się! — zamruczał wojewoda. — Nie klnijcie mnie, ja krew i głowę dam, a złe to odrobię!

— Jak? Czem? — począł Dobek. — Wróćcie życie zabitym, odbudujecie miasta!... Oddacie nam cześć straconą!

— Czegóż ty chcesz ode mnie? — wrzasnął zniecierpliwiony wojewoda — czego?

— Chciałem ci tylko pokazać jedną z ofiar twoich — rzekł Dobek. — Masz ją, patrz na mnie. Ja, dzieci i wnuki przeklinać cię będziemy, ciebie, coś dla swo-

jej pychy i zemsty nas wszystkich poświęcił i kraj do zguby poprowadził. — Przeklęty bądź, szalony starcze... przeklęty!

Wincz słuchał tego wybuchu z głową spuszczoną, nie odparł słowa; odbijały się o niego te wyrazy, jak garść rzuconego piasku do żelaznej zbroi. Stał nieruchomy.

— Przyszedłem — dodał Dobek — aby kogo jeszcze czas ocalić i wyrwać z twoich rąk. Zabiorę Nałęczów, którzy warci są, aby ich ratować. Zostaniesz z miłymi krzyżakami.

Odwrócił się od niego.

— Nie waż mi się tego czynić! — krzyknął wojewoda, postępując za nim. — Zakazuję; nie wiesz, co jutro będzie, ja ich potrzebuję.

— Abyś ich zdał wszystkich Niemcom!

Wincz chciał coś mówić, rzucił obłąkanym wzrokiem i wstrzymał się.

Dobek spojrzał nań i wypadł z namiotu. Zawrócił się, trzymając zasłonę nad sobą.

— Jedyne ratunek — rzekł — chcesz? idź z nami! Wymkniemy się oddziałem z obozu i pójdziemy precz... przebojem, gdy potrzeba.

Wojewoda zmarszczył się i nogą uderzył o ziemię.

— I ja nie pójdę — i ty mi ludzi się nie waż odciągać, potrzebni będą. Powiadam ci — nie skończona sprawa. Potrafiłem zło uczynić, potrafię je naprawić, ale...

— Ale chcesz, byśmy ci teraz zawierzyli? — zaśmiał się Dobek... — Zapewne!

I opuścił namiot.

Wojewoda, który aż do progu się za nim posunął, wstrzymał się tu, zwrócił, namyśliwszy, i padł na łoże.

Po chwili zawołał Włostka, który zawsze czuwał w bliskości... kilka słów mu szepnął... i odprawił. Mimo znużenia nie mógł zmrużyć oka i oczyma szeroko otwartymi patrzył na wniknięcie do namiotu. Czekał; Włostek zjawił się po długiem oczekiwaniu.

Polecono mu było iść wślad za Dobkiem i wstrzy-

mać tych, coby z nim uchodzić chcieli. Lecz jak wojewodę niebardzo słuchano, tak i jego sługa dziś dawnego miru nie miał w wojsku.

Napróżno więc szukał Dobka i chciał dojść, gdzie się obracał; odprawiono go gburowato, nie dopuszczono do namiotów... dopiero ze dniem obiecywał się dowiedzieć, czy kto z ich oddziału nie uszedł.

Wincz, nie odpowiedziawszy na doniesienie, głowę spuścił, ręką dał znać i pozostał na łożu, ale sen mu powiek już nie kleił. Rzucił się, walczył sam ze sobą. Przekleństwa Dobka teraz dopiero skutkowały, powtarzając mu się w uszach.

Wieczorny szmer powoli ustawał w obozie, deszcz też i wiatr przeszły, niebo się nieco oczyszczać zaczęło. Cisza nocy nadchodziła.

Wojewoda pragnął spoczynku — i znaleźć go nie mógł; przerzucał się z boku na bok, wstawał, siadał, kładł się, jęczał.

Z wiadra wody, które stało w namiocie, zaczerpnął kilka razy, jakby go wewnątrz paliło.

Wtem ściany płócienne namiotu poruszyły się, jakby wiatr niemi rzucił lub nieświadoma ręka szukała wnijsścia do niego.

Wojewoda, który wiedział, ilu miał nieprzyjaciół, a po Dobku przez przekleństwo domniemywał, iż na życie jego godzić mogą, schwycił mieczyk.

Stąpienie ostrożne dało się słyszeć, zasłona uchyliła, ktoś wchodził. Wincz stanął, zerwawszy się, z mieczem w rękę.

Lecz w progu ukazała się cała okryta czarną zasłoną niewiasta, która, chwiejąc się i slaniając, wchodziła nieśmiało, a ręce podnosiła, jakby szukała i potrzebowała podpory.

Choć wojewoda twarzy jej nie mógł dojrzeć, drgnął, mrowie po nim przebiegło.

Postawą i ruchami przypominała mu żonę, Halkę jego.

Białą i wychudłą ręką zwolna podniosła część zasłony i odkryła twarz zmienioną troskami i wybladłą.

Ona to była!

Po tylu doznanym strapieniach, po walkach wewnętrznych, po tem życiu piekielnych mąk, wspomnienie, które mu to niewieście serce przynosiło, było tak odżywiającem, że na chwilę zapomniał o wszystkim.

Z rozrzewnieniem, rzuciwszy miecz, przybliżył się do niej.

— Ty tu... Halko moja!...

Przywiązana żona, posłuszna niegdyś niewiasta, której miłość dla siebie znał, zamiast rzucić się w jego objęcia — cofnęła się krok. Zdawała się mówić, by się nie zbliżał.

Upokorzony Wincz stanął.

Halka mówić nie mogła jeszcze, ręką cisnęła piersi, oddychając ciężko, przysłaniała sobie załamane oczy.

Duma nie pozwalała mu mówić więcej.

— Tak, ja, ja, przyszłam raz jeszcze do ciebie — poczęła Halka cichym głosem. — Przedarłam się tu mimo niebezpieczeństwa. Wincz... ratuj siebie i nas!

Ponuro zamruczał coś wojewoda.

— Co, wam, babom, mieszać się do spraw naszych? — odezwał się wyraźniej. — Co wy rozumiecie? Czekaście. Jeszcze nie koniec!

Błysnął oczyma i tchnął ciężko; nie wiedział, co mówić.

— Nie czekaj końca — przerwała żona; — jakież on być może? Zguba ostatnia!

Zapłakała. Wincz się burzył.

— Mówicie o ratunku! Jakież teraz może być! Wojna nie skończona. Ja tu nie mam z kim gadać. Króla Jana nie doczekali się, mistrz w Malborgu, a to głupia dzicz!

Halka obejrzała się wkoło, jakby obawiając się być podsłuchaną; załamała ręce.

— Porzuć ich — rzekła — odstęp.

— I cóż pocznę naówczas z sobą? — szydersko zawołał wojewoda. — Wybiją nas do nogi. Do kogóż się zwrócić?

Halka obejrzała się raz jeszcze.

— Do króla Władysława! — szepnęła — do naszego króla!

Wojewoda w gniewie i oburzeniu rzucił się aż w koniec namiotu.

— Ja? do niego? Miałbym się kłaniać, aby mnie nogą popchnął? Temu, który mi srom wyrządził, którego nienawidzę?... Nigdy w życiu!

Żona patrzyła nań, dając mu się wyburzyć. Znała go zapewne i wiedziała, że pierwszemu wybuchowi potrzeba było dać ostygnąć.

Wincz zrywał się i poruszał gwałtownie, sam do siebie mówiąc; ona nie odzywała się, ścigała go tylko oczyma.

— Lepiej umrzeć, lepiej zginąć! — zawołał.

— A co śmierć pomoże? — poczęła zwolna Halka. — Nazwą cię po śmierci zdrajcą, jako dziś zowią. Idąc do króla, zmażesz tę zdradę w uniesieniu popełnioną.

Wincz ponuro zadumany stał, szarpiąc kaftan na sobie.

— Nie! Nie może to być! — odparł. — Ja mojej głowy mu nie poniosę. On mi przebaczyć nie może, to darmo; w waszych tylko mózgach roić się może takie pojednanie. To nie męska rzecz... Nie! nie! Siebie znam: nie daruję mu nigdy krzywdy mej. Jego znam: on nigdy nie wróci mi łaski. Mam ginać...

Nie dokończył.

— Król przebaczy — po chwili milczenia, głosem pewnym odezwała się Halka.

Wincz wpatrzył się w nią.

— Skąd to wiesz?

— Wiem na pewno — powtórzyła — przebaczy. Wojewoda zbliżył się niespokojny.

— Mów — począł naglić, — skąd ty przybywasz? kto ci zlecił? mówisz to z siebie?

Wojewodzina myślała trochę, jakby szukała w sobie natchnienia, co powiedzieć była powinna, co zamil-

czeń; odwaga w nią wstępowała, policzki się lekko zarumieniły.

— Jadę stamtąd — rzekła, — gdzie mogłam na pewno się dowiedzieć o tem, co król myśli. Nie zlecono mi nic, bom nie wiedziała, czy się tu dostanę, lecz głową moją ręczę: przebaczył! Będziesz mu, jak byłeś radą i wodzem... zapomni, coś zgrzeszył — jedź ze mną — jedź, błagam.

Spostrzegła wahanie się męża i nalegać poczęła.

— Winczu mój! Ty wiesz, jak mi twoja cześć droga. Zaklinam cię, byś nie wiązał się z nimi. Gniew cię zaślepił, krwawo zapłaciłeś za to. Jeszcze czas, jedź ze mną... wszystko naprawim...

Nadzieja ta, niespodzianie błyskająca wojewodzie, w osłupienie go wprowadziła — walczył z sobą. Halka zbliżyła się doń i, rękę kładąc na ramieniu, łagodniejszym głosem poczęła pocichu:

— Obóz króla niedaleko, nie wiedzą o nim krzyżacy, upojeni swemi łatwemi zwycięstwami. Spili się krwią. Król za nimi goni, ściga ich, czekając chwili tylko... Jedź ze mną, noc czarna... powrócisz przede dniem...

Wincz zaledwie mógł uszom swoim wierzyć. Łoktek więc był tak blisko? Ścigał krzyżaków? nie lękał się ich i czyhał na nich? Szala mogła się przeważać?

Gdyby nie żona, której ufał, zaledwieby mu się to zdało możliwem.

Z ciekawością począł dopytywać o króla Władysława, lecz Halka, nie będąc pewną nawrócenia, miała to pomiarkowanie, iż obrotów jego zdradzić nie chciała. Była w obawie, czy się mimowolnie nie przyczyniła do jego zguby.

— Przyszłam tu po ciebie, aby cię z ich szpon wyrwać — rzekła, — chcesz ze mną do króla... jedź... nie? — pocóż ci wiedzieć o nim? Abyś ścigał? a ja bym ci go na zemstę dać miała?

Cofnęła się oburzona samą tą myślą i usta zacięła.

Wyczekawszy trochę, Halka padła przed nim na kolana i poczęła ścisnąć jego nogi.

— Słuchaj, jedź ze mną! Ja za twe życie i bezpie-

czeństwo stoje. Powrócisz cały, czy się z nim zgodzisz, czy nie. Słowo mi dali na to. Słowo królewskie święte... Jedź ze mną!

Przez myśl wojewodzie przeszło wszystko, co wycierpiał od krzyżaków, od swoich, przekleństwo Dobka, wyrzuty własnego sumienia; nagle z porywcznością taką, jakby sam siebie się obawiał, chwycił hełm i płaszcz, nic nie mówiąc. Halka żywo, jakby w nią z nadzieją nowe wstąpiło życie, poczęła mu pomagać do odziania się.

Nie potrzebowała już słowa, знаła człowieka... postanowił jechać! Serce jej biło radością niewymowną, oczy błysły łzami szczęścia.

Wojewoda z gorączkowym pośpiechem przypasywał miecz, brał i rzucał odzież; oczy jego latały po namiocie, ale nie mówił nic. Nie wołał nawet Włostka, bo i jemu zwierzać się nie chciał.

Dogorywającą lampkę zdmuchnął, podał rękę żonie. Szli już z namiotu precz... nie spytał nawet, jak się z obozu wydobyć, jak do króla dostać mieli, ufał żonie, a do stracenia nic już nie miał... nie dbał o nic!

Gdy wyszli z namiotu, Halka zawahała się trochę, szukając kogoś oczyma; dwa nieruchome cienie stały opodal trochę. Szli ku nim.

Noc była czarna; wiatr, który się uspokoił, zrywał się znowu chwilami, przelatywał, szumiąc nagle i opodał; niebo zakryły chmury, pomiędzy którymi ukazywały się gdzieś niegdzie blade gwiazdki i znikwały.

Halka szła śmiało aż do tego miejsca, w którym postrzegła stojących nieruchomo ludzi.

Jeden z nich przystąpił do niej bliżej i poznawszy, ruszył przodem, wskazując drogę. Drugi pozostał za nimi wtyle.

Wojewoda, który nie pytał o nic i dał się wieść, mijając tę postać tajemniczą, co miała im towarzyszyć, rzucił na nią okiem i zdało mu się, że poznał jednego ze swoich. Tym tylko sposobem dawało się tłumaczyć, iż Halka przez obozowisko dostała się do jego namiotu. Byli tu tacy, co jej pomagali.

Wiodący ich szedł przodem ostrożnie, mijał szalasy, a nadewszystko niedopalone ogniska, których światło zdradziłoby ich mogło. — Szli ciągle przez stany, zajęte ludźmi wojewody i nie potrzebowali przebywać krzyżackich, pomiędzy które ważyć się nie było bezpiecznem.

Pochód ten pieszo po nocy trwał dość długo, bo kilka razy wrzawa i krzyki niedalekie zmuszały ich wstrzymać się, czekać, oglądać, aby nie wpaść w ręce ciurów i hałastu, której obozy były pełne.

Tak przedarli się wkońcu na łękę, wśród której spętane konie biedniejszych ludzi pasły się pod dozorem czeladzi. Ale ta spała znużona.

Zboku stały konie i ludzie. Spodziewano się, czy nie, wojewody, lecz wierzchowiec dla niego czekał osiodłany. Halka, która dawniej nieraz w szczęśliwych czasach towarzyszyła mężowi na łowy, dosiadła pierwszego podanego jej konia, dwaj ludzie, towarzyszący im dotąd, skoczyli na siodła. W milczeniu, cicho, stępią wyruszyli od skraju obozowiska łęką, ponad rzeczułką, ku czarnej ławie lasów, stojącej wdali. Przewodnik, świadom drogi, mimo nocy wiódł z pewnością taką, jakby z zawiązanymi oczyma mógł się wtedy przedzierać.

Gdy tętent już w obozie dosłyszany być nie mógł, puszczono konie żywym kłusem.

Wojewoda, jadący obok żony z głową obwisłą na piersi, nie otwierając ust, cały w sobie zamknięty, dawał się prowadzić, nie okazując znaku życia. Halka z podniesioną twarzą, którą wiatr smagał, wdał oczyma otwartymi napróżno patrząc, jakby ciemności zwyciężyć chciała, śpieszyła, to półsłowy nagłać wiodącego, to się zwracając ku temu, który jechał za nimi. Poruszoną była, dawała rozkazy, czuła się wodzem...

W lesie stało się straszliwie ciemno i droga była prawie nie do rozpoznania. Tu już przewodnik najlepszy nie mógł nic, lecz stał za niego instynkt zwierząt; konie czuły miejsce, z którego wyszły i gdzie ich reszta pozostała. Puszczono je swobodnie.

Drożyna ciasna nie dozwalała inaczej jechać, jak gęsiego i żona puściła wojewodę przed siebie, sama zostając wtyle.

Zdawało się wojewodzie, marzącemu o tem, co się stało, niepodobieństwem, ażeby Łoktek miał się znajdować w tak niewielkiej odległości od krzyżaków. Nieograniczone zaufanie, jakie w żonie pokładał, uspokajało go. Myślał: będzie-li możliwem dotrzeć do Łoktka i nim zadnieje, powrócić niepostrzeżonemu do namiotu? Nie pytał jednak, nie mówił nic — czekał!

Wtem dało się słyszeć zdala rzenie konia, a te, na których jechali, odpowiedziały na nie wesoło. Nic jednak jeszcze widać nie było, ciemności leśne ich otaczały, a puszcza była podszyta i gęsta.

Nierychło poczuli dym w powietrzu, — to było drugie znamię zbliżania się do ludzi... U nóg ich w dole była nad rzeczką dolina, rozlegająca się szeroko, w której domyślać się było można obozu.

Jadący przodem poskoczył, szukając straży obozowej, która znalazła się tuż. Poszeptali z sobą. Stępią i pocichu posuwali się ku dolinie.

Cicho leżał obóz uśpiony napozór, lecz w istocie czuwający i jakby przyczajony. Ludzi pieszych snuło się wielu od namiotu do namiotu we zbrojach, przy mieczach, pilnujących porządku.

Nie było to owo wrzawliwe a pijane obozowisko krzyżackie, ale coś nakształt zasadzki, wyczekującej chwili sposobnej, aby się rzucić na nieprzyjaciela.

Wojewoda kapturem przysłonił twarz, jechał niepokojny, oglądając się ku Halce, która, jak tylko droga pozwoliła, zrównała się z nim, stając do jego boku.

W pośrodku plac był obszerny, obwiedziony sznurkiem; na nim duży namiot szary, przysadzisty i jak kilka grzybów z ziemi wyrosłych, trochę mniejszych po bokach.

Tu strażę chodziły gęściejsze... W namiocie wielkim przez płótno widać było światelko we wnętrzu.

Przewodnik zsiadł, a za jego przykładem zsunęła się z konia wojewodzina. Naprzeciw nim szedł już

słusznego wzrostu mężczyzna, któremu kobieta szepnęła słów parę i ciągnąc pośpiesznie za sobą męża, poszła z nim do namiotu.

Dawał z sobą czynić, co chciała; nie miał woli.

Towarzyszący im ludzie pozostali w pewnem oddaleniu.

Gdy tak czekali u drzwi namiotu, wojewodzina zbliżyła się do męża, chwyciła rękę jego i do ust ją przykładając, zawołała poruszona, głosem, w którym słychać było łkanie.

— W twoich rękach los nasz! Cześć nasza!... Życie... wszystko!

Wtem podniesiono opłotek, światło przedarło się z wnętrza i na jasnym tle wystąpiła maleńka, znana wojewodzie postać króla, który sam wychodził ku niemu do progu.

V.

Mileczący zbliżali się ku sobie: król takim, jakim był w najcięższych chwilach życia, kamienny, nieporuszony, zdrętwiały a silny; wojewoda wzburzony, niespokojny, upokorzony, roznamietniony waiką z sobą samym, niepewien, co pocznie, przybity i dumny razem.

Od jednego słowa, od brzmienia głosu zależeć mogło wszystko.

Wincz też nie śpieszył przemówić, a król patrzył nań cierpliwie i czekał. Mierzyli się oczyma. Łoktek spokojem swym zwyciężył go; wojewoda zmuszony był spuścić wzrok.

Nie mogąc doczekać się od niego słowa, bo Wincz, jak winowajca, stał z głową zwieszoną, niemy, oczów już nie śmiejąc podnieść ku niemu, król szepnął cicho, głosem, w którym brzmiała boleść mężna i nieulekciona:

— Nie tak my z sobą spotykać się byliśmy powinni, nie tak!

Z piersi Wincza wyrwało się coś niewyraźnego, jak łkanie i popłątane wyrazy, bezładne, raczej jęk bolesci i upokorzenia.

Łoktek rękę ku niemu wyciągnął.

— Przyszedłeś tu, zawierzyłeś mi, toś już uczynił krok wielki, z Bożą pomocą i reszta się dokona.

To mówiąc, począł król iść ku środkowi namiotu, skromnie i prawie ubogo, jak zwykle, urządzonego; wojewoda włókł się za nim.

Wtem podniósłszy oczy, zdala spostrzegł stojącego w rycerskiej a pańskiej postawie, lecz z łagodnym wyrazem twarzy, młodego Kazimierza — i pobladł na widok jego.

Przypomniał mu upokorzenie, on, co był zajścia całego przyczyną. W tej chwili, oblany krwią, która mu na twarz wystąpiła, wojewoda możeby się był cofnął, gdyby królewicz nie przystąpił doń z wyciągniętą ręką. Nie rzekł nic, lecz pokazał, że nie pamiętał winy i gotów ją był przebaczyć.

Wojewoda, który czuł się winnym, dobrocią obu został złamany, skłonił głowę, okazując się na wszystko gotowym, powolnym.

— Słuchaj, Wincz, — odezwał się król, gdy młody pan odstąpił nieco, nie chcąc się mieszać do początku rozmowy, której został świadkiem. — Słuchaj, Wincz, na rany Zbawiciela, na miłość dla tej korony, którą mi zdobyć i połączyć pomagałeś, na dawne twoje przywiązanie dla mnie, zaklinam cię, krok twój nieszczęśliwy napraw! My — tu wskazał na syna, — zapomniemy o wszystkim, ja ci na to przysięgam uroczyście. Ratuj nie mnie, nie nas, ale Polskę. Jam dla tej korony nie jeden raz życie niósł i dziś je dać gotów jestem. Ty jej nie gub i nie podawaj w ręce obcym!

Wincz położył rękę na piersiach i wyjęknął:

— Panie mój!

Głosu mu zabrakło.

— Widzisz, co ci złoczyńcy, z którymi sprzymierzyłeś się, czynią z nami. Doświadczyłeś już ich — mówił król. — Zniszczyli tę twoją i moją Wielkopól-

skę, stratowali ją, spustoszyli, złupili. Nikomu oni nie przebaczą — ani wam! Zgubicie kraj, zginiesz ty!

— Panie! miłosierny panie! — począł wojewoda — ach! zawiniłem... aleś ty mnie starego w samo serce ubódł, upokorzył i znieważył. Oszalałem z bólu.

— Ja? czem? — przerwał król. — Wincz, ty sam zważ i sądz! Ja sam gotówem synowi miejsca ustąpić, a tyś chciał, abym ciebie przeniósł nad niego! Przecież on, da-li Bóg utrzymać ją na skroni, będzie koronę nosił; a żeś ty przysłemu królowi rządów musiał ustąpić, byłoż to upokorzenie?

— Wojewodo! — odezwał się Kazimierz zdala głosem łagodnym — szanowałem cię i byłbym rad twych słuchał, jak ojcowskich. Żli ludzie podbechtali mnie... i oni są sprawcami niesnaski. Ja was uniewinniam...

Wtem król, pomilczawszy, dorzucił:

— Słyszysz, Wincz?... Zawdzięczymy ci oba, powracaj do nas, powracaj!

Wojewoda tchnął z głębi piersi.

— Panie — szepnął, wahając się, — jakże to dziś się da zrobić? Jam w ich rękach, niestety! Chcieć się wyrwać, wyrzeka nas do nogi, zbójcy ci... Ze mną ród mój niemal cały...

Król, przysłuchując się, powoli począł przybliżać do niego.

— Byle najmniejsze podejrzenie powzięli, tego im potrzeba — ciągnął dalej wojewoda, — osaczają nas, jak zwierza w lesie, siły nasze im nie sprostają, zginiemy wszyscy. Co komu po tem!

— Zgubić się byłoby nierozumnem — przerwał żywo Łoktek; — tego ja od was nie chcę, ani myślę na to narazić. Owszem, pozostańcie z nimi, idźcie! Nie wydawajcie się z tem wcale, co mieć będziecie w sercu i myśli. Ja ścigam ich oddawna, krok w krok dążę za nimi, bliska jest, zdaje mi się, chwila, gdy się rzucę na nich, wtedy, kiedy się mnie najmniej będą spodziewali. Jeśli nie do walnej bitwy, której ja im wydawać nie myślę, przyjdzie do rzezi i pomsty! Gdy zawrę... naówczas ty bądź wpogotowiu; napadnijcie na nich wraz ze mną

z drugiej strony, a sprawim im łaźnię, iż noga ich nie ujdzie stąd. Zapłacą za krew ziemian moich i chłopków!

Król, mówiąc to, zadrgał cały.

— Zapłacą! — powtórzył zimno i dobitnie — zapłacą!

Wojewoda podniósł powoli oczy, w króla się wpatrzył i głową dał znak przyzwolenia na myśl jego. Łoktek mówił dalej:

— Chcieli mnie zniszczeniem ziemi mojej przerazić i odstraszyć, okrucieństwem zmusić, abym im oddał na pastwę Pomorze z czemś więcej jeszcze i pokłonił się... ale nie dopną, czego chcieli. Ząb za ząb, będę i ja okrutnym, nie przebaczymy ani płaszczom białym, ani złotym łańcuchom, ani panom gościom, co na nas, chrześcijan, jak na łowy, przyjeżdżają.

Król wstrząsnął się cały, lecz natychmiast ostygając począł.

— Chwila bliska — mówił dalej Łoktek, patrząc na wojewodę zdumionego i jakby niedowierzającego. — Ufam w Bogu moim; nie może on dopuścić, aby się bezkarnie pastwiono nad narodem chrześcijańskim. Pomścimy krzywdy nasze, a tych żołdaków zgnieciem. Nie będziesz czekał długo, pewien jestem. Padnę na nich, gdy o mnie wiedzieć nie będą, ani się spodziewać; ale ty, wojewodo, pomocą mi być musisz... w ich krwi zmażesz winę twoją.

Król zamilkł, wyciągając go na odpowiedź.

— Miłościwy panie — począł Wincz, — bodaj się wasze ziściło proroctwo.. niech się stanie, jakoś rzekł. Lecz lękam się ich przemocy; na rozdzielonych trzeba wpaść. Liczbą i zbroją przemagają nad nami. Jak tu się porwać na te kłody żelazne chodzące, od których nasze strzały odpadają bezsilne?... A tyle ich zwlokło się tu na łupieżel.

— Nie frasuj się — odparł król, — wybrać godzinę — moja rzecz. Upatrzę ją, ale na główny oddział muszę się kusić, aby najdostojniejsi dowódcy głowy położyli... po ciurach mi nic... Ściągnę ich łatwo. Kom-

turów i grafów ich łaknę — i będę ich miał... Oni sami nauczyli mnie, że bez szpiegów wojny niema. Znajdę ich w obozie, snuję się koło niego, idę za nim... Patrzę i z oka ich nie spuszczę. Ty czekaj, gdy ja pocznę, a posłyszysz surmy nasze... rzuć się na obrzydłych siepaczy, życia nie darować nikomu! U mnie też garść jest żołnierza, który ich niemieckiemu nie ustąpi i tak okuty, a dzielniejszy, obrotniejszy... Mam też Węgrów, co i Czechom nie zejda z pola.

Uśmiechnął się król.

— Chwilę tylko muszę wypatrzeć.

Łoktek, dokończywszy, patrzył jeszcze na milczącego. Obie ręce swe silne, żyłaste, namulone, wyciągnął ku niemu.

— Dajże mi słowo, Wincz, mnie i synowi.

Tu Kazimierz się zbliżył, rękę wyciągając także.

— Wojewodo — rzekł, — zapomnijże uraz i wróć do nas. Uratujemy Polskę... pomóż nam do tego... prosimy cię oba!

Wojewoda był poruszony, nisko skłonił głowę, obie ręce skrzyżował na piersiach.

— Uczynię, jak rozkazujecie — rzekł krótko, — uczynię, tak mi dopomóż, Boże! Zawiniłem, przebaczyliście krewkości mej, niech Bóg wam to płaci... Jam wasz... wasz!...

Czuć było rozrzewnienie w mowie. Złożył palce dwóch rąk nakrzyż, wyciągnął je i jak znak krzyża ucałował, składając nań przysięgę.

— Tak mi pomóż i zbaw, Boże!

Król wziął ze stołu stojący krzyżyk i okazując go, zawołał podniesionym głosem:

— Wincz, znasz mnie nie od dziś! Ja ci też poprzysięgam przebaczenie i łaskę moją zapewniam. Włos ci nie spadnie z głowy. Uratujesz koronę tę. Z tobą ja ich pokonam, wypędzę i krwawo zapiszę swój powrót.

Kazimierz przystąpił też żywo i zaczął ścisnąć wojewodę, który mu do nóg się pochylił.

Gdy w ten sposób umowa uroczyście zawartą została, król, korzystając z czasu, żywo rozpytywać po-

czął o siły krzyżaków, o dalsze ich zamiary, dokąd ciągnąć myśleli: czy się mieli znów ku Kaliszowi zawrócić? Wojewoda w niewielu rzeczach mógł króla objaśnić, bo to wiedział tylko, na co patrzył, a zresztą Niemcy się przed nim taili i milczeli.

Miedzy Wielkopolanami a Niemcami, chociaż razem szli, coraz mniej było porozumienia i zgody. Wojna, w której oni często napastowanych i krzywdzonych braci swych bronić usiłowali, coraz bardziej obie strony rozjätrzała. Musiano czasami rozsuwać obozowiska, aby nie przychodziło do krwawych zająć. Gorącej krwi Nałęcz często się burzyli, dobywając kordów, a Niemcy, ufni w swą siłę, nacierali na nich kupami i starszyzna wdawać się musiała, tak ich trudno było rozzerwać.

Nie jeden trup legł potem w nocy z rozplataną głową i znalazł się nad ranem pod polskimi lub niemieckimi namioty, a strażę go ze dniem za nogi wywlekać musiały, aby nie widzieli wszyscy... Znikali ludzie, a nienawiść rosła.

Marszałek, wedle opowiadania wojewody, coraz mniej miał dla niego względów, przyjmował go chłodno, nie zapraszał nigdy, a gdy się wśród uczty zjawił, okazywano mu, nie kryjąc się, jak go sobie wazono mało. Ile razy wojewoda rozpytywał o pochod dalszy lub chciał obronić swą ziemię od najazdu, zbywano go szyderstwami i ogólnikami. Nie zwierzano mu nic i nie słuchano w niczem.

Król słuchał tych skarg z pociechą wielką, widząc w nich, iż Wielkopolanie w duchu byli przygotowani do odstąpienia krzyżaków. Skinienia tylko na to było potrzeba.

Wojewoda, który tejże nocy musiał do obozu powracać, zabrał się żegnać króla i królewicza, nie tak, jak ich witał, z obawą, ale po staremu, do kolan im się zginając. Król ścisnął go, Kazimierz z uśmiechem ręce wyciągnął. Wiedli go tak ku wyjściu.

— Nie zrywaj się sam — dodał Łoktek, — nie wydawaj się z niczem, czekaj, aż na nich uderzę, a posły-

szysz surmy moje... Znasz je, bo cię nieraz do boju wzywały. Nie grają one łagodnie... krzyczą, bo zemsty wołają! Marszałkowi kłaniaj się do chwili ostatniej, aby ci ufał... Nie będziesz już czekał długo, mam ufność w Bogu, niech On cię szczęśliwie prowadzi.

Wojewoda wyszedł z namiotu, czując się uspokojonym, odrodzonym, oczyszczonym, innym wcale, niż tu wchodził. Powietrze do oddychania zdało mu się lżejszem.

O krok od progu czekała nań niespokojna żona; podszedł ku niej i, objawszy rękami, całować począł z rozrzewnieniem wdzięcznem.

— Bóg płąć! — szepnęła. — Tobiem to winien, wierzna moja, pocziwa Halko! Stało się, jakoś ty u Boga wymodliła i dobrze się stało!

— Wracasz tam? — zapytała wojewodzina, widząc, że chciał iść i oczyma koni szukał.

— Muszę natychmiast — rzekł krótko wojewoda. — Mam rozkazanie pańskie i tam najpotrzebniejszy jestem.

— A ja? — zapytała nieśmiało żona.

Wincz ręce opuścił, zamyślił się.

— Nie, teraz do naszego obozu wziąć cię nie mogę. Do domu wracać niebezpieczno... któż wie, jakiej zemsty i kto na mnie szukać zechce? Musisz tu zostać...

— Do klasztoru? — spytała Halka.

— Alboż ci psi klasztory szanują? — wyrwało się wojewodzie. — Nie, zostań, gdzieś była; połączymy się wkrótce, król ci opiekę da.

Król opiekował się tobą? — spytał wkońcu.

— Wielu było dla mnie pomocą — odparła wojewodzina, — a najlepszym przyjacielem Florjan Szary z Surdegi, ten, co ma moją powinowatą za sobą.

— Szary? Ten u mnie bodaj w Pomorzanach od Hebdy posłem był? Tak-li? nie mówił on o tem?

— On jest, on!

Wojewoda obejrzał się.

— Gdzież go szukać? — rzekł.

Wojewodzina zwróciła się, czując, że ten opiekun

niedaleko być musiał, bo on ją z jednym z Nałęczów do męża wodził.

W istocie Florjan stał o kroków kilka. Wincz podszedł ku niemu, gdy go wskazała.

— Żonę wam w opiekę oddaję — odezwał się, rękę doń wyciągając. — Bóg da, kiedyś wszystko dobro odwdzięczę.

Florjan skłonił głowę, dając znać, że przyjmuje, co mu powierzono.

— O wdzięczności to tam niema co mówić — odparł rażno. — Czyni się, co człowiek powinien, nie dla niej, a dla miłości Bożej i ludzi. Nie troskajcie się o panią waszą. Strzec jej będziemy, ale teraz chcieć być u siebie, pod namiotem, nim Niemcy się pobudzą, jedźmy. Śpieszyć trzeba!

Żona rzuciła się Winczowi na szyję i tak długo trzymała go w uścisku, aż się z niego na ponowne napomnienie Florjana sam wyrwać musiał.

Natychmiast we trzech siedli na świeże konie i kłusem popędzili ku lasowi. Nocy jeszcze stało dosyć na przebycie drogi przed porankiem, lecz do obozu ostrożnie się zbliżać było potrzeba, ażeby Niemcy wycieczki tej nie wyspiegowali.

Szło teraz wojewodzie o to, aby najmniejszego nie ściągać podejrzenia. Mściwy człek równie pragnął się odpłacić za lekceważenie i pogardę krzyżakom, jak wprzód na królu chciał mścić się upokorzenia swego. Dusza mu się radowała na tę myśl, iż dumnych mnichów rzezać i gnieść będzie bez litości. Dla króla, który się tak łaskawym dlań okazał i przyjął go, jak marnotrawnego syna, z miłością ojcowską — wdzięcznością pałał... Nie upokorzył go on, nie poniżył, przytulił, owszem. Wszystko więc zatrzeć się mogło, a Dobek zuchwały miał się przekonać, że wojewoda Nałęczów nie zgubił i nie zbezcześcił. Znowu przyszłość lepsza uśmiechała się wojewodzie, ale ciężkie jeszcze przejść musiał koleje, nimby się dobił do celu.

W tych myślach, milcząc, przejechał ze swymi to-

warzyszami las. Wyjechali na równinę, wśród której zdala pod miastem obóz się rozpościerał.

Noc była jeszcze, lecz od strony wschodu niebo zaczynało przybierać tę barwę płową, która poprzedza świtanie. W dolinie ognisk jeszcze widać nie było, ruchu nie słyhać, konie pały się na łące, a ciury nade dniem spały mocniej jeszcze, tak, że przejeżdżający minęli ich niepostrzeżeni. Szary zatrzymał się tu i wojewodę pożegnał. Dalej nie był mu już potrzebnym.

— Pomnij, przyjacielu, com ci zwierzył — szepnął Wincz.

— Spokojni bądźcie, to sprawa sumienia — rzekł, zawracając, Florjan.

Wjazd do obozu, skutkiem pośpiechu i nieuwagi, nie obszedł się bez wypadku. Wojewoda, zapędziwszy się trochę za daleko na prawo, zamiast wprost wjechać między swoich, znalazł się wśród krzyżackich namiotów. Straże około nich ospałe krążyły. Poskoczył zaraz Niemiec i za uzdy konia mu pochwycił.

— *Wer da?*

Towarzysz wojewody i on sam poczęli po polsku łajać, co sprawę pogorszyło. Wszczęła się wrzawa, wojewody znać nie chciano; Niemiec uzdy konia jego nie puszczał i z mieczem się nań porywał. W namiotach pobudzili się inni i przybiegli. Otoczono ich kołem.

Cały niemal obóz zrywał się zatrwożony, a marszałek Teodoryk, który przede dniem wstawał i już we zbroi był, nadbiegł z dwoma swymi kompanami.

Wojewoda zdala już począł doń wołać z wymówkami i skargą na jego strażę, że znać nie chcieli, kto był. Na twarzy Teodoryka widać było pewne zdumienie i nieufność.

— A gdzieżecie po nocy bywali? — odezwał się.

— Obóz mój przecież musiałem obejrzeć, aby się nieporządki nie działy. Ludzi mi co noc ubijają.

Marszałek podjechał ku niemu. Zaczynało dzień zwolna; wpatrywał się w wojewodę, marszczył brwi.

Podjechali tak razem ku przodowi obozu, gdzie namiot stał czerwony i ludzie się już kręcili, a ogniska

zapalały. Marszałek to milczał, to patrzył z natężeniem na Wincza i na konia jego, po którym można było poznać, iż nie małą objazdkę około obozu odbył, ale był zhasany dość długim biegiem.

Przed namiotem zsiadłszy, Teodoryk zaprosił do siebie wojewodę, który konia oddał i razem z nim wszedł do pustej teraz sali, w której widać było tylko stół wczorajszy z obrusem pomiętym i zastawionymi na nim kuflami. Marszałek, względniejszy niż zwykle, wprowadził wojewodę do swej sypialni.

Tu jeszcze płonęła lampka nocna przed obrazem złocistym Matki Boskiej.

Usiedli.

— Musieliście poza obóz robić wycieczkę? — spytał, bystro nań spoglądając, marszałek, — bo koń wasz dobrze był zmęczony...

Wojewoda ramionami poruszył.

— Tak jest — rzekł — nie mylicie się. Od wczoraj niespokojny byłem. Doniesiono mi o królu krakowskim w bliskości, a jeżeli kto, to ja lękam się napaści jego niespodzianej.

— I mnie o nim donoszono — przerwał żywo Teodoryk; — wiecie co więcej?

— Chciałem się lepiej wywiedzieć i rozpytać — mówił Wincz. — Wasi Niemcy z naszym ludem rady sobie nie dadzą i z nich język niedobry. Napłoszą chłopca, to im prawi, co ślina do ust przyniesie.

— Cóżście się dowiedzieli? — coraz niespokojniej badał Teodoryk.

— Przynajmniej wiem na pewno — dokończył wojewoda — że tak prędko się niema czego obawiać. Łokieć, zasłyszawszy o waszej sile, rzucił się w stronę i ruszył w lasy. O wydaniu bitwy ani myśli.

Z wlepionemi w mówiącego oczyma, jakby był chciał zbadać do głębi duszy, słuchał Teodoryk. Wincz spokojnie i powoli ciągnął dalej:

— Obawy niema żadnej, dlatego też jeździł aż do znanej mi osady w lesie, abym języka dostał.

— Ja — przerwał Teodoryk — radbym się wreszcie

spotkał z nim — i pobił go, a gdyby się udało, obu wziął, bo słyszę i syn z nim jest razem.

Wincz głową poruszył.

— Czy syn jest z nim, nie wiem — rzekł — ale że w bitwie nie będzie, to pewna. Choćby on chciał, ojciec go nie puści; osłania go i strzeże, bo to jedyna nadzieja rodu.

Marszałek przeszedł się po namiocie.

— W którą stronę udał się król? — zapytał.

— Ludzie dobrze nie wiedzą, bo on ostrożny jest — mówił Wincz, — lecz z pewnością zdala od nas trzymać się będzie. Siłę ma za małą, mierzyć się z wami nie chce.

— Dlatego jabym właśnie rad się z nim spotkać — zakończył marszałek.

Rozmowa przerwana została wejściem komtura elbląskiego, który zukosa na wojewodę spojrzawszy, coś szepnął Teodorykowi i oddalił się.

— Na waszych niesfornych ludzi są skargi nieustanne — odezwał się po wyjściu jego marszałek.

— Ja też skarżyłbym się powinien, ale że próżno pono domagać się u was sprawiedliwości, milczę — rzekł wojewoda. — Obchodźcie się z nami gorzej, jak z najemnikami.

Teodoryk zwrócił się doń, słuchał, wpatrując się znów pilno.

— Z obu stron nam trudno — rzekł — utrzymać ład między żołnierzem, co dawniej bić się był nawykł z tymi, z którymi dziś idzie razem.

Wojewoda westchnął i wstał, pokłonił się Teodorykowi, który długo za nim patrzył — i wyszedł.

W chwilę potem komtur elbląski powrócił powołany.

— Nocą jeździł za obóz — rzekł marszałek żywo — powiada, że śledził obroty Łoktka. że języka szukał. Rzeczą podejrzaną...

Komtur nie zdawał się dzielić tego przekonania i pogardliwie dodał:

— Nie może nic, choćby chciał.

— Zbiec mi z ludźmi i skryć się w lasy gotów — odezwał się Teodoryk. — On, jak on, ale jego żołnierz szemrze, kłótnie nieustanne, wiem, że zburzeni są bardzo.

— W najgorszym razie — odparł komtur — jeśli się ruszą, otoczymy ich i łatwo się pozbędziem.

Marszałek głową począł okazywać, iż tego nie chciał.

— Wy wiecie — rzekł, — króla Jana musimy poszanować i nie narażać mu się. Znacie go: ma rycerskie swe fantazje, nie lubi, gdy naraz wiele ludzi pada ofiarą. Pamiętacie, jak wam kilka tysięcy pogan chrzcić kazał, gdyśmy ich w pień wyciąć chcieli. Zowie się królem polskim; gdybyśmy ten oddział, co się niby wojskiem zowie, byli zmuszeni...

— A! — odparł elbląski — znacie króla Jana i mówicie to? W najgorszym razie ofiarą grzywien zgodębyśmy przywrócili.

— I grzywien szkoda — odezwał się marszałek — musimy wykupić Pomorze, opłacać najemnego żołnierza, żywić i obdarzać gości.

— Skarbiec zakonu, dzięki Bogu, niepróżny — dodał komtur.

— Na wojewodę każcie mieć oko — począł pochwili Teodoryk. — Nie wierzę, źle z oczów tego człowieka patrzy, a z tego, co zyskał, rad być nie może. Zlećcie obożnym, aby ich zawsze w pośrodek brali — zakończył marszałek — bezpieczniej tak będzie.

Rozeszli się, gdyż dzień poczynął być wielki.

Wojewoda w namiocie swym rzucił się na posłanie i choć głowę mu oplótły myśli ciężkie, mimowoli usnął twardo.

Krzyżacy nie ruszali dnia tego, bo i nie wiedzieli, gdzie się zwrócić, splondrowawszy już znaczną przestrzeń kraju. Celem ich teraz było króla, o którym slyszeli, ciągle, o którym im to tu, to owdzie opowiadano, spotkać i w walnej bitwie pokonać. Szukali go, znaleźć nie mogąc, a czując, że szedł za nimi. Gdy o nim

oznajmiono, zwracali się na wskazane okolice i zastawali tylko ślady obozu z pogasłemi ogniskami.

Dzień ten cały zszedł na wysyłaniu oddziałów w różne strony na zwiady, na wycieczki po wsiach, które jeszcze ocalały.

Szalał najemnik krzyżacki w tak nielitościwy i barbarzyński sposób, iż historia zapisała tę wyprawę ich na nieszczęśliwą ziemię naszą krwawemi głoskami.

Gdy komtur elbląski przy zdobyciu Sieradza wchodził do miasta i wedle obyczaju nie przepuszczano nikomu, przeor zakonu dominikanów, który wprzód w Elblągu był i znał dobrze niecnego Hermana, padł na kolana przed nim, błagając go, aby niewinnych ludzi mordować nie kazał, ocalił od grabieży kościół i klasztor, dokąd ludzi się wielu pod opiekę krzyża tuliło.

— Oszczędź domy Boże! — wołał ze łzami.

Komtur z konia spojrzał szyderezo na biednego mnicha i urągając mu się, krzyknął zepsutym językiem Prusaków:

— *Ne prest!* (nie rozumiem).

Wpadli potem na kościół i klasztor, który, poczynając od ołtarzy, złupili ze szczerem, dominikanów w kościele odarto ze sukien do naga, kobiety i mężczyzn poobnażano, zabijano, pastwiono się.

Komtur patrzył na to, nie hamując wcale tłuszczy swej.

Można sobie wystawić, co się działo naówczas z oddziałem polskim, który na to patrzeć musiał i być tych zbrodni niejako współwinowajcą.

Z każdym też dniem rosła w Nałęczach nienawiść do krzyżaków i do wojewody, który ich wydał w tę ręce, niewinną krwią skalane.

Wincz potrzebował choć iskierkę nadziei dać swoim, aby mu się nie rozbiegali, gdyż liczba zmniejszała się codzień.

Myślał, w jaki sposób mógł to uczynić, gdy zbudziwszy się ze snu, ujrzał przed sobą Włostka, oznaj-

mującego mu z obawą i wahaniem, że Dobka w obozie ujęto.

Nic lepiej na rękę nie mogło przypaść wojewodzie.

— Przywieść go do mnie — rzekł, — a niech ludzie bardzo o tem nie głoszą.

Z dumą i obojętnością na los, jaki go mógł spotkać, Dobek, przyprowadzony do namiotu, wszedł i stanął milczący. Po wczorajszej rozmowie wieczornej mówić już nie miał co.

Gruchnęła wieść po obozie, że Dobka pochwyciono, gdy ludzi do ucieczki namawiał. Wielu przyjaciół jego kupić się zaczęło groźnie, lękając jakiegoś sądu i — okrucieństwa.

Mrucząc, stali długą gromadą u namiotu, u którego Włostek odprawiał straż, nikogo nie chcąc dopuścić.

Co chwila spodziewano się końca rozmowie i ukazania się gniewnego wojewody. Tymczasem Dobek pozostał z nim razem tak długo, iż przyjaciele jego, wkońcu znużeni oczekiwaniem, rozchodzić się zaczęli.

Późno już nad wieczór Dobek pokazał się znowu, swobodny, pomiędzy swymi. Spojrzeli nań; milczący był, lecz spokojny i niemal wesół. Ci, którzy mieli ochotę razem z nim uchodzić, otoczyli go, naciskając.

— Wiecie co? — odparł im — zamiast co wy ze mnąbyście iść mieli, namyśliłem się — zostanę z wami. Poczekamy. Mnie się zda, że tu dożyjemy lepszego czasu.

Zdumieni patrzali nań; pomrugiwał jednym okiem.

— Już to wierzajcie mi — dodał, — że ja na plewę się nie dam wziąć. Trzeba do czasu znosić tu biedę i upokorzenie, aby się nam one sowicie opłaciły.

Rękę na piersiach położył.

— Zawierzcie mi — będzie lepiej. Czekać — ha! Ja z wami. Macie zakładnika.

Chcieli go dopytywać, zamknął im usta.

— Gdy pora przyjdzie, będę gadał — rzekł — teraz nie czas.

I na tem się skończyło. Nałęcz zbiegać przestali.

VI.

Szły zastępy krzyżackie po Kujawach, jak błędne, szukając, coby jeszcze łupić i palić mogły.

Dawano im znać o Łoktku to zboku, to za nimi, to wpobliżu — to koło Radziejowa, to koło Brześcia.

Dwudziestego szóstego września, jesiennym wieczorem nadciągnął mistrz znużony i wojsko ociężałe pod Blewo, małą osadę, królewszczyznę, którą też Płowcami zwano, bo wieść niosła, że tam niegdyś Połowców, w niewolę pobranych, osadzono na królewskiej ziemi. Z jeńców tych znaczniejsza część zbiegła i kilka chat zaledwie leżało na równinie nagiej.

Marszałek Teodoryk, bacząc, że tu się wszystkie oddziały wygodnie położyć mogą, kazał przy Blewie obóz rozkładać.

Mila była tylko od miasteczka Radziejowa, gdzieby jego ludzie woleli byli stać, aby i osadę zaskoczyć, i znaleźć lepszy przytułek. Tu w dzikim polu, gdzie nigdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tylu koni — szemrano na niewygodne legowisko.

Lecz z Teodorykiem się spierać nawet wielki komtur nie śmiał.

Zygard, komtur koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, syknął, obejrzawszy się, i do marszałka pobiegł konno.

— Mamyż tu noc spędzić na tej pustyni, w nizinie mokrej... gdzie ani dobrej paszy, ani wody niema?...

— Staniemy tu; każcie rozbijać namioty — odparł marszałek zachmurzony. — Mam powody, dla których zebrać tu muszę nasze siły. Czekam Ottona z Luterberga i tych, co na Brześć poszli; nie trzeba się rozpraszać. Chociaż mi wojewoda ręczy, że król daleko i że o nas nie myśli, a uchodzi — ja niezupełnie temu wierzę. Oddziały nasze porozdzielane. Tu się zgromadzić potrzeba.

Marszałek spojrzał na mówiącego i wejrzeniem tem pokazał mu, że rozkaz nie może być zmieniony.

Zygard zamilkł.

— Zdaje mi się, że obawa co do króla krakowskiego próżna — odparł cicho, pomilczawszy. — Radby uniknąć spotkania, to jawna rzecz, a musi wiedzieć, że i król Jan nareszcie ciągnie, aby Poznań opanować. Nasi bracia pomęczeni, a tu im stać nie będzie spoczynkiem.

Teodoryk ramionami obojętnie poruszył i powtórzył:

— Dajcie rozkaz, aby się tu oddziały ściągały.

Nie mogło być już sporu o to; Zygard konia zawrócił i pojechał zwolna do swoich braci, którzy przemrali, jak on, na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nawet chróstu na ogniska nie mogącej im dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnemi zagony po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotąd nie spotykająca nieprzyjaciela, przestała już wierzyć w niego.

Opośdał trochę od wielkiego namiotu, który pośpiesznie rozpinano, bijąc koły, mające go utrzymać, na koniach stali: Zygard koprzywnicki, Herman, elbląski komtur. Albert Oret gdański, kilku gości znaczniejszych komturów i kilku grafów, należących do zakonu. Składali oni kółko, nawykłe czasu tej wojny zabawiać się razem, ucztować, polować i panować nad ludźmi.

Herman elbląski szczególnie był w chwilach szaleńczego żartobliwy i do okrucieństwa umiał mieszać dowcip cyniczny. Opowiadano o jego rozmaitych wykwinnych a przemysłnych sztukach w znęcaniu się nad pogany, bo co polskie, dla krzyżaków za pogańskie stało.

Kółko to dobrych druhów było już nieco znużone łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem. Zapasy obozowe z Torunia, wzięte na wyprawę, wyczerpywały się, wino było coraz gorsze, przyprawa pigmentu coraz mniej korzenna, kuchnia coraz bardziej zaniedbana. Jesień miała poranki chłodne i dnie słotne. Kraj stał wielką wygorzałą pustynią, ludzi nawet dla zabawy nie spotykali, wszyscy więc za tem głosowali, aby z łatwem i zupełnem zwycięstwem powracać do Torunia.

Twarze większej części dostojnych tych panów zasępione były. Herman poziewał, nudziło mu się.

Przybywający Zygard, mrucząc, doniósł, iż Teodoryk upiera się stać pod tą lichą osadą.

Elbląski poruszył ramionami.

— Gonimy widmo jakieś — rzekł. — Królik ten mały nie ma najmniejszej ochoty spotkać się z naszymi włóczyniami — ani go widać, ani słyszeć. Polski nasz pan palatyn pierwszyby go zwąchał, bo się lęka dostać w jego ręce, a ten zaręcza i przysięga, iż w okolicy znowu go няма... poco my się jeszcze tu włóczymy?

Albert, komtur gdański, figura bardzo dostojna, wielkiego rodu, wielkiej dumy — obejrzał się po równinie.

— Prawda, że tu miejsca dosyć, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile my go mamy — rzekł, — ale stać w tem błocie nie jest rzeczą wielce przyjemną.

— Mistrz rzekł! — skłaniając głowę trochę szydersko, ozwał się Zygard.

— Ani ognia prędko naniecić nie będzie z czego — rzekł Albert, — ani wody czystej tu dostać.

— Niema innego sposobu, tylko — rzekł elbląski — do tej wioski, która już pusta być musi, lub za chwilę nią być powinna, ślać i kazać te chałupy rozbierać.

Wioska w istocie, widna w pewnem oddaleniu, tak wyglądała nędznie, iż ledwie się z niej opału można było spodziewać. Z wyjątkiem chaty sołtysa, reszta napół siedziała w ziemi. Oddział krzyżacki już się tam kręcił, szukając ofiar, ale ludność zbiegła wcześniej. Znaleźli dwóch starców bezsilnych, jednego w lepiance na barłogu, siedzącego na przyźbie z tą obojętnością na śmierć, jaką daje późny wiek. Zabił jednego żołdak, wbiwszy mu w serce włócznię, drugiego na płocie uwiązano rozkrzyżowanego, aby dogorywał powoli. Były to zwykłe igraszki żołdaków. Młodszy skarżyli się, że dla lepszej zabawy nie znaleźli niewiast... i dzieci.

Wieś była jak wymarła, ludzie w lesie, bydło i konie z nimi.

Kupka naszych dostojnych rycerzy stała jeszcze na małym wzgórku, czekając rozbicia namiotów, gdy w pewnem oddaleniu ukazał się polski oddział wojewody, szukając miejsca dla siebie. Był on przedmiotem ciągłego szyderstwa Niemców. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprężony pochodami, mniej karny, stawiał się inaczej, choć mu na bucie nie zbywało. Wedle pojęć niemieckich, nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem z otoczeniem swem dosyć strojno i lśniaco jechał wojewoda, u boku jego Dobek i Wiostek.

Wincz, który przez czas dosyć długi miał oblicze oswiałe i smutne, teraz spoglądał raźnie, śmiało i czoło niósł do góry. Zygard to spostrzegł.

— Patrzcieno — szepnął — jak odżył Polak, upewniwszy się, że się z królem nie spotka! Dopiero od dni niewielu w oczy patrzy śmieiej.

— Nie cierpię tego człowieka — odezwał się elbląski; — nie zawinił mi nic, ale jak dla psa sam zapach i kształt kota jest drażliwy, tak dla mnie każdego Polaka; tego zaś więcej, niż innych.

Rozśmiali się inni.

— I ja ich nie znoszę — dodał gdański — barbarzyńcy są, a chrześcijan udają, wolę już Prusaków.

Wojsko polskie szło luźno, spoglądając na krzyżaków zukosa. Milczano w szeregach, lecz było to jakieś znaczące i wymowne milczenie ludzi, zmuszających się do krycia tego, co się w duszy ich działo. Milczeli — ale twarze ich mówiły; ktokolwiek z nich sądził, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty okazywał wstręt na widok Niemców, posunięty do wybuchu. Starszyczna hamowała surowemi wejrzeniami i mało znaczącemi ruchami, nakazującemi milczenie.

Nie mając nic do czynienia, krzyżacy sprawiali jakby przegląd przechodzącego oddziału. Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szeptali, pokazywali sobie palcami odartszych i mniej pozornych, u których często nie było całej zbroi i oręż bardzo lichy.

Komturowi elbląskiemu, który, twarz zawsze ukła-

dając poważną, drwić lubił — zachciało się zaczepić Wincza, który unikał wejrzenia na stojących gromadką rycerzy. Nie mógł wytrzymać i głosem tym, w którego powadze pozornej przebrzmiewało szyderstwo — zawołał:

— Pozdrawiam palatyna!

Wincz skłonił głowę bez odpowiedzi i chciał iść dalej.

— O króliku nic nie słyhać? — zagadnął Herman.

— Niema go, — odparł wojewoda — możemy spać spokojnie.

— Nigdy on nam snu nie psuł — rozśmiał się Herman, — lecz zawsze bezpiecznie jest wiedzieć, że nam nie przyjdzie dać dzień dobry.

Słowa te, wysłusowane do wojewody, usłyszał dobrze Wincz i zatrzymał się nieco. W oczach mu zaświecił ognik jakiś, błysk — niby także szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko, jak to, które marszałek wie — rzekł — nie ma się co lękać tego krakowskiego panka, to pewne; jednakże ten człeczek czasem bywał szczęśliwy, a zawsze zręczny. Nie można go lekceważyć.

— Szczególniej wy, co go lepiej znacie, nie możecie, jak my, niewiele się oń troszczyć — odparł elbląski. — Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali; uchodzić umie — to prawda.

— A w wojnie i to sztuka — odezwał się wojewoda.

— Niewiele czci przynosząca — dodał komtur gdański.

Wojewoda spojrzał dokoła i zagryzł usta.

Dotąd milczący stary rycerz zakonu, Maks von Hohlhurg, który się wsławił męstwem osobistem, mruknął jakby mimowolnie:

— Nie chciałbym ja teraz się z nim spotykać. Żołnierz dzielny i wódz przebiegły, a nasze rycerstwo znużone włóczęgą, dobywaniem miastek, prawdę rzec, i łupieżą — ociężałe jest.

Zamknięto mu wnet usta, bo nie chciano, by wojewoda to słyszał.

Wincz, którego część oddziału już przeciągnęła, powlókł się za nim.

— Co wy mówicie! — ofuknął go elbląski. — Nasz żołnierz znużony i znudzony więcej zawsze wart od ich świeżego. Nigdy i w żadnym razie on nam nie straszny! Nigdy! Patrzyliście na ten oddział wojewody; tacy oni wszyscy. Lud, jak lud, ale oni oręża, ani sztuki wojσκowej nie mają.

Maks siwą brodę pogładził.

— Nie należy — dodał — nigdy nieprzyjaciela lekceważyć.

Herman rozśmiał się i splunął.

— W jednym tylko razie straszni nam być mogą; gdyby ich dziesięć razy tyle było co nas; Litwa, Prusacy i oni tylko kupą i nawałem złamać nas potrafią.

Maks coś zamruczał, węża zakąsił, sprzeczać się nie chciał.

Dokoła powstał ruch ogromny; wbijano drągi, rozciągano sznury, ustawiano żłoby dla koni, wypręgano wozy. Oboźni biegali, każdemu pułkowi naznaczając granice. Ciury z niezbyt odległej wsi wlokły już drzewo z chatek, chróst i pozrąbywane na ognisko sprzęty.

Wtem ukazała się wśród obozu postać, która zwróciła uwagę starszyny. Był to żebrak z krzywą głową i złamanym grzbietem, który, z trudnością podnosząc nieco oczy, rozglądał się wokoło i włókł nogami, idąc z ciężkością wielką.

Skąd się on tu wziął i jak go puszczono bezkarnie, jak uszedł napaści i okrucieństwa żołnierskiego, trudno było pojąć, gdyż z sukni widać było, że do polskiego plemienia należał — a temu nie przebaczano. Kalcetwo chyba może dawało mu tak bezkarnie błdzić. Zdawał się nie lękać wcale tych obcych twarzy i mowy, i z nieświadomością niebezpieczeństwa rękę kiedy niekiedy wyciągał. Stał — szukał czegoś oczyma... zobaczył namiot czerwony, którego ściany właśnie się rozwijały, a przy nim obok wiała wetknięta w ziemię chorągiew zakonu. Skierował się w tę stronę, lecz powolnie bardzo.

— To Zbik — szepnął pocichu komtur elbląski — innyby się tu nie odważył! Służy nam!

Patrzyli nań.

Zbik, ujrzawszy marszałka, który z kompanami stał przed namiotem, podszedł ku niemu.

Jeden z towarzyszków Teodoryka, na dany przezeń znak, rzucił mu jałmużnę. Można się było domyślać zdale, iż słów kilka zamieniono pośpiesznie.

Żebak, mrużąc ciagle, głowę nosząc skrzywioną, powłókł się na miejsce puste nieopodal, klął na ziemi i z trudnością się położył.

Namioty stały tak, że pomiędzy niemi małe uliczki pozostawiano. Jedna z nich wprost wiodła do oddziału polskiego, tak, że żebrak mógł być przez nich widziany.

Ciemniało powoli, rycerze rozjeżdżali się zwolna każdy do swojego namiotu, aby zbroje złożyć i odebrać. Na żebraka nie patrzył nikt. Ciury zajęte były rozpalaniem ognia i gospodarstwem koło wozów.

Zbik, poleżawszy na ziemi, podniósł się zwolna. ostrożnie i, na kiju sparłszy, iść zaczął. Zdawało się, że błądzi, lub niedowidzi, snuł się tu i owdzie — powracał. Jakby przypadkiem znalazł się w ciasnej uliczce i w niej zniknął.

Obóz polski dnia tego leżał na skraju; stanowił on piąty oddział wojska, którego było oprócz niego cztery hufce. Wojewoda wyznaczonego sobie bagnistego gruntu nie przyjął, z oboźnymi się kłócił i nieco opodal położył, zgromiwszy ich, że w błocie ludzi kłaść nie będzie.

Mały niepoczesny namiot już był gotów, lecz wojewoda na tę noc nie z wozów zdejmować nie kazał, nie dla siebie nie znosić. Rzucono garść słomy dla niego. Niecierpliw był, ognia kłaść wzbronił, zbroi zdejmować zakazał, chodził, nie zdając się potrzebować spoczynku.

Dobek siedział tuż na siodle, z konia zdjętem, Włostek snuł się ciagle, to do namiotów zaglądając, to do ludzi swych dochodząc. Wojewoda też, w namiocie

usiedzieć nie mogąc, nieustannie podnosił ściankę u wnijscia i wyglądał.

Zbik się tu przywłókł powoli, głowę nieco podniósł, wpatrywał długo i u namiotu przystanął. Przysunął się tak blisko, iż gdy wojewoda znowu wyjrzał, oko w oko się z nim spotkał.

Znali się pewnie, gdyż ani wojewoda zbyt się nie zadziwił, zobaczywszy, ani on się uląkł groźnego oblicza pańskiego. Chwilkę milczeli.

Wincz popatrzał się wdał i dał mu znak, by wszedł do namiotu. Znalazłszy się tu, Zbik z krzywego stał się prostym i głowa na karku znalazła się w swem miejscu. Ręką się skłonił do kolan wojewodzie.

— Widział cię marszałek! — spytał Wincz.

— A jakże! — odparł Zbik — i jałmużnę mi dał; przecież ja mu służę!

To mówiąc, uśmiechnął się dziko.

— Ale komu ja służę dziś? — dodał, — albo ja wiem? Służyłem wam, kazaliście mi służyć im, co dalej, albo wiem? Wam winienem życie, was słucham.

Wlepił oczy w wojewodę.

— Marszałek pytał cię? — rzekł krótko i niecierpliwie Wincz.

— Pytał.

— Coś mu powiedział?

— Jakaście wczoraj przykazali — rzekł żebrak. — Słucham rozkazania, nie wiem komu służę.

Roześmiał się głupowato i powtórzył:

— Wam winienem życie, przysiągłem za to służyć.

Wlepił oczy w wojewodę, który pochylił się ku niemu.

— Jak daleko są? — spytał.

— Tuż, w lesie — rzekł żebrak.

— Straże postawili?

— A jakże. Nocą albo nad ranem przyjdzie mgła pewnie — mówił Zbik obojętnym głosem — człowieka o krok dojrzeć nie będzie można.

— A ty znajdziesz drogę pociemku? — spytał wojewoda.

— Ja? — rozśmiał się swym głosem cienkim i pi-skliwym żebrak. — Dokąd?

— Do nich...

— Niewielkiego na to rozumu trzeba — rzekł że-brak; — jam tu swój pomiędzy Radziejowem a Brze-ściem.

Westchnął ciężko i natychmiast oczy podnosząc, jak wierny pies, co czeka skinienia, wlepił je w wo-jewodę.

— Dokąd, panku? — spytał cicho. — Do nich? Zaraz?...

— Nocą, nie czekając dnia! Rozumiesz?

— Z czym?

Wojewoda mu się nachylił do ucha.

— Z czym? — począł żywo i niecierpliwie, poru-szając rękami. — Powiesz: teraz, albo nigdy. Teraz, jutro... Część ich odeszła do Brześcia... część nie docią-gnęła do noclegu. Ci, co są, ociążali, ospali... a nie spo-dziewają się wcale...

Zbik słuchał tych słów z uwagą wielką, powtarza-jąc je sobie pocichu, oczy wytrzeszczając, jakby czy-nił wysiłek wielki dla spamiętania wszystkiego.

Wojewoda raz jeszcze ponowił zlecenie.

— Jutro o świtaniiu...

Zbik w rękę go pocałował i żywo natychmiast skur-czył się, skrzywił, głowę przegiął, kaleką wysunął się z namiotu i znikł.

Noc nadchodziła.

Jak przepowiedział żebrak, na ziemię zaczęła się zsuwać mgła gęsta, wilgotna, przejmująca, nasycona tą wonią właściwą, którą jesienne tumany z sobą przy-łoszą, niewiadomo, z ziemi ją biorąc, czy z obłoków.

Dymy porozpalanych ogni, przyciśnięte jej cięża-rem, padały tuż ku ziemi i rozsiadały się jak szare opony nad obozem. Najmniejszy powiew wiatru nie poruszał tej atmosfery zsiadłej, mokrej, wygryzającej oczy, uciskającej oddech.

Z obozu polskiego nie widać było Niemców. Krzy-żacy nie mogli też dostrzec ludzi wojewody. Stamtąd

od żołdaków niemieckich dolatywały okrzyki zwykłe, dokoła wojewody cicho było, jak nigdy. Wszystek lud siedział jakiś zachmurzony i niespokojny.

Wojewoda szepnął coś Dobkowi, ten powstał i skierował się ku namiotom starszyny Nałęczów.

Pod jednym siedzieli: Remisz, Ogon, Żegota i wszyscy ci, których widzieliśmy już zniechęconych do wojewody. Teraz dziwna zgoda panowała w tem kółku. Z małej beczułki nalewali sobie każdy do swojego rogowego lub drewnianego, srebrnego lub mosiężnego kubka, popijali i szeptali cicho, jakby się lękali sami siebie. Gdy zobaczyli wchodzącego Dobka, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Głową dał im znak jakiś.

— Pewno? — spytał Siłacz.

— Pewno! — rzekł Dobek.

Remisz zatarł ręce, tak, jakgdyby ich do użycia natychmiast sposobił.

— Do kata! Noc dzisiejsza będzie długa! — zawołał.

— Byle się nasi nie pospali — odparł Klimsz.

— Żaden oka nie zamruży, ięczę — szepnął Remisz — toż samo, co my, czują wszyscy. Ze skóryby powyłazili, tak im pilno.

Podniósł ręce do góry.

— Boże miłosierny! Boże mocny, Boże wielki — zawołał — dajże nam dożyć chwili tej — i... i...

Nie dokończył.

— Byle król — rzekł Dobek — nie zawahał się tym razem. Bo ich już drugi raz, jak tu, nie złapiemy, a i mgła okrutna... nie zobaczą go, aż im na kark usiedzie.

Remisz zatarł znowu ręce.

— Powtórzcieno rozkazanie—odezwał się Ogon — co wojewoda mówi?

— Pogotowiu być a poczynąć, nie śpieszyć, aż król sam znak da, padając na nich.

— A jeśli we mgłę na nas padnie pierwszych? — rzekł Remisz zakłopotany.

— Nie może to być, bo wie, gdzie leżym i dlatego wojewoda w dolinie się nie chciał mieścić, choć mu tam wyznaczono.

— Tak mi, Boże, dopomóż — począł Remisz; — życiebym dał, żebym mógł komturowi elbląskiemu za sieradzki klasztor i kościół zapłacić!

Wzdrygnął się cały, milczeli inni.

Dobek spojrział na młodego, w kącie na ziemi siedzącego Nałęczu i rzekł:

— Idź od namiotu do namiotu, patrz, co robią; napominaj, by zbroi nikt się ściągnąć nie ważył, koni nie puszcząć, siodła nie zdejmować.

— Nuż podpatrzą, żeśmy tak czujni? — zapytał Ogon.

— Dziś nie zobaczą nic, pilno się im wylegać, a nie obawiają się niczego — rzekł Dobek.

Postał jednak chwilę milczący.

— Kto z was trochę szwargocze, a o Niemca się otrzeć nie boi? — zapytał.

Wstał drugi młokos, któremu się ledwie wąs sypał, syn Remisza, którego paliła gorączka okrutna.

— Ja! — rzekł.

— Idź ku namiotowi marszałka i wielkiego komtura, otwórz oczy i patrz, co robią; czy piją dobrze, czy zbroję zdjęli, czy czeladź już napita... a wracaj!

Sando chwycił hełm i wysunął się. Starsi siedzieli.

Oczekiwanie dłuży chwilę niecierpliwe. Wieczór pelzł na żółtciu... czas zdawał się nieprzeżyty. Patrzali na siebie; to jeden, to drugi wstał, przeszedł się, usiadł, zerwał znowu i wzdychał. Uchylali zasłonę, wpatrując się w ciemności.

Noc była czarna, a dla mgły gęstej o krok ginęło wszystko. W tej części obozu cisza śmierci, a dalej głucho szmery i wrzawa.

Czekano powrotu Sławka i Sanda.

Dobek spojrział na miecz swój. wiszący u pasa, dobył go i przy lampce ostrza popróbował. Drudzy, zobaczywszy to, rzucili się też do swoich.

Rzadko któremu wyrwało się słowo... szeptano niewyraźnie.

— W obozie koguty nawet nie zapieją — rzekł Remisz — a w Błewie nietylko koguta, ale i szczura niema! Jak tu człek pozna, gdy się ranek zbliży?

Pierwszy Sando powrócił, oczy mu się śmiały.

— U marszałka ucztują nazabój — rzekł. — Dopiero siedli jeść, a wypili już dosyć. Słysząc to z pieśni, bo póki trzeźwi, śpiewają pobożne, a już teraz poczęli swawolne. Za każdą przyśpiewką bucha śmiech okrutny.

Spojrzeli po sobie wszyscy.

— A u innych spokojnie? — pytał Dobek.

— Wszędzie wesoło — odparł Sando.

— Im dłużej czuwać będą, tem na dzień lepiej zasną — dodał Remisz.

Wbiegł Sławek; zwrócono się ku niemu. Ręką naprzód pokazał, że wszystko jest, jak trzeba.

— Nikt się nawet nie rozpiął — rzekł — a wszystkim tak, jak nam, pilno dnia doczekać. Siedzą po namiotach i pod wozami, jak na czatach, każdy miecz trzymając w ręku.

Uśmiechnęli się ku sobie starsi.

— Jak się wam zda? — zapytał Remisz — jest-li już północ.

— Kto go dziś wie? — rozśmiał się Ogon. — Ja z doświadczenia to znam, że dni w życiu nierówne, gdy je człek chce skrócić, to się wyciągają, a gdy przedłużyćby rad — kurczą.

Zagłądali do beczułki, aż Klimasz wylał z niej kroplę ostatnią. Remisz znalazł drugą wpogotowiu, lecz nie wszyscy godzili się, by zajrzeć do niej.

— Z mętną głową iść do boju niedobrze — odezwał się Dobek.

— Albo, albo! — sprzeciwił się Remisz. — Czasem w boju trzeźwy nadto widzi, a lepiej ślepym być...

Poczęli nalewać potrosze, do ranka było daleko.

Ten i ów dobył suchego chleba i zawiędłego mięsa, ale z rozmową nie szło; myśli wirowały około jednego: rychło-li przyjdzie ranek?

Co który odsłonił namiot, aby noc zobaczyć, to go wnet zapuszczał — ciemność była nieprzebita. Mgła gęstniała, choć ją nożem krajać.

Ciemno było i cicho. Nawet od obozu krzyżackiego nie dochodziło już nic, oprócz ruchu koni przy żłobach i szczekania psów które krzyżacy prowadzili z sobą.

Milczenie zalegało w namiocie. Oczekiwanie długie odrętwiało... lecz każdy lękał się zamrużyć oka i ci, co trochę opodał siedzieli, a mimowoli się zdrzemnęli, wstawali wnet, by się nie dać snem ująć.

To jeden, to drugi zaglądał w podwórze, nie widząc nic.

— Noc bo się chyba nigdy nie skończy! — zawołał zrozpaczony Remisz. — Jakem żyw, nawet koło Godów takiej nocki nie pamiętam... Krzyżacy ją chyba dla siebie zrobili umyślnie.

Umilkł. Wszyscy nastawili uszy, Dobek szybko odgarnął opłotek u wnijscia. Zdawa, gdzieś coś słyhać było... niby stąpanie ciężkie w chmurach miękkich, niby stłumione toczenie się po ziemi.

Nie myliło ich ucho: w głębi tej nocy ruszało się coś powolnie, ostrożnie, daleko...

Ruch ten ustawał — milknął, ginął i wznawiał się. Poruszyli się starsi.

— Sławek! po namiotach, niech nie śpią! Już coś słyhać.

Sando i Sławek wybiegli. W odsłoniętym otworze namiotu chyliły się głowy ciekawe, nasłuchując.

Głuche owo tętnienie wznawiało się, lecz ani brasku, ani świtania dnia na niebie widać nie było. Noc nie miała końca.

VII.

Dniało — lecz noc była jeszcze; z czarnych tylko ciemności zmieniły się na białe. W tej szarej oponie oko tak samo dojrzeć nic nie mogło, jak wprzód w czarnej nic nie widziało.

Dzień przychodził nie wiedzieć skąd, mgła zdawała się coraz zsiadlejszą, a chłód przejmował do kości, wilgoć oblewała wszystko — świat był mokry, jakby w wodzie zanurzony.

W polskim obozie zdawało się spać wszystko, lecz ani jedna powieka się nie zamknęła na chwilę. — Niemcy ucztowali długo i spali twardo.

Straże ich nawet posiadały na ziemi poobwijane w płaszcze i kamieniały znużeniem.

Ponad namiotem marszałka wielka chorągiew zakonu wisiała także jak uśpiona, obmokła... i znikł z niej ten krzyż, którym się urągała światu... Pokrajana w pasy czarne i białe, wydawała się żałobnym proporcem, zawieszonym nad grobem.

Wdali ciągle coś było słyhać, jakby morze zbudzone szło zalewać ziemię... i huk ten stłumiony, tak właśnie, jak fale, przestankami był przerywany.

Spali Niemcy — oprócz Teodoryka, który przed obrazem N. Panny się modlił. Dwaj kompani stali u drzwi jego. Wstał wreszcie z klęcznika i, płaszcz narzuciwszy na ramiona, szedł przez pusty wielki namiot ku wnijsciu. Ucho jego chwyciło ten szum fali... to toczenie się jakieś głucho.

Staął, wyprostował się i pobladł.

Odchylił wnijscie — słuchał i oczy mu słupem stały. Brwi mu się ściągnęły groźnie.

W tej chwili tętent powolny zaczął dochodzić tak wyraźnie, iż stojącego kompana za ramię pochwycił.

— Pobudka! — krzyknął — dzień! Śpi wszystko! Pobudkę uderzyć!...

Wśród ciszy głos marszałka rozległ się głucho i stłumiony w powietrzu, które mu iść daleko nie dało, zgaś u progu.

Kompani biegli do straży.

W dolinie rżały konie i jakby szczękały oręża — skąd? czyje? swoje czy obce?... marszałek rozeznac nie mógł. Uczuł w sercu trwogę i przeczucie jakieś — groźbę niebezpieczeństwa, w które nie wierzył dotąd.

Widmo Łoktka stało mu przed oczyma. Był niemal pewien, że on to nadciąga, korzystając z mgły i ociążałości ludzi jego, długimi po kraju bezbronnym łupieżami znużonych i wysiłonych.

— Na koń! — zawołał, chwytając za ramię w szarym płaszczu nadchodzącego półbrata krzyżackiego, Jurę — na koń i w cwał za Otfonem Luterbergiem, aby mi w pomoc pośpieszał. Polacy nadciągają!

Jurga stanął zdumiony, gdyż nikt ich nie słyszał, ani widział. Przeczuli ich Teodoryk.

Marszałek skoczył na siodło, a to było znakiem dla dwóch jego kompanów, którzy nigdy go odstępować nie mieli prawa, by, także konie porwawszy, zdążyli za nim.

Teodoryk popędził w tę stronę, z której go tętent dochodził najwyraźniej.

Dzień coraz był pozornie jaśniejszy, ale na ziemi osiadająca mgła biała nie dawała nic widzieć o kilka kroków.

Przebił się marszałek przez namioty i wozy i odważnie puścił się w dolinę. Tu stąpanie koni i chrzęst zbroi wyraźniej się słyszeć dawały, — ale napróżno wzrok wyteżał... nigdzie żadnych przednich czat dostrzec nie mógł.

Obawa o los oddziału, któryby bez niego, straciwszy wodza, łatwo mógł się rozprzęgnać, nie dozwalała mu posuwać się zbyt daleko. Zwolnił kroku.

Wtem z gęstej mgły wynurzać się zaczęło kilku jeźdźców.

Zbrojni dobrze, w hełmach żelaznych, z lekkimi włóczniami w rękach, na koniach, siatkami żelaznymi okrytych, posuwali się zwolna, napół jeszcze mgłą okryci.

Dość było widoku ich dla marszałka, aby to, co w nich jako przeczucie się objawiło, stało się dlań rzeczywistością.

Krakowski król podchodził do ich obozu!

Teodoryk zawrócił konia i pędem rzucił się nazad,

a pierwszych namiotów dopadłszy, wołać począł głosem wielkim, rozpaczliwym:

— Na koń! na koń!...

Ludzie, schwyceni wołaniem tem wśród snu, wybiegli nieodziani z namiotów, straciwszy przytomność, chwytając i rzucając, co napadli. Starszyczna, rychlej zbudzona, uwijała się wśród obozu z podniesionemi mieczami, płazując opieszale, uderzając po namiotach, rozkazując trąbić i krzycząc:

— Do broni! do koni!

Popłoch niewysłowiony w mgnieniu oka poruszył całym, przed chwilą jeszcze w głębokim śnie spoczywającym, obozem...

Nieprzyjaciela widać jeszcze nie było, lecz czuli go na karkach wszyscy.

Teodoryk, nie zsiadając z konia, biegał dokoła.

Rozkazał łańcuchami żelaznemi opasać obozowiśko swoje, które pierwsze natarcie wstrzymać mogły, by dać czas rycerstwu uzbroić się i stanąć w szeregach.

Żołnierz, który tak długo miał do czynienia z ludem bezbronnym i nabrał zuchwałości bezmiernej — chwycony niespodzianem niebezpieczeństwem, w części mu nie dowierzał, w części znalazł się wobec niego bezradnym. Odwykł od boju...

Napaść, która się gotowała w łonie tych białych ciemności, miała w sobie coś zagadkowego, niezrozumiałego, strasznego tem, że się nie dawała pochwycić, że nieprzyjaciel przychodził niepostrzeżony i nie można go było obliczyć.

W małych przestankach cichszych marszałek mógł pochwycić oddalone głosy surm polskich, przeraźliwe, dzikie a śmiałe... zdające się urągać krzyżakom. Zuchwalstwo to, z jakim król, tak długo unikający spotkania, teraz sam do niego wyzywał, było dla Teodoryka upokarzającym. Zwiastowało ono, że ostrożny Łoktek musiał być pewien siebie i swej przewagi.

Taż sama myśl odjęła męstwo komturom Hermanowi i Albertowi, ale natchnęła ich rozpaczliwym szaleństwem...

Czuli, że cześć, a może i życie stracić mieli — chcieli je przynajmniej walką okrutną okupić. Herman, co nie przebaczał nikomu, wiedział, że mu nie przebaczą... Zebraną garść prowadził ku opasującemu obozowisko łańcuchowi.

Teodoryk objeżdżał dokoła namioty i ludzi rozpierchłych stał tam, gdzie mu się pierwszy napad grozić zdawał... Domyślał się Łoktka z jednej strony, od której naprzód turkot i surmy słyszeć się dały — objeżdżając wkoło, przerażony został, widząc w innych częściach obozu przemykające z różnych stron polskie czaty.

Tu i tam surmy grały, wyzywając...

Polacy więc bezmała otaczali dokoła...

Wśród tego zamieszania, które panowało pomiędzy Niemcami, nikt ani pomyślał o polskich posiłkach wojewody. Gdyby Niemcy byli spojrzeli na tych sprzymierzeńców swoich, mogliby byli już teraz domyślać się w nich, jeśli nie zdrady, to umyślnej opieszałości.

Spoglądano ku namiotowi wojewody, który się nie ukazał. Dobek z chustą białą zawiązaną na hełmie, które sobie dla znaku pewnie poczepiali i inni Nałęcze — snuł się bliżej niemieckiego stanowiska, ciesząc się widokiem bezładu, jaki tu panował.

Szczęściem dla wojewody, czy zapomniano o nim, czy tak nań mało rachowano, czy też nie miano czasu się troszczyć o Polaków, — nie zajrzał tu nikt. Łańcuch, którym się opasywali naprędce Niemcy z rozkazu marszałka, nie objął polskiego obozu, który poza jego obrębem pozostał.

Nieprzyjaciel, dotąd zaledwie surmami zdala się oznajmujący, w chwili, gdy połowa krzyżaków nie była do boju gotową, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedne miejsca cisnąć tłumnie, drugie pozostawiając bez obrony — nagle wystąpił z za zasłon, które go kryły i wszędzie wielkim lasem włóczni runął na rycerzy, stojących u łańcucha.

Krzyżacy wytrzymywali to uderzenie pierwsze, od-

pierając je ciężkimi włóczniami swojemi — kilku jezdnych obaliło się z końmi, z jednej i z drugiej strony rozpoczęła się walka wściekła.

Teodoryk, znajdujący się w pośrodku, widział już, że był zewsząd opasany i że siłom tym, których policzyć nie mógł, oprzeć się nie potrafi.

Z trwogą pomyślał, czy posłaniec po chełmińską brać wymknąć się zdołał, czy konitur mu ją na odsiecz przyprowadzi. W tem była nadzieja cała...

Teraz dopiero, gdy już zbroje o miecze szczekać zaczęły i bój u łańcuchów wrzał zajadły, wzrok jego padł w tę stronę, gdzie stał oddział wojewody. Przypomniawszy sobie swych lekceważonych sprzymierzeńców, z radością rachował bowiem, że Wincz, ocalając głowę, bić się będzie rozpaczliwie.

Kilkadziesiąt kroków dzieliło go od tych namiotów — pobiegł ku nim... Łańcuch je od Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł opróżnione już obozowisko, powywracane szałas, poobalane wozy — i wdali wojewodę na koniu, ludzi w szeregach, jakby tylko znaku oczekujących.

Zdumiało go, że zamiast twarzami być zwróceniu ku nieprzyjacielowi, stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy, czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś, gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza z białą chustą w rękę, który wojewodzie wskazywał obóz krzyżacki.

Ziemia zatętniała i z okrzykiem dzikiej radości, z wybuchem szaleńczego oddział wojewody puścił się z tej strony, która wolną jeszcze była od napaści, na obóz krzyżaków.

Teodoryk stał chwilę zdrtwiał, patrząc na tę nową klęskę i uskoczył ku wielkiemu namiotowi.

Naprzeciw niego toczył się bój, jakiego dzisiejsze walki wyobrażenia dać nie mogą. Dwie żelazne ściany naciskały jedna na drugą, łańcuch był dawno zerwany. Polacy szli ściśnięci i opasywali broniących się z męstwem wielkim krzyżaków... Kruszyły się

włócznie o zbroje, padali rycerze na ziemię, a który z nich runął z konia i o swej sile podnieść się nie mógł, trątowano go...

Więcej padło krzyżaków zgniecionych ciężarem własnych zbroi; Polacy, lżej zbrojni, rany odnosili częstsze i więcej krwi przelewali.

Napad wojewody z tej strony, która przez niego bronioną być miała, zawyrokował o losach dnia tego... Lecz... nielatwo mieli się poddać krzyżacy. Cześć rycerska zdać się im nie pozwalała; walczyli, drogo sprzedając życie.

Taką wydawała się teraz walka ta, widziana z obozu niemieckiego. Inną wcale była z polskiej strony. Zakon ważył może najlepszego żołnierza najemnego, król na szalę rzucał życie i królestwo swe...

Lecz królem tym był osiwiwały w bojach i mękach Łoktek, umysłu nieugiętego i wielkiej wiary w przeznaczenie i opiekę Bożą. Czuł się zesłanym dla ocalenia tej korony i ziemi...

Przed dniem jeszcze wystąpił z lasów, wiedząc dobrze o położeniu nieprzyjaciela, o siłach jego, o oddaleniu się komtura chełmińskiego... Wojsko szło w cisy, osłonięte mgłami aż na kilkoro stai od obozu nieprzyjaciela. Tu król wystąpił sam, zwołując przed siebie wojewodów i chorążych, którzy go kołem otoczyli.

Blady był i wzruszony.

Dniem wprzód, z obawy o los jedynaka, zmusił go do oddalenia się z Trepką, zakazał mu uczestniczyć w tym boju śmiertelnym.

— Ostatni to może raz Pan Bóg mi dozwolił stanąć do bitwy z wami — rzekł do swoich — niechże sromu nie poniosę! Nieprzyjaciel mocen jest, ale obciążony łupami i taborem nie spodziewa się nas. Zwyciężym go!

Głos mu przerywał oddech przyśpieszony. Spojrzał na wojewodów, wołając na nich po imieniu, — chorążych do siebie pozwał, obiecując im wdzięczność swą.

— Ostatni raz ja z wami idę — powtórzył — ufajmy Bogu, a zwyciężymy...

Wszyscy się garnęli doń, przyrzekając walczyć do upadłego.

Król tego dnia wdział starą swą, doświadczoną, w mnogich miejscach pogiętą i porąbaną zbroję, hełm zawarty — bez żadnych oznak, gdyż i tak wzrost go czynił łatwym do poznania, a nieprzyjaciela nań wyzywał.

Wojewoda krakowski zaczął wraz z innymi prosić go, aby stał na uboczu, do boju się nie mieszając, a im pozwolił zetrzeć się z nieprzyjacielem, lecz żadna siła w świecie starca powstrzymać nie mogła... Rwał się w pierwsze szeregi z niecierpliwością młodzieńczą. Dodano mu do boku kilku, aby go przynajmniej osłaniali.

— Nie lękajcie się o mnie — rzekł do Hebdy — da-li Bóg zwyciężyć, będę cały; lecz jeśli nas klęska spotka, nie chcę żywym zejść z pola!

To rzekłszy, król z innymi rzucił się na obóz krzyżacki.

Łańcuchy, które go opasywały, przy pierwszym uderzeniu porwane zostały. Polskie hufce wtargnęły do obozu, mieszały się tu krzyżacy z Polakami, a gdy szeregi prysnęły, bój pojedynczy rozciągnął się aż pod namioty i w środek obozu.

Mgła długo nie dozwalała dojrzeć nic, oprócz nieustających walk konnych, pieszych, a wreszcie i leżących już na ziemi, a pasujących się i dławiących przeciwników...

Okolo pół dnia, gdy bój wrzał jeszcze ciągle, słońce przedarło się przez te opony szare i straszliwy obraz odśloniło oczom samych walczących. Pobojowisko trupami i rannymi było zasłane... wpośród nich, na nich ucierali się jeszcze krzyżacy, wiedząc, że ocalić się nie mogą, a poddać nie chcąc jeszcze.

Marszałek zagrzewał resztki, zbierając rozpierzchłych, obiecując przybycie komtura chełmińskiego odsieczy. Obok niego, otoczony wybranymi z pomiełczy rycerstwa stał z chorągwią zakonu Iwan, żołnierz

wielkiej siły, któremu dla postawy tej i okazanych już na placu boju dowodów męstwa powierzono znamię najdroższe...

Wojewoda Wincz z Dobkiem rzucili się na gromadkę i zewsząd ją opasawszy, nacisnęli tak, że toporem rażony przez Dobka olbrzym padł, wlokąc z sobą na ziemię chorągiew.

Marszałek, który to ujrzał zdala, osłonił sobie oczy, ręka mu opadła bezsilna... Stał, nie myśląc już o walce i nowy oddział, który na niego natarł, razem z kompaniami zabrał go w niewolę.

Nad wieczorem walka była tak jak skończona, a jednak król nie dawał rycerstwu złożyć broni, ani się położyć na pobojuwisku... Był pewien, że za przybyciem wywołanych posiłków bój się raz jeszcze rozpocznie.

Jeńców powiązano sznurami i zwleczono do namiotów, otoczonych strażą. Wojsko nie otarło mieczów i nie dało koniom wytchnąć.

W istocie posiłki pod wodzą Plauena nadbiegły z pod Brześcia. Gdy je ujrzano nadciągające, już jeńcy byli pod strażą, a król gotów do nowego boju.

Bój to był w szczerem polu, ze świeżym żołnierzem, zemstą zagrzany, gdy król miał z sobą znużonych już całodzienną walką, ale zwycięstwem podniesionych na duchu.

W tem drugim spotkaniu ranny, lecz zagrzany tem, że mu dzień ten płacił się na każdym kroku szczęściem wielkiem, Florjan Szary, który był już trzech znakomitszych rycerzy niemieckich z koni zszadził i oddał w niewolę, rzucił się ze swymi kilku wprost na komtura wielkiego, Plauena.

Najdzielniejsi krzyżaccy bracia bronili ostatniego dowódcy; Szary z taką gwałtownością natarł na nich, wiodąc za sobą Sieradzan, iż trzy włócznie razem, strąciwszy zbroję lekką i już w boju zluzowaną, utkwily w nim.

Padł, nie wydawszy jęku, rozdarty straszliwie na

pobojowisku, w chwili, gdy ciągnący za nim rzucili się na Plauena i porwali go w niewolę.

Szary cały swój pochód ten odbywał na wiernym koniu siwym, który oddawna mu służył. Byli to towarzysze nierozłączni i przyjaciele; koń znał głos, chód, czuł pana zdaleka... W pochodzie zdali się jednym jakimś centaurem, w którym dusza i myśl obu była wspólną.

Gdy Florjan zakrwawiony padł, oburącz chwytając rozdarte ciało, z którego wychodziły jelita — koń stanął nad nim, kopytami wrył się w ziemię i pokrył go sobą. Uchronił go od stratowania i zgniecenia, którego ofiarą padło drugie tyle, co zabitych mieczem i toporem.

Szary wychowywany był i zahartowany, jak na rycerza przystało. Każdej chwili gotów umrzeć, każdej godziny gotów cierpieć, — czując życie w sobie, wspomniawszy na dom, żonę i dzieci, oburącz nacisnął wnętrzności i pozostał pod koniem, wśród dokoła wrącego boju, czekając, co zrządzi Opatrzność.

On ludzki swój i rycerski obowiązek spełnił do końca, teraz musiała wystąpić ta opieka Boża, która rozporządza żywotem i przeznaczeniem człowieka. W duszy swej westchnął do Boga.

Koń stał nad nim ciągle, innym wyrrywającym się i cwałującym po pobojowisku, a napadającym na niego, broniąc się i osłaniając pana.

Florjan nie wiedział już, co się działo wkoło niego, słyszał tylko zwycięskie okrzyki swoich... Krew z ran płynęła obficie; ręce w niej obie zbroczone czuł jak ukropem oblane, nie mógł ich odjąć na chwilę, gdyż poszarpane ciało razem z krwią wyrzuciłoby było wnętrzności.

Mdłości chwilami jakby obłokiem osłaniały mu oczy.

Przed oczyma stał mu jego dom, rodzina, ojciec stary... i ten sąsiad straszny, którego pastwą stać się mieli najdrożsi, gdyby on już tam powrócić nie mógł.

Nie stracił jeszcze nadziei... Krew upływała wprawdzie, lecz silne dłonie trzymały rozdarte rany spojone. Ręką wpychał jelita i czekał.

Bój się zdał oddalać od niego... zbliżył raz znowu, odbiegł i cisza nastąpiła dla niego prawie od walki straszniejsza... Mrok wieczora powoli zstępował na pobojowisko, do którego potem zdala, z miejsca, gdzie obóz był krzyżacki, dochodził gwar i okrzyki zwycięskie.

Szary czuł, że król otrzymał pole, że tam bracia jego weselili się ocaloną czią rycerską.

Wtem głos jakiś począł pieśń kościelną „Ciebie Boga chwalimy“ i ogromnym chórem wszystko, co żyło, powiodło za nim.

Szary miał na oczach łzy.

— Gdyby zginąć przyszło — myślał w duchu — krew niedarmo przelałem — stań się woła Twoja!

Ręce mu drętwiały, siły się wyczerpywały. Miałżeby nikt nie zajrzeć na pobojowisko?

Noc nadchodziła.

Szary wiedział o tym zwyczaju wojskowym, iż ciury obozowe trupom długo nie odartym leżeć nie dopuszczały, śpiesząc do łupu... Często po nocy z pochodniami śpieszyli pochwyć, co im bój zostawił po sobie.

Pieśń przebrzmiała, nastąpiła po niej wrzawa.

Lecz słuch jego tępiał, oczy coraz widziały mniej, czuł, że koń, stojący nad nim, drży i słania się... Rżał coraz słabiej, coraz rzadziej, ruszył się wkońcu ostrożnie, zszedł o krok, głowę spuścił, nozdrzami dotykając jego twarzy.

Zdawał się patrzeć, czy żyje... Florjan słabym głosem zawołał go, jak zwykle... Siwy drgnął, ale i jego opuściły już siły — zwolna legł przy panu...

Nadzieja zaczęła słabnąć w sercu Szarego. Czuł, że nie wydoła długo, że dłonie zmartwiałe ran nie utrzymają i wnętrzności wyniosą z sobą życie. Potem zimnym oblewało się czoło.

Modlił się, duszę polecając Bogu. Zamknął oczy.

Wtem koń zerwał się na nogi, wyciągnął szyję i rozpaczliwie zarżał. Zdało mu się, że usłyszał ludzkie głosy... że mignęły światła, że ziemia tętniała chodem ludzi, biegiem koni.

Otworzył zwolna osłabłe powieki.

Nad nim stał z jasną twarzą, otoczoną blaskiem nadziemskim, król, w swej zbroi potłuczonej i płaszczu szarym... patrzył na niego.

Obok w sukni księżej podeszłych lat mężczyzna, dalej kupka ludzi.

— Mój Boże, co on za straszną mękę ponosi!

Głos ten przywrócił życie Szaremu, zebrał się na siłę ostatek... i z uśmiechem męczeńskim odparł słabym głosem:

— Miłościwy panie, sroższa daleko męka znosić pod bokiem złego sąsiada, jakiego ja miałem i mam!

Król postąpił krok bliżej. Stał przy nim i Hebda i zawołał:

— A to mój Florjan z Surdęgi!

— Bądź dobrej myśli — odezwał się król, — jeżeli się z tych ran wyleczysz, ja cię uwolnię od złego sąsiada.

Hebda natychmiast przykazał ludziom wziąć go na nosze i do obozu nieść, królewski lekarz miał rany opatrzyć i obwiązać.

Florjan, dotrwawszy do tej chwili więcej mocą ducha, niż ciała, gdy się uczuł już pod opieką, omdlał.

Miał zaledwie czas, czując się opadającym na siłach, zawołać ku wojewodzie:

— Siwego mego zabierzcie!

VIII.

Nocy tej nikt na pobojuwisku nie zasnął, oprócz tych, co już nigdy wstać nie mieli.

Tam, gdzie niedawno był obóz krzyżacki, rozbito namiot dla króla, gdzie powiewała wielka chorągiew

zakonu z czarnym krzyżem i orłem, wiatr unosił czerwony proporzec królewski z orłem białym.

Na placu, jak zajrzeć, leżały trupy w części już obnażone, częścią w zbrojach i szatach, zmieszane razem z końmi, potłuczonymi wozy, połamaną bronią.

Gdy ostatnia walka z Plauenem, wziętym do niewoli, skończyła się rozpędzeniem jego ludzi, którzy w nieładzie pierzchnęli, spędzono do gromady wszystkiego niewolnika, wziętego rano i wieczorem, rycerzy, knechtów, co tylko poddało się, lub żywo pochwycone być mogło.

Tłum to był, w którym najdostojniejsi mieszały się z najlichszymi, usiłując się ocalić, małymi czyniąc. Lecz po resztkach zbroi, po twarzach i postawach łatwo było rozeznąć dowódców; resztki białych płaszców poszarpanych zdradzały ich.

Pięćdziesięciu sześciu rycerzy dostało się w ręce Polaków, około czterechset legło na placu.

Tłum, który otaczał niewolnika, warczał groźnie. Nie chciano im przebaczyć, wołano o pomstę za swoich. Niektórzy rzucali się na bezbronnych, tak, że strażę ledwie do przybycia króla osłonić ich mogli.

Gdy Łoktek zsiadł z konia i spojrzał na powiązanych sromotnie sznurami nieprzyjaciół swych, między którymi znajdował się i marszałek Teodoryk, z chłodną rezygnacją oczekujący śmierci, komtur elbląski, Herman, blady jak trup, Albert, komtur gdański, wielki komtur Otto von Bonsdorf i na ostatku wzięty Russ von Plauen, zmierzył ich oczyma zaiskrzonymi, słowa nie mówiąc.

Najzuchwalsi z nich obawiali się rozjątrzonego tłumu, lecz za przybyciem króla pewni byli, iż się krakowski pan nie będzie śmiał ważyć mściwego zakonu rozdrażniać, na śmierć ich skazując. Z wejrzeń ich widać to było. Herman dumniej podnosił głowę, Albert śmiało naciskając tłum odpychał.

Lecz Wielkopolanie, którzy byli świadkami, jak nieładzko pastwili się krzyżacy nad bezbronnymi, po

kościółach łząc niewiasty, odzierając kapłanów, mordując starców u ołtarzów, pod których opiekę się schronili, Wielkopoleanie zbiegli się kupą, najzjadlej domagając się nie zemsty, ale słusznego ukarania.

Loktek właśnie marszałka Teodoryka, którego mu wskazał nadchodzący Wincz, kazał oddzielić i pod straż oddać osobną, gdy Remisz z głową pokrwawioną przypadł do niego, uląkłszy się, aby i innym nie darowano życia.

— Miłościwy panie! — począł wykrzykiwać — miłościwy panie, posłuchajcie nas, myśmy najlepsze świadki!

Król, wskazując na Niemców, zapytał:

— Co to są za ludzie?

— My wam powiemy, miłościwy panie, co to są za ludzie — zawołał Remisz. — Zbójcy są okrutni, co ani krzyża na kościołach, ani niewiast, ni starców, ni kapłanów nie szanowali.

Wskazał na elbląskiego Hermana.

— Oto kat, co dzieci kazał mordować, a klęczącemu przeorowi dominikanów szyderstwem odpowiedział na błaganie.

Herman, w którym obawa o życie dumę złamała, odparł podniesionym głosem, siłąc się na ladajaką polszczyznę, do króla:

— Wy najlepiej wiecie, wodzem będąc, czy on odpowiada za żołnierskie zbytki.

Słyszac to, Remisz przypadł doń z pięściami i rzucał mu w twarz:

— *Ne prest!* Niemcze przeklęty, *ne prest!*

Za nim Wielkopoleanie wszyscy wykrzykiwać zaczęli:

— Śmierć im wszystkim! śmierć!

— Po rycersku od miecza zbójce ginąć nie są warci — krzyczał Remisz, — postronkami ich, na postronki.

Zaledwie słów tych dokończył, a król nie miał czasu jeszcze odpowiedzieć ni powstrzymać, gdy tłum rzu-

cił się ławą na krzyżackich jeńców i, sznury im zarzucając na szyję, dusić począł.

Jeden z pierwszych padł komtur elbląski, którego ciało wywleczono precz, odarłszy ze zbroi. Za nim poszli inni. Ze starszyny nie oszczędzono nikogo. Wściekłość była niewysłowiona.

Król, nie mogąc zapobiec temu wybuchowi zemsty, ani chcąc nań patrzeć, wszedł do swojego namiotu.

Ogromny łup z obozu marszałka ściągano teraz zewsząd, na kupy go zrzucając przed namiotem królewskim.

Noc zeszła na obrachowywaniu strat w ludziach i obmyśliwaniu skutecznego oporu zakonowi, o którego mściwem wystąpieniu, jak skoro dojdzie wieść do Malborka o klęsce, nie wątpiono.

Leżeć tu długo stary król nie miał ochoty, ni czasu; donoszono mu, że król Jan czeski z siłą dość znaczną ciągnął na Poznań. Nie był on teraz tak strasznym, gdyż spodziewał się poparcia krzyżaków, którego mu miało zabraknąć.

Łoktek ciągnąć chciał przeciwko niemu z niecierpliwością młodzieńczą, pewien zwycięstwa. Poznania mu dać nie godziło się.

Nazajutrz jednak wyciągnąć z pobojo-wiska pod Płowcami nie było można; król musiał swoje pułki na nowo pościagać, łup odesłać; śpieszył wyprawić posłów z radosną nowiną o zwycięstwie do żony i syna.

Ranek upłynął na tych zachodach i przygotowańiach.

Było już około południa, gdy na gościńcu od Brześcia Kujawskiego pokazał się mały poczet konny, zwolna zmierzający ku namiotowi króla. Na czele jego powoli jechał mężczyzna, wiekiem pochylony, siwy, z różańcem w rękę, w czapce futrzanej na głowie, z krzyżem na piersi. Rozpoczęta modlitwa na wargach mu skonowała i oczy wlepione miał w smutny widok pobojo-wiska, na którem leżały obnażone, sine, podarte ciała zabitych.

Noc, w czasie której ciury nie próżnowały — już

wszystkie te trupy odarła z sukni; stada kruków ulatywały nad niemi, to spuszczając się na pole, to ulatując i krążąc spłoszone. Od lasów sunęły, jakby cienie, ukazujące się i niķnące w kotlinach... psy czy wilcy?

Starzec jechał, spoglądał i łzy stawały mu na oczach. Nie wiedział nawet, gdy koń go zaniósł przed namiot królewski i stanął przed nim.

Starcem tym był Matjasz, biskup kujawski.

Łoktek w szarej swej opończy wyszedł przeciw niemu. Spojrzał na biskupa, uśmiejając się — lecz starczyło tego wejrzenia, by się przekonał, że starzec nie z radością zwycięstwa tu przybywał, lecz z boleścią nad tylu ludzkiemi żywotami, którem ono opłacone było. Król widział w tem triumf, duchowny płakał nad ofiarami.

Matjasz skłonił głowę sędziwą przed witającym go panem.

— Widzicie — ozwał się król, — Bóg to zrządził. On mi dał nad dumnym wrogiem zwycięstwo, chwała niech Mu będzie na wieki, iż się ulitował nade mną.

— Ten sam Bóg — odezwał się biskup spokojnie — sprowadził mnie tu, miłościwy panie, abym ja, sługa jego, spełnił chrześcijański obowiązek; wrogom zarówno i swoim należy pogrzeb i modlitwa. Dozwól mi, abym ciała te pogrześć mógł, a okazał nieprzyjaciół, iż chrześcijaninami jesteśmy i obowiązki nasze pełnimy.

Król milcząco skłonił głowę.

— Poniosłem i ja straty dotkliwe — odparł. — Zgiął mój wierny Żegota z Morawicy, niema Krystjana z Ostrów, Prandoty i Jakóba z Szumska... bronili moich chorągwi i położyli głowy!

Biskup ze smutkiem spoglądał na obnażone trupy wymordowanych krzyżaków, na których szyjach zastrzegły jeszcze postronki, któremi ich duszono.

— Bogdajbyście za to drogo i długo nie musieli płacić! — odezwał się. — Moźni są, mocni są, a mściwi i okrutni! Pozostał kto żyw z wodzów ich? — spytał cicho.

Łoktek z niechęcią wymówił imię marszałka.

— Jednego jego ocalić mogłem — rzekł, — resztę wymordowali ci, którzy na ich nieczne morderstwa patrza-
li.

Biskup natychmiast, z konia zsiadłszy, z gromadką swoich ludzi i dodaną mu służbą obozową poszedł, dozorując, aby ciała zebrano i kopano mogiły.

Nad ranem z lasów nadciągnął na pobojowisko pozostawiony w nich obóz królewski. Z nim razem przy-
była żona wojewody, która z sercem zboleiałem poszła szukać męża.

Wojewoda ze swymi stał na uboczu. Wszystek lud jego ochoczo mieszał się z królewskim, on jeden pozostał odosobniony. W twarzy jego widać było nie tyle radości, co niepokoję.

Pomiędzy wojskiem króla znajdowało się niemało ziemian, których majątności zniszczyli krzyżacy. Winę spustoszenia tego przypisywano wojewodzie. Jego też i Nałęczów, choć się teraz przyłączyli do Łoktka, niebardzo uprzejmie witano. Wielu się odwracało z pogroźkami i opryskliwem łajaniem. Nałęcz, radzi nie-
radzi, wskazywali na Wincza.

Przebaczone mu było — lecz ci, co ucierpieli, strat swoich darować nie mogli.

Wincz też po pierwszym z królem spotkaniu, napastowany półsłowy i wejrzeniami, poszedł z gorzkim uczuciem schronić się do swojego namiotu i siedział, bolejąc nad tem, że się przeszłość zatrzyć nie dała.

Tu zastała go żona nie jakby zwycięsko wyszedł z walki, lecz niemal jako pobitego i upokorzonego.

W milczeniu uściśnęła ją. Czytała z twarzy jego, iż cierpiał.

— Nie dano mi było zginąć — odezwał się, — choć pragnąłem śmierci. Ciężkie będzie życie moje.

— Wszystko przebaczone — przerwała Halka, — król łaskaw.

Wojewoda wskazał poza namiot na kupy, które się snuły.

— A kto *im* pamięć odejmie? — rzekł. — Ci mi nie przebaczą.

— Król — dodał po przestanku — ciągnie ku Poznaniowi, odstąpić od niego nie mogę, pójdę i ja. Ale tam poproszę, by mi ciężar z ramion zdjął. Nie chcę dowództwa, pragnę spokoju. Siądziemy na wsi.

Halka starała się go pocieszać, lecz czoło zostało nawisłe chmurami. On sam sobie przebaczyć nie mógł.

Florjan Szary, za staraniem Hebdy złożony w jego namiocie, opatrzony przez kanonika Wacława, w strasznej gorączce marzył o pobojuwisku.

Pamiętna opieki, jaką miał nad nią, Halka natychmiast poszła go szukać, dowiedziawszy się o ranach okrutnych, jakie mu zadano.

Ksiądz Wacław powiadał o nim, iż mógł się wyleczyć z nich, lecz długiego potrzeba było czasu i starania, nimby życie za ocalone uważać można. Król sam, pamiętny tego słowa, które na pobojuwisku od mężnego rycerza usłyszał, zalecał mieć pieczę nad nim.

Prosto z pod Płowców Łoktek, nie tracąc czasu, wraz z wojewodą ciągnąć musiał do Poznania, aby Czechów uprzedzić.

Biskup Matjasz, litościw nad umarłymi, dla rannych też miał serce ojcowskie; Florjanowi i innym ciężko okaleczonym, których rany spokoju i dachu bezpiecznego potrzebowały, ofiarował schronienie we dworze swym w Brześciu Kujawskim. Tu łatwo ich nawet na noszach przenieść było.

Wojewodzina, która czekać musiała z powrotem do domu, ażby się wojna w Poznańskim skończyła, schronić się miała z woli męża do Brześcia. Tak więc Szary, który wprzód nią się opiekował, zyskał teraz w niej opiekunkę troskliwą.

Brześć i Radziejów napełniły się rannymi, których była liczba znaczna.

Po pierwszem opatrzeniu ran przez kanonika Wacława i po przebyciu gorączki a niemocy, jaka nastąpiła po niej, Szary, przeciwko wszelkim lekarskim przepowiedniom, w dziwny sposób szybko do zdrowia przy-

chodzić począł. Obietnica króla, w której spełnienie święcie wierzył, niecierpliwość powrotu do domu, zobaczenia żony, dzieci, ojca dawały mu siłę cudowną, która z każdym dniem rosła.

W izbie dworca biskupiego leżało ich trzech porąbanych, których wojewodzina odwiedzała codziennie. Jeden z nich, Starża, młody był i rękę tylko miał przeciętą, a cierpiał więcej, niż Szary. Drugi, w wieku Florjana, ze zgniecionemi nogami, żyć sobie obiecywał, lecz na koń sięść już nie spodziewał się nigdy. Szary, choć tak straszliwie poszarpany, wierzył w to mocno, że byle zszyte rany się zrosły, zdrów być musi.

Codzień prawie tęskniło mu się tak za domem, a niepokój go ogarniał o sąsiada tak wielki, iżby się był zerwał i jechał na wozie, byle do swoich. Nie puszczano go.

Biskup Matjasz, co grzebał umarłych, przychodził codzień do rannych i uczył cierpliwości.

— Ojcze mój — mówił Florjan, całując go w rękę, — ja dla siebiebym cierpliwość miał, ale dla żony, dla dzieci, dla starego ojca, których tam porzuciłem na łasce Bożej i rodziny mej, trudno mi tu ścierpieć. Na woziebym się dowlókl...

— Drogi złe, zimno okrutne, rany niezgojone — mówił biskup. — Czekajcie...

Wojewodzina, przed którą bolał i skarżył się Szary, w ostatku się jego niepokojowi ulitowała. Miała wóz i woźniki dobre, ludzi poddostatkiem; sama tu zmuszona siedzieć, tęskniła wielce. Gdy Szary począł, obwiązany cały poruszać się i wstawać nagwałt, aby siłę swą pokazać, rzekła dnia jednego:

— Niema z wami rady; jeżeli ksiądz Wacław dozwoli, odwiozę was żonie.

Gdyby był mógł Szary paść jej do nóg! Lecz z łóżka mu się ciężko podjąć było. Ręce jej tylko ucałował.

Tegoż dnia kanonik rany opatrzył i na nalegania odpowiedział, jak to lekarze i duchowni zwykli, słowem groźnem a szorstko:

— Chcesz się koniecznie zgubić, trudno ci zabronić — rzekł. — Zamiast pociechy, żonie i dzieciom smu-

tek sprawisz. Czekał, aż powiem... Nie zatrzymam dnia jednego, gdy ujrzę, że podróż znieść możesz.

Florjan zmilczał, ale w oczy księdzu patrzył co dnia, a ten się uśmiechał.

Jednego dnia wreszcie ręką rzucił, gdy wojewodzina go spytała pocichu — i dał do zrozumienia, żejechać z biedy było można.

Wysłano tedy najlepszy wóz, okryto go kabłąkami i skórą, przyodziano Szarego i po pożegnaniu a błogosławieństwie biskupa Matjasza wojewodzina w drogę z nim ruszyła.

Jesień była późna; pośpieszyć z rannym, choćby i chciano, nie pozwolił lekarz, musiano się wlec noga za nogą. Wojewodzina miasto na drugim wozie spoczywać, niemal całą drogę pieszo szła z różańcem w rękę, jakby pielgrzymkę pobożną odbywała. Była też to pielgrzymka miłosierdzia.

Florjan leżał osłonięty, coraz to się pocichu rozpytując, kędy byli, jak się miejsca zwały, ile drogi zrobili. Jemu podróż wydawała się nieskończoną, a im się bardziej ku Pilicy zbliżali, tem niepokój rósł. Zdrowie się nie pogorszyło w drodze, bo je nadzieja utrzymywała. Uśmiech czasami zjawiał się na bladej twarzy jego — to go spędzał niepokój.

Wojewodzina, sama w trosce o męża, krzepiła go, jak mogła.

— Miłościwa opiekunko moja — rzekł jej jednego wieczora Florjan, gdy go ludzie na noc do izby wnieśli, — myślę ja sobie o żonisku i dzieciach.... Kto tam wie, czy do nich doszło co już o bitwie, a o mnie pewno żadnej wieści nie mają... Co się tam z niemi dzieje, jeśli Domna wie, że naszych tylu padło?... Jak mnie tam na wozie im przywieziecie, gotowi pomyśleć, że im trupa odsyłają z pobojowiska.

Półtora dnia powolnej drogi jeszcze zostawało do Surdęgi, gdy wojewodzina odezwała się:

— Chcecie, to pojedę przodem do waszej?

Florjan odpowiedział tylko spojrzeniem wdzięcznem.

Nazajutrz wojewodzina, starszego sługę zostawiwszy przy Szarym, sama pośpieszyła do Surdęgi, jednego dnia się tam dostać spodziewając.

Ludzie, choć im drogę dobrze powiedziano, pobłądzili trochę — i noc nadeszła, a Surdęgi widać nie było... W ostatku po przepaścistych groblach i moczarach wlokąc się, wóz złamano, koło pękło i z jednym z czeladzi musiała Halka pieszo iść, szukając schronienia.

Wedle powieści ludzi, zamek miał być niedaleko.

Uradowała się też wielce, gdy na pagórku ujrzała zabudowania, a w nich światło. Nie wątpiła wcale, iż musiał to być gródek, do którego dążyła, i dobiwszy się po grobelce do wrót, słudze stukać kazala.

Na zamku słyhać było wrzawę jakąś, dla której pewnie bicie do bramy nierychło usłyszano, aż wrotny się zjawił, klnąc, z drzazgą w rękę, a za nim kilku strasznych parobków, którzy na widok samej kobiety ze służką, śmiać się okrutnie i do środka wojewodzinę ciągnąć zaczęli. Przelekła się w pierwszej chwili, widząc, chyba omylić się musiała, lecz mężna i przytomna wnet odzyskała odwagę; odparłszy więc groźnie tych, co ją za ręce chwyтали, poczęła naprzód pytać o Surdęgę.

— Toć to! Trafiliście, jak raz... Surdęga jest! — zaśmiał się jeden z chłopów.

Wojewodzina stała jeszcze w progu, gdy, rozpychając gromadę tę, zjawił się mężczyzna twarzy dzikiej, na którego widok wszyscy rozstąpili się i umilkli. Poznała w nim pana.

Śmiało więc ozwała się do niego z zapytaniem, czy to w istocie była Surdęga?

Zagadnięty nie odpowiedział na to pytanie.

— Powiedźcie mi, kto wy jesteście i jakim sposobem się tu znajdujecie? — rzekł gburowato. — Ja to naprzód prawo mam wiedzieć...

— Jadę z rannym z pobojowiska pod Płowcami, gdzie król moc krzyżacką pobił na głowę, a mąż mój zowie się Wincz z Pomorzan, wojewoda wielkopolski.

Nachmurzył się, słuchając, który badał i głową po-
trząsał.

— Ranny? któż ranny? — spytał.

— Florjan Szary.

Pytający Nikosz Bąk rozśmiał się na całe gardło.

— Że go nie zabili, tego... — zawołał.

Wojewodzina z tego wykrzyku domyśliła się, w czy-
je ręce wpadła, a dość jej o nim rozповідаł Florjan.
Nie strwożyła się tem jednak. Zamiast wyrywać się
precz, postąpiła dumnie kilka kroków.

— Widzę — rzekła, — żem nie trafiła do Surdegi,
jakom chciała, ale pod nieprzyjacielski dach. Przecież
żonie wojewody królewskiego i tu odpocząć dadzą...

Nikosz, milcząc, cofnął się.

Naprzeciw stały otworem drzwi, w których się
świeciło.

Wojewodzina szła śmiało ku nim, Nikosz nasepiony
za nią, reszta ludzi prowadziła ich oczyma zdala...

Izba, do której weszła Halka. niska, obwieszona do-
koła odzieżą, bronią, skórami pobitych zwierząt, miała
duże ognisko, na którym z jednej strony płonął ogień,
z drugiej było wysłane łoże na ziemi. Dwa psy, wycią-
gając się, mruczeniem przyjęły gościa.

Nikosz, jakby jeszcze niepewien był, co pocznie,
wskazał miejsce na ławie, sam stojąc przed nią.

Halka usiadła.

— Król pobił krzyżaków? — zapytał gospodarz.

— Zwycięstwo wielkie Bóg mu dał, starszyzny i ry-
cerstwa zginęło wiele — rzekła wojewodzina.

— Szary ranny, hę? — mruknął Nikosz.

— Ranny, ale mu to wyjdzie na dobre, da Bóg —
poczęła wojewodzina spokojnie. — Bił się jak lew...
Broniący go krzyżacy trzema włóczniami brzuch mu
rozpruli...

— Ha! — rozśmiał się Nikosz.

— Nadjechał potem król — ciągnęła Halka, pa-
trząc na gospodarza — i zobaczywszy go tak strasznie
okaleczonym, zawołał:

— Co człowiek ten cierpi! — Szary zaś miał tyle

jeszcze siły, iż królowi odpowiedział: — Mniej ja tu cierpię, niż od złego sąsiada!

Nikosz przerwał takim wykrzykiem i pięści mu się nagle ścisnęły tak groźnie, iż inna niewiasta ułękłaby się go — wojewodzina spojrzała nań tylko i dodała:

— Otóż król dał mu swe słowo na pobojoisku, że go od sąsiada uwolni...

Nikosz, któremu oczy zdawały się z pod powiek wyskakiwać, usta zagryzł i o krok się cofnął. Milczał długo.

— Król! król! — wyjąknął szydersko, ale z twarzy i głosu poznać było można, iż sam przed sobą kłamał odwagę, której nie miał.

Począł się wpatrywać w wojewodzinę niedowierzająco, ale razem trwożliwie.

— Gdzież ranny ten... jest? — zapytał.

— Leczy go królewski doktor, kanonik Wacław w Brześciu na Kujawach — odparła wojewodzina. — Król mu go sam polecił...

— Król! król! A cóż król ten sąsiadowi zrobić może? — ozwał się po chwili zadumany.

— Albo to kobieta, jak ja, wiedzieć ma? Jam się podjęła tylko żonie dać znać, że żyw jest, i z tem jechałam do niej. Wóz mi się na drodze ułamał.

Nikosz słuchał, dumając ciągle.

— Król! król! — zamruczał pod wąsem.

Ale nie w smak mu pono była ta zapowiedziana opieka pańska. Zawrócił się od ognia w głąb izby kilka kroków, przyszedł bliżej i wojewodzinie się przypatrywał bacznie.

Toczyła się w nim widocznie walka jakaś, która dlań była nieprzyjemną.

— Jakeście ludzcy — rzekła Halka po chwili, pomóżcie mi, abym się do Surdęgi dostać mogła.

— A mnie co wy i Surdęga wasza! — zżymając ramionami, zawołał nagle Nikosz. — Może to ja jestem tym sąsiadem, na którego ten pies, co go trzy krzyżackie włócznie nie dobiły, skarżył się królowi?... To ja

za to, że on na mnie nasadził króla, będę wam pomagał dla niego?

Rozśmiał się na głos.

— Gdybyście to uczynili, rozumbyście mieli, nie powiem już więcej... bo lepiej wam pono króla nie gniewać i drażnić. Mały on jest, ale ręce długie ma.

— Jakby to wszystko prawda była! — ze śmiechem odparł Nikosz.

— Wolno wam wierzyć, lub nie! — zawołała wojewodzina. — Czyńcie, jak wam lepiej!

I zamilkła dumnie. Nikosz popatrzył na nią. Dziwnem mu się zdawało, że słaba, jedna kobieta, w jego rękach będąca, wcale się go nie zdawała lękać i takie męstwo okazywała.

Mieszało go to widocznie, przeszedł w koniec izby zamyślony, mrucząc coś sam do siebie.

Wojewodzina wstała z ławy, otrzęsła nieco obmokłe suknie i zwróciła się ku niemu.

— Dacie mi ludzi do pomocy? — zapytała.

Nikosz podumał znowu.

— Ludziom i mnie trzeba za to zapłacić — rzekł gburowato. — Innego czasu i z wasby mi się okup należał, bo ode mnie nikt tak nie wyszedł bezkarnie... — dodał, patrząc na nią, — ale z babami wojować nie chcę. Zapłacicie, poślę po wóz ludzi.

— Zapłacę, cóż mam robić, jeśli u was taka gościnność! — odezwała się wojewodzina.

— Jam nie chłop, abym przewód dawał darmo! — ofuknął Nikosz.

— Zapłacę — potwierdziła Halka.

Nikosz, ku drzwiom podszedłszy, wychylił głowę, na swoich fuknął. Czekali oni wpobliżu, może innego spodziewając się końca, gdy im kazał światło wziąć i wozu pójść szukać.

Stało się, jak zlecił. Tymczasem udobruchany nieco gospodarz, może napomnieniem o gościnności zawstydzony, jedzenie podać kazał.

Sam stał nieco opodal i znowu o Florjana, o rany jego, o przygodę i rozmowę z królem rozpytywać po-

czał. Wojewodzina powtórzyła mu, co powiedziała wprzód, rozwodząc się nad tem, jak król sam wielkie miał o rannych staranie.

Nikosz mruczał: — król! — śmiał się, ale jednak niepokój go ogarniał.

Dawszy się posilić wojewodzinie, sam potem ogień na kominie przykładał i potrosze jej służył, zbywszy się pierwszej swej gburowatości. Naostatek o sobie mówić zaczął z żalem i bólem wielkim, że mu sąsiad wziął, co on najdroższego miał, że gdyby nie on, Domnęby był dostał i na ziemianina takiego wyszedł, jak drudzy.

— Zalał mi on za skórę, com nie miał mu oddać! — zawołał. — Król nie wie nic... niechby mnie posłuchał.

Złagodniał wreszcie, na świat i ludzi tylko narzekać poczynając, gdy służba wóz wojewodzinej przyprowadziła. Nie upominając się już o zapłatę, Nikosz koło poprawić kazał i dał przewodnika do Surdęgi.

IX.

Radość i przestrah razem przyniosła z sobą żona wojewody, przybywszy w nocy do zamczku, który zawsze jeszcze w obawie o sąsiada, tak czujną był otoczony strażą, jak czasu wojny.

Wrót jej w początku otwierać nie chciano, chociaż mówiła im o sobie i o Florjanie; obawiano się zdrady. Nareszcie wyszedł na wyżki stary ojciec, rozpatrzył się po szczupłym orszaku wojewodzinej — i na zamek ją puszczono.

Domna stała tu już z mniejszem dziecięciem na ręku, posłyszawszy o mężu, niecierpliwa, by się coś o nim dowiedzieć.

Wieść o bitwie pod Płowcami, głucha i niepewna, doszła tutaj, ale z niej o losie tych, co walczyli, nic wniesć nie było można. Opowiadano, że padło ich wielu, że zwycięstwo było okupione drogo. Wszyscy więc tu w trwodze byli o Szarego, wiedząc, jak rad niebezpieczeństwa szukał i siebie nie szczędził.

Wojewodzina poczęła od tego, że im oznajmiła o Florjanie...

Domna poskoczyła do niej żywo, z radością razem i niepokojem, nie umiając sobie wytłumaczyć, co wojewodzina w tych stronach mogła mieć za sprawy i dla czego się tu znajdowała.

— Jam ci też Leliwianka — rzekła przybyła Halka, — i dlatego się czuła obowiązana Florjanem zao-piekować.

— A on! On gdzież jest? — zapytała Domna.

— Nadaży wkrótce — odezwała się Halka. — Wyście mężnego serca niewiasta, nie będę więc tała przed wami, że rannym był w bitwie...

Domnie oczy się załzawiły, dziecko przycisnęła do piersi.

— Ranny był? — szepnęła, pilno się wpatrując w mówiącą.

Stary ojciec drżał, słuchając.

— Dziś już rany znacznie podgojone, a że mu pewnie nigdzie lepiej być nie może jak w domu, więc przybędzie wkrótce.

Wszystko to Domnie wydawało się jeszcze nie dość jasnym — stała, czekając coś więcej.

Weszły razem do dolnej izby, w której młoda pani ze swemi prądkami i dziećmi siadywała wieczorami. Stary powlókł się za niemi.

Wojewodzina obejrzała się dokoła, zaczęła podróżną odzież zdejmować, ale nie śpieszyła z opowiadaniem, na które oczekiwano.

— Pani moja miłościwa — odezwała się, podchodząc ku niej, Domna, która dziecię złożyła w kolebce.—Nie kryjcie nic przede mną—mówcie mi o moim... wszystko. To, czem się Bogu jego dotknąć podobało, ja z nim dzielić powinnam. — Bóg mi da męstwo! ja wszystko chcę wiedzieć! Jestem córką ojca, który zamłodu rycerzem był, ród mój cały nie inną sprawą się porał — my, niewiasty ich, choć zbroi nie wdziemy, serca zbroić musimy!

Uściskała ją wojewodzina.

— Siostró ty moja — rzekła z rozrzewnieniem — my wprowadzie ran nie odnosim, krwi nie lejem, ale odboleć musimy za wszystkich — i w naszych sercach odbija się, co oni cierpią. Bóg z tobą, Florjan żyw powraca, zdrów będzie, ale wycierpiał wiele. Trzy krzyżackie włócznie rozdarły mu wnętrzności — cudem ocalony został. Jedzie on tu i jutro będzie przy tobie. Król sam znalazł go na pobojuwisku, a mężny człek, gdy nad nim się użalał, jeszcze miał siłę mu się poskarżyć, że od sąsiada cierpiał więcej, niż od tych ran, które mu włócznie zadały.

Domna rękami zakryła twarz. Starzec załamał dłonie, milczeli wszyscy, wojewodzina dalej mówiła:

— Król mu przyrzekł, że go od sąsiada uwolni, sam opatrzyć go kazał i dziś już niema niebezpieczeństwa.

Z płaczem rzuciła się młoda pani dziękować zwiaśtunce, potem, jak nieprzytomna, pobiegła uklęknąć i pomodlić się, potem chciała natychmiast choćby na koń siąść i naprzeciw męża jechać — lecz Halka nie dozwoliła na to, ojciec się oparł.

Wojewodzina nie powiedziała nic jeszcze o swej bytności u Bąka, i teraz dopiero, gdy Domna zaczęła się kłopotać, aby mściwy sąsiad nie napadł w drodze na Florjana, o swej przygodzie mówić poczęła.

Wszyscy wydziwić się nie mogli, iż z niej cało wyszła.

— Powiedziałam ja mu — dodała wojewodzina — o tem, co król przyrzekł Florjanowi i, zdaje się, że Nikosz, choć się uśmiechał z tego, musiał wziąć do serca królewskie słowo.

Domna się przecież nie uspokoiła, póki naprzeciw męża kilku ludzi zbrojnych nie wysłała.

Halka, która, choć zdala, patrzyła niemal na straszną walkę pod Płowcami i męża swego, o którego się lękała, o najmniejsze jej szczegóły dopytywała, poczęła teraz opowiadać o tym dniu pamiętnym, w którym krzyżacka дума ukróconą, a okrucieństwo ich ukarane zostało.

Co żyło we dworze, cisnęło się słuchać do izby pod drzwi i milczenie uroczyste, okrzykami radości i znakami krzyża świętego przerywane tylko — panowało w czasie powieści Halki, która sama się nią zapaliła i unosiła.

Młoda pani mężem swym i jego męstwem bohater-skiem czuła się dumną. Łzy jej wysychały od tego uczucia radości i czci dla człowieka, który tak prostym być umiał, tak skromnym, a tak rycersko w życiu się całem sprawował.

Rósł w jej oczach ukochany mąż, potężnego ducha, który blisko śmierci będąc, pamiętał o tem tylko, aby królowi polecić przyszłość i spokój rodziny swej.

Przy nim maleli inni, którzy wielkimi być chcieli, a nie mieli cnoty jego żelaznej, zwyciężającej cierpienie, urągającej się śmierci.

— Mój Florek! — powtarzała sobie z bijącym sercem i wracającemi do łez oczyma. — Mój!

Całowała dzieci i chciałaby była powiedzieć im, jak mile czcić ojca, lecz na to jej słów brakowało.

Nazajutrz zameczek od rana gotował się, jak do uroczystości wielkiej, na przyjęcie swego pana.

Wieść od dworu poszła po wioskach — z echem królewskich słów i obietnic. Gromady zbierały się witać wracającego na granicy. Ze wszystkich wsi postrojony świątecznie lud cisnął się na drogę, wiodącą do zameczku.

Opowiadano sobie i to, co było, i to, co każdy z serca dodawał do powieści o trzech włóczyniach i o złym sąsiedzie. Historia stawała się już legendą, która wieki przetrwać miała.

Na zamku Bąka spostrzeżono ten ruch wielki i niepokój około Surdegi, lecz stąd nikt się nie ruszył ni pomagać, ni przeszkadzać. Z za ostrokołów Nikosz patrzył niespokojnie, rozkazawszy zamek zaprzec, a ludziom broniąc wychodzić z niego, jakby się lękał o siebie.

Domna zaraz dała znać do Lelowa, skąd brat jej i co żyło, skoczyło także na spotkanie Florjana.

Z wozu swego, przysłoniętego skórą, Szary, zbliżając się ku domowi, wyglądał coraz niespokojniej. Znajoma okolica dozwalała mu obliczać czas i odległość, mierzyć biciem serca zbliżanie się do Surdęgi.

Napróżno jednak naglił i prosił powożących, aby pośpieszali; rozkaz był wydany, aby rannego wieźli powoli, wozowi się nie dając przechylać. Szli słudzy z obu stron, po złych przeprawach podtrzymując go, aby wstrząśnienia nie czuł. Lecz Florjan o ranach swoich i o cierpieniu zapomniiał, tak pilno mu było swoich zobaczyć, Domnę uścisnąć.

Dobili się tak do granic, gdzie krzyż stał, a koło niego ludzi kupa. Włodarz z częścią gromady z Lasek i Woźników podbiegł pierwszy do pana.

Stary sługa po nogach go całował, a gromada wołała radośnie i ciągnęli z nią dalej. Czuł się już między swoimi.

— Miły Boże — mówił w duchu, — leżąc na pobożowisku, gdym sądził, że mi już ostatnia nadeszła godzina, czym się ja spodziewał, że tej chwili dożyję?

Gdy przeciągali naprzeciw zameczku Bąka, drżącą ręką Florjan nieco skórę odgarnął i spojrzał na Wilczą Górę. Stała, jakby na niej żywej duszy nie było — choć skrycie wiele oczów ciekawych patrzyło z niej na orszak, posuwający się dołem ku Surdędze.

— Hej! hej! — mruczał Nikosz z za płota, — prowadzą go, jak z pogrzebem idąc. Któż wie? Może mu życia niewiele zostało, a z nim, gdy zdechnie, i obietnica królewska pójdzie do dołu?

Staął wóz nagle, choć do zamku jeszcze kawał drogi było — przed Florjanem ukazała się siwa głowa ojca i biały czepiec żony, trzymającej na ręku dziecinę.

Plakali wszyscy i ściskali ręce, a mówić nikt nie mógł.

Gdy wóz się zatrzymał w podwórzu, a ludzie, na ręce wzięwszy Szarego, do izby go nieśli — on, trzymając za rękę żonę, uśmiechał się wesoło do niej i do dziecka.

— A no! — zawołał — smutkom tym i łzom daćby pokój! Jest się z czego radować i Bogu dziękować.

Podniósł do góry drugą rękę i zakrzyczał wesoło:

— Ojcie kochany, kubka! Choć kroplę wypijmy prze zdrowie króla i korony naszej!

Do żony się zwrócił:

— A wy odezwijcie się co wesołego. Piosnkę zanucić! Rycerska rzecz zawsze dobrej myśli być w złej i pomyślnej doli równo.

Wziął kubek podany i do ojca obracając się:

— Króla zdrowie! Niech nam długo i szczęśliwie panuje!

X.

Od powrotu Florjana, choć na zamku zawsze się po staremu strzeżono od sąsiada — Bąk nie dawał najmniejszego powodu do obawy i znaku życia. Na Wilczej - Górze wszystko się zdawało usypiać, jakby go w niej nie było. Ludzie nawet jego, dawnym swym zwyczajem, psot żadnych nie czynili.

Stary Dalibór, zawsze niedowierzający, utrzymywał, że chyba podle owe człeczysko coś bardzo niegodziwego gotuje i ma na wątrobie. Nie dawało się to jednak czuć wcale.

Tymczasem wojna się skończyła; z krzyżakami niby to jakieś układy i pokojowe rozmowy poczęto, choć w dobry ich skutek nikt nie wierzył. Tracono tylko czas, który oni zyskać chcieli, a do końca dobić się z nimi nie było można.

Króla Jana odpędzono od Poznania, doma ludzie trochę spokojniej oddychali do czasu.

Szary zaraz po godach wstawać począł, chodzić, z włodarzem się naradzać, na koń mu się chciało, ale żona nie dozwoliła się wybrać, dopóki by do lepszych sił nie przyszedł.

Często gęsto wspomniano o królu, czy też on obietnicę swą strzyma.

— Król stary, a ma tyle na swej głowie spraw głównych, iż pewnie zapomniał, co mu się na pobojuwisku z ust wyrwało — mówił ojciec. — Nie grzechby było pójść pokłonić mu się i przypomnieć.

— Nie uczynię tego — odpowiadał Florjan. — Niekosz jakoś cicho siedzi, a iść do króla po zapłatę za krew, rzecz nie ziemiańska, ale żołdacka. Dla swojej ziemi i dla korony Chrobrego! Tyle zrobimy, że kozła na hełm wyprawim, a moje trzy włócznie w tarczę włożym tak, jak one mi w brzuchu tkwiły! Dość mi na tem!

Żona nigdy się mężowi nie sprzeciwiała, dla niej on zawsze miał słuszość. Ojciec też zamilkł, nie nalegał.

Począł się Florjan coraz pilniej krzątać około domu, bo się wcześniej jakoś na wiosnę zbierało, a na wsi, nim ona przyjdzie, trzeba być gotowym na jej przyjęcie.

Z Krakowa jak nie było, tak nie było wieści żadnej. Ale poczęły po kraju chodzić pogłoski, że krzyżacy się znowu na Kujawy wybierają i na Brześć chcą ciągnąć.

Drogi ledwie obsychać zaczynały, gdy dnia jednego do izby wpadł chłopak, do siedzącego na ławie pana wołając, że do zamku ktoś w kilkanaście koni ciągnie.

— A no! — odparł spokojnie Florjan — jak gość przybędzie, wrota mu otworzyć, czem chata bogata. Dostojny pan, czy ubogi człek, tem go przyjmę, co mam, choćby i król sam, więcej nie dam nad to, co mogę.

Jeszcze sobie tak wesoło żartował, a żona do okien poszła wyglądać, gdy od wrót szum się stał — wołano:

— Wojewoda!

Stary z Florjanem wyszli naprzeciw niego.

Zsiadł właśnie z konia, rozglądając się po zameczku, a twarz miał dosyć wesołą.

— Oho! — zawołał do Szarego, patrząc nań — jużescie to na nogach?

— Dzięki Bogu, a pono w sam czas — odparł Florjan z pokłonem, — bo coś o wojnie bąkają. Krzyżacy

na Brześć mają ciągnąć. Trzeba będzie spróbować na siodło.

— No, wy jeszcze spocząć możecie — odpowiedział Hebda, — tej biedzie na Kujawach jednakże jesteście winni, że gdy o niej była mowa u króla — stary sobie was przypomniał i nakazał mi zaraz jechać, abym zle-go sąsiada okupił, choćby najdrożej. I z tem ja do was przybywam.

— Bóg zapłać królowi panu!

Wprowadzili wojewodę do izby. Przyjmowano go serdecznie, ale po ziemiańsku, jak Florjan mówił, chlebem powszednim, dostatkiem domowym, żadnego nie czyniąc zbytku.

Po kubku jednym, drugim odezwał się Hebda:

— A co, miły bracie — u mnie czasu omal zawsze, zawezwaćby go tu w imieniu króla i...

Syn i ojciec oba głowami potrząsnęli.

— Jakośmy żywi, ten zbój naszego progu nie przestąpi. Darujcie, panie wojewodo, ani on nie zechce, ani my tego dopuścimy.

Stary wtórował; Hebda się zadumał, nie w smak mu to było.

— Nadtośmy sobie nadojedli — mówił Dalibór. — Człek zły jest i my z nim zgody nie chcemy, bo z takim, jak on, družba nie po tem. Niech idzie na kraj świata, by go nasze oczy nie oglądały i tyle.

Nie spierał się już wojewoda. Dworu swojego część zostawił w Surdędze, konia kazał przyprowadzić i pojechał sam do Bąka.

U niego ciągle jeszcze od powrotu Florjana cicho było i pusto. Ludzie nawet z Wilczej-Góry nie zadzierali się z chłopami z Woźnik, jak dawniej, do bójek na granicy i po lasach nie przychodziło. Zdało się, jakby i sam Nikosz zmęczył się tem i spokój wolał.

Wojewoda przodem¹ posłał urzędnika swojego z laską białą, aby oznajmił, powiadając, że od króla był wyprawiony.

Gdy nadciągnął, wrota już stały otwarte naościęż, a w nich Nikosz czekał ubrany naprędce w szubę do-

statnią, z łańcuchem na szyi, w kołpaku na głowie sobolowym, z mieczem u boku. Straszniejszym i brzydszym był jeszcze, niż zwykle. Twarz miał jak воск żółta, a oczy mu biegały, jak u kota, gdy psy za nim gonią.

Wprowadził, milcząc, Hebde do izby, w której, zda się, naumyślnie służba dzbanów srebrnych i kubków nastawiała więcej, niż było potrzeba, aby się bogactwem pochlubić. Zbieranina to była różności, nie jednej matki dziatki, jakby i z kościołów, i ze dworów się to poschodziło, ale błyszczało.

Wojewoda, nim siadł na ławie, rzekł:

— Jadę do was od króla z rozkazaniem. Musicie mu z tej posiadłości ustąpić, nie komu, ale królowi samemu.

Nikosz głowę bardzo nisko skłonił, ale śmiał się szydersko.

— A jakbym ja dać jej nie chciał? — zapytał.

— To król znajdzie za co dać was sądzić, bo skarg i żalów na zbytki zawsze dosyć jest. Więc i ziemia się nie ostoi — i głowa w dodatku!

Bąk szuby poprawił.

— Z królem a z biskupem — rzekł — ziemianinowi się nie borykać. Wiem ci ja, skąd to wszystko płynie, za co na mnie ta groza. Siłaby mówić o tem, ale mnie nie posłuchają...

— Słowo wam nie pomoże nic — przerwał wojewoda. — Mówić możecie, co chcecie, a ziemię królowi trzeba dać.

Nikosz się strząsł tylko.

— Wojnę prowadzić trudno! — burknął.

— Król niczyjej krzywdy nie chce — ciągnął dalej Hebda, przypatrując mu się ciekawie. — Otóż wiedzcie, że wam daje ziemi w dwójnasób tyle koło Nowego Sącza. Jest i dwór, i ludzi trochę, i młynek.

Nikosz począł słuchać z uwagą większą, kłaniał się. Wojewoda odpowiedzi czekał, ale jej nie otrzymał. Bąk milczał, tarł w rękę połę sukni i, w ziemię oczy wlepiwszy, ustami ruszył.

— No, cóż? — zapytał Hebda.

— Cóż ma być! — zamruczał Nikosz. — Kiedy mus!

— Zatem — podchwycił wojewoda prędko — czem prędszy koniec, tem lepszy. Wynieście się rychło, a w Sądeczczyźnie osiadłszy, z ludźmi żyjcie w zgodzie, aby na was żalów i skarg nie noszono.

— Miłościwy paniel! — zawołał, zwolna głowę podnosząc, Nikosz — człek, gdyby chciał, ze skóry swej nie wylezie. Będą mi ludzie dobrzy, będą im druhem; zajdzie mi kto w drogę, jako tu Szary, krew nie woda. Raz człowiek żyje i raz umiera.

Musiał wojewoda podany kubek przyjąć, choć mu się pić nie chciało. Miód był stary i jak smoła czarny.

Nikosz począł rozwodzić żale, a sam pił chciwie i dużo. Blade jego lice rozgorzało i z żółtego stało się niemal sinem, widać było, że się w nim burzyło wszystko. Hebda słuchał obojętnie.

— Kiedyż mi puścicie wasz gródek? — zapytał — bo ja tu urzędnika mojego do odbioru zestawie muszę. Nikosz się trochę nasrożył.

— Wypędzacie mnie — rzekł; — pilno im pozbyć się mnie.

I chwilkę podumawszy, rzekł ze złością:

— Za dzień, za dwa wozy moje gotowe będą, byłem zaraz łąmą ziemię dostał... pójdę stąd, pójdę bez żalu.

— Ziemię król przeznaczył i rozkazy a pisanie dostaniecie w Krakowie — rzekł wojewoda.

To powiedziawszy, wstał zaraz Hebda i przynaglegając jeszcze, począł iść do konia.

Razem wyszli w podwórze, gdzie już czekał urzędnik, który miał pozostać, aby mu zamek był zdany.

Nikosz uśmiechnął się, spojrzawszy na tego przystawa, którego mu dawano — nie opierał się.

Wojewodę do wrót odprowadziwszy z pychą wielką, do swojej izby powrócił.

Hebdzie pilno było, więc ledwie do Surdegi zaję-

chawszy z dobrą nowiną, nie patrząc nocy, która nadchodziła, natychmiast dalej pociągnął.

Radość była wielka, jakby wszystkim z serca kamień spadł, króla pod niebiosą wynoszono. Teraz dopiero swobody zażyć mieli, wrota otworzyć, zbyć się nieustannej trwogi. Florjan z ojcem naprzód już układali, jak ziemię, której obszar był znaczny, osadzać będą, gdzie młyn pobudują, jak w lasach i z barciami się rozgospodarują, bo pszczoł był dostatek, a z nich ziemianinowi najwięcej grosza płynęło.

Domna, uśmiechając się, mówiła:

— Barcie dobre, ale sen spokojny jeszcze lepszy.

Stary Dalibór niemal po całych dniach na wyżkach stał, wypatrując, kiedy się ten Nikosz w drogę wybierać zacznie. Przez trzy dni nic widać nie było, czwartego otwarły się wrota, wozy poczęły wyciągać, potem stado pędzili, dalej szli i jechali ludzie całym obozem, kobiety i dzieci.

Droga najprostsza byłaby im musiała iść koło Surdegi, ale umyślnie sobie dalszą i gorszą wybrali, aby się im nie przypatrywano i nie urągano.

Do wieczora ciągle się jeszcze coś z Wilczej-Góry wlokło, aż nareszcie i psa nie zostało. Urzędnik dał znać, żeby przybywano, bo nikogo nie było.

Włodarz posłany, bo ojcu i synowi nie było pilno, zastał pustkę, jak po Tatarach — i urzędnika, który już się w drogę wybierał, podarku nie czekając, bo mu pobyt u Nikosza dokuczył.

Florjan nie śpieszył do nowej posiadłości, ludzi tylko wysłał, aby gródek osadzili i opatrzyli wszystkie kąty. Dalibór chciał się sam wybrać, lecz syn go, po rękach całując, zatrzymał.

— Djabeł tam mieszkał długo, długo — rzekł. — Poślemy naprzód po księdza, niechaj wszystkie kąty poświęci i oczyści słowem Bożem.

Natychmiast więc włodarz z wozem po wikarego pojechał i nazajutrz owo gniazdo plugawe pokropiono wodą święconą, aby je dla Szarych przystępnem uczy-

nić. Mogli więc już zjechać bezpiecznie, lecz Florjan się i teraz nie kwapił. Odłożyli do jutra.

Szli tedy spocząć i Dalibór w swojej izbie miał się właśnie do snu położyć, bo zawsze najpóźniej szedł na spoczynek, a wstawał najraniej, gdy przez szczeliny okiennic dostrzegł promyk jakiś, jakby na dworze coś świeciło. Odsunął prędko okienniczkę — i stanął przeżony.

Ogromna łuna gorzała na niebie. Nie mógł się w początku z przestachu opamiętać, gdzie pożar się wszczął i zląkł się o samą Surdegę, ale ogień, choć bliski, z za wałów się ukazywał.

Wtem i stróże poczęli wołać:

— Gore!

Płonęły zabudowania na Wilczej - Górze, do których już z wiosek biegli ludzie na ratunek.

Ani oni jednak, ani ci, co na zamku byli, ogniewi straszemu nie mogli dać rady, ani się nawet zbliżyć do niego.

Zabudowania, podpalone na wszystkie cztery rogi, gdyż pakuły i smołę poznajdowano pod ścianami, gorzały tak szybko, iż ci, co w izbach spać się pokładli, ledwie uszli z życiem.

Nie dość na tem: chałupy i szopy na podzamczu, które dla nowych osadników służyć miały, płonęły też wszystkie i do rana nie zostało z nich nic, oprócz kupy popiołów.

Ostatnia to była zemsta Nikosza Bąka, który, wszystko zdawszy w całości, postarał się o to, aby po nim Szary nie wziął nic, oprócz pustki i zgłiszcza.

— Kat go bierz! — zawołał Florjan, patrząc na pogorzel zdala — ja na tej górze nie pobuduję nic, niechaj pustką stoi, a świadczy na wiek wieków o miłym sąsiedzie!

Było to w roku następnym 1332, na dni kilka jakoś przed uroczystością narodzin św. Jana Chrzciciela. Florjan z ojcem i żoną przyjmowali u siebie brata Leliwę i kilku ziemian.

Powieściom o zwycięskiej owej wyprawie starego króla pod Płowcami nie było końca; bo gdziekolwiek się Szary ukazał, nie dawano mu spokoju, zagadując go o to, co widział, słyszał, czego naówczas był świadkiem.

Mówiliśmy już, że owe trzy włócznie krzyżackie, które mężnego rycerza przebodły, wzięt on był sobie do szczytu, a że stary swój w Krakowie przemaalować kazał. Opatrywano tarczę nową, skórą ociągniętą i gwoźdźmi złocistymi obitą, na której dosyć misternie skrzyżowały się trzy kopje; zawołanie też rodu z Koźlarogów zmieniło się na Jelita... aby dzieci i wnuki pamiętały, czem swój szczyt opłacił nowy.

Setny może raz Szary powtarzać musiał, jak to król długo potajemnie za krzyżakami chodzić musiał, wychekując chwili, gdy się pomścić będzie mógł za niszczenie kraju; jak wojewodę Wincza pocziwa żona odwiodła od zdrady, z królem pojednała go, aby krzyżaków porzucił.

— Święta to niewiasta — mówił Florjan — nie żałowała trudu, nie zważała na niebezpieczeństwa i męża ocaliła od sromu, a król z jego pomocą pokonał krzyżaków.

— Prawda to — odparł Leliwa, — że juści potrosze to złe, które uczynił, naprawił. Król mu przebaczył, zatarło się niby, a no szlachta wielkopolska nie zapomniła mu, że z krzyżakami majątności jej najeżdżał. Po tem, com słyszał, w skórze jego do dziś dniabym nie chciał być.

— Mój bracie — odezwał się Florjan, — ziemianie nasi, prawda, narazie krwi są bardzo gorącej i gdy ona w nich zakipi, rąbać i zabijać gotowi, ale też nikt tak prędko nie ostyga, jak my. Wojewoda do domu

powrócił, ludzie z lasów też i na nowo poklecieli chaty; straty się potrosze zapomniały — dadzą mu pokój. Ma to za sobą Wincz, że krzyżackiemu łupiestwu na żaden sposób zapobiec nie mógł.

— Ale się na nie patrzył, ale z nimi chodził — dodał Leliwa. — Nałęcz, nie Nałęcz gromy nań ciskają, on wszystkiemu winien! On! Mówię ci, w skórze jego nie chciałbym być. Z dobrego źródła to wiem, że się nań naposiedli i że go zgładzą, a z nim wszystkich, kto żyw.

Florjan się porwał z siedzenia niespokojny.

— Niechże Bóg uchwali! — zawołał. — Gdybym wiedział, że mu grozi w istocie niebezpieczeństwo, pobiegłbym jemu i Halce na pomoc, bo mi tej kobiety żal okrutny.

Leliwa głową pokręcił.

— Niewielebyś tam pomógł — rzekł. — To wiem, że nań spisek jest, że ludzi do niego należy siła i że im nie ujdzie.

Grzymała opowiadał, niedawno powróciwszy ze zjazdu ziemian, który we Środzie był, iż tam się sprzyśięgali nieprzyjaciele wojewody krzywdy swych na nim powetować, zdrajcy łeb ściąć, z rodziny nikogo nie szczędzić, wszystko z dymem puścić.

Szary się wzdrygnął.

— Jeżeli tak jest — rzekł — jutro na koń z ludźmi siadam i do Pomorzan muszę.

Rzucili mu się wszyscy odradzać, poczynając od ojca, ale Szary twardo przy swoim stał.

— Nie może to być, abym naszą powinowatą, która mnie chorego pielęgnowała i do domu wiozła, opuścił. Pomogę, nie pomogę, powinność spełnię.

Domna nie mówiła nic, błagając tylko patrzyła na męża. Dalibór rozjątrzonego łagodził.

— Bajki plotą — szeptał cicho, — darmo się zerwiesz, a i ludzi sobie narazić niedobrze. Dać temu pokój. Palca we drzwi wkładać nie trzeba.

Florjan milczał, lecz po wyjeździe Leliwów drugiego dnia w drogę się wybierać zaczął. Ludzi dobrał

sobie zbrojnych kilkunastu, pożegnał żonę, ojca i ruszył najprostszemi drogami na noc całą.

O sześć mil od domu przyszło spocząć. W gospodzie siedzieli podróżni przy piwie. Jechali do swoich do Sieradza, a byli Wielkopolanie.

— Co tam słyszać koło Poznania? — zapytał Szary.

Wąsaty, gruby ziemianin śmiać się począł dziko.

— Dobrze słyszać! Dobrze — rzekł, panosząc się i w bok biorąc, — łotrom łby ścinają, aby drudzy się kajali.

— Jakim? Komu? — rzekł Florjan, poblądłszy nieco.

— Takci jest, tak — ciągnął dalej podróżny. — W samą wigilję narodzenia św. Jana Chrzciciela nasi najechali na dwór w Pomorzanach — i stała się sprawiedliwość: zdrajcę wojewodę posiekano w kawałki, nie zostało żywej duszy. Kara Boża, choć przez ręce ludzkie. Amen!

K O N I E C

$\frac{Ldo}{d}$

